

HEATHER TERRELL

RELIKT

KSIĘGI EWY



Heather Terrell

RELIKT

KSIĘGI EWY

TOM 1

Przekład

Andrzej Sawicki



Prolog

Eamon zamachnął się czekanem znad głowy i idealnie trafił w zagłębienie w ścianie. Podciągając się mocno, wbił w lód buty wzmocnione rakami do wspinaczki. Powtarzając ten ruch raz za razem, piał się na zamarznięty Pierścień niczym wielki arktyczny kot.

Z każdym ruchem w górę wkręcał w lód śrubę i łączył ją z liną asekuracyjną. Było to zabezpieczenie na wypadek, gdyby odpadł od ściany. Co prawda do tej pory nigdy mu się to nie przytrafiło.

Kolejne bolesne wysiłki powoli przybliżały go do brzegu Pierścienia. Choć wiedział, że postępuje wbrew jednej z najważniejszych reguł wspinaczki, nie mogąc się powstrzymać, spojrzął w dół na setki stóp stromo opadającego lodu.

Nawet w nikłym świetle księżycy widok przyprawił go o zawrót głowy. Pierścień: niemal idealny krąg lodowych gór wznoszący się pośrodku ostatnich terenów powyżej poziomu mórz – Nowej Północy, jego domu. Choć wspinaczkę karano wygnaniem na ziemi Pogranicza, warta była ona ryzyka i wysiłku. Wspięcie poza krawędź przygotowuje go do Prób.

Ponownie spojrzął w górę. Mimo skurczów w ramionach i łydkach uśmiechnął się lekko. Do wierzchołka zostało mu tylko kilka stóp. Jeszcze jeden zamach czekana i stanie na szczycie.

Mocno wbił czekan w lód. Niestety, za bardzo się pospieszył. Po raz pierwszy w życiu czekan go nie utrzymał. Ostrze ześlizgnęło się po gigantycznej śliskiej ścianie.

Eamon osunął się, a ostry występ skaleczył mu skórę. Upadek powstrzymały śruba, lina i uprząż. Zawisł do góry nogami w zimnym nocnym powietrzu na wysokości setek stóp nad ziemią, ale zaraz zaczął podciągać się w górę.

Zdołał przyjąć właściwą pozycję i wtedy spostrzegł, że jego lina jest przetarta. Nie miał pojęcia, jak do tego mogło dojść. Sam skręcił ją z foczey skóry. Był pewien jej wytrzymałości. Przyczyna przetarcia nie miała teraz jednak znaczenia. Liczyło się tylko to, czy skaleczony zdoła po przetartej linie wspiąć się na wysokość pozostałych dwudziestu stóp.

Niestety, manewry spowodowały dalsze rozplatanie się przetartej liny. Zanim zdążyła pęknąć, zdołał wbić czekan w lód. Rozdygotany i skrwawiony przyłgnał do zimnej powierzchni, trzymając się jedynie

czekana i opierając na opatrzonych w raki butach. Mógł tylko piąć się w górę, tym razem wolniej, cal po calu.

Głupiec. Nigdy nie powinien był próbować wejścia na Pierścień, niezależnie od korzyści. Trzeba mu było tylko zdobyć miejsce Archona i upewnić się, że może działać na podstawie tego, czego się nauczył, ale nie powinien był podejmować prób wspinaczki. Do tego doprowadziły go duma i żądza sławy. Wyniki szkolenia i umiejętności utrzymywania postawy pozwalały mu mniemać, że Próby będą łatwe. Trudniejsze było upewnienie się, że kroniki szkolenia dadzą mu prawo nie tylko do Wawrzynów Archona, ale też do miejsca Wielkiego Archona, gdy skończy się kadencja jego ojca. Zapomniał jednak o zasadzie, którą wbijano mu do głowy od dzieciństwa: „Nie zakładaj nigdy, że wiesz wszystko o lodzie i śniegu”. A teraz stanął w obliczu śmierci. Wrażenie, jakie wywarłby na Ewie, nie było warte takiej ceny: już nie będzie mógł jej ochraniać. Jedyne pocieszenie stanowiło to, że gdyby przeżył, podzielenie się prawdą o Nowej Północy i tak by go zabiło.

Widzi wierzchołek. Gdy zastanawia się, jak przerzucić okaleczone ciało ponad krawędzią, na tle księżycy pojawia się czyjaś sylwetka. Instynkt każe mu się cofnąć. Niechybnie czekają na niego Strażnicy Pierścienia i wygnanie. Wie jednak, iż jedyną jego szansą jest poddanie się.

– Tutaj! – woła.

Postać zbliża się do niego, pochyla nad krawędzią i wyciąga rękę.

Eamon chwyta podawaną mu dłoń.

– Dzięki bogom, że tu jesteś. – Palce zamykają się na rękę wspinacza, a twarz ratownika staje się wyraźnie widoczna. – Co ty tu robisz? – pyta Eamon zbyt zbity z tropu, żeby odczuwać strach.

– Przykro mi, nie powinieneś był wspinać się aż tak wysoko.

Człowiek puszcza dłoń Eamona, który spada z Pierścienia w mrok.

Stoję na szczycie wieżyczki i obserwuję nadejście nocy. Nad ciemniejącym horyzontem góruje ogrom Pierścienia i nie mogę się powstrzymać, by nań nie patrzeć. A powinnam, jeśli chcę odpowiednio do okoliczności pożegnać mojego zmarłego brata, zanim wyruszę, by zmierzyć się z Próbami. Patrzę na strome, najeżone lodowymi kłami zbocza, ale to mi nie wystarcza. Muszę przyjrzeć się z bliska – o ile to możliwe z poziomu oczu – miejscu, które zabiło mi brata.

Eamon, mój bliźniaczy brat. Nie mogę spokojnie wspomnieć nawet jego imienia. Nie jestem jeszcze gotowa, ale nie mam wyboru.

Podnosząc ciężką futrzaną opończę i skraj moich długich uroczystych sukien, stoję na krawędzi wieżyczki. Bywałam tu z Eamonem już setki razy – wieżyczka jest naszą prywatną kryjówką – ale teraz utrzymanie równowagi przychodzi mi nie bez trudu. Delikatne ceremonialne trzewiki nie pozwalają stąpać tak pewnie jak szyte z foczej skóry kamiksy.

Odzyskując równowagę, próbuję się zrelaksować. Mój oddech w zapadającym zmroku tworzy jaśniejszą chmurkę lodowej pary i zaczynam drżeć z zimna. Nie tylko zresztą z zimna. Wstrząsają mną dreszcze strachu i obawy, że zostanę schwytana w tym miejscu. Kara za nieposłuszeństwo Prawu zabraniającemu pobytu w tym miejscu po wybiciu dzwonu Nony jest surowa, szczególnie dzisiaj, w noc Święta.

Ale zostaję. Muszę.

Księżyc szczerze zalewa wszystko światłem i mam doskonały widok. Przedemną rozpościera się Orle Gniazdo błyszczące jak diament otoczony górzystym lodowym Pierścieniem. Orla forteca z lodu i kamienia jest miejscem, gdzie żyją, pracują, uczą się i modlą wszystkie rodziny Założycieli. Jest domem.

Patrzę w dal ponad zamarzną ziemią. Tuż nad krawędzią wieżyczki widzę lodowe ściany szkoły z jej zmyślnie wyciętymi w tafli, lśniącoymi w świetle księżyca oknami. Widzę imponujące lodowe iglice Bazyliki, miejsca modlitw i nauki Prawa. Spojrzenie na odległą Arkę wywołuje na moich wargach krótki, smętny uśmieszek. Jedyna na Nowej Północy

budowla z metalu i szkła jest naszym najcenniejszym skarbem, ponieważ rośnie tam większość uprawnych roślin. W jej ciepłych, wilgotnych ścianach chciałam odnaleźć swoje powołanie.

Ale to minęło. Nie masz już niewinnej pannicy stęsknionej za spokojnym życiem w Arce. Umarła z Eamonem na Pierścieniu, ja zaś stałam się kimś innym. Niekiedy nie pojmuję zdeterminowanej dziewczyny, która ją zastąpiła i która upiera się przy kontynuacji marzeń nieżyjącego brata o Próbach. Nie rozumiem też moich biednych rodziców. Okrutne jest udawanie wobec mojego ojca, który ma celebrować swój ostatni rok w roli Wielkiego Archona. Nie powinien obnosić się z żałobą po synu ani lamentować nad wyborami córki.

Oddycham głęboko i zmuszam się do rzucenia kolejnego spojrzenia na Pierścień. Mogę odszukać wzrokiem miejsce, skąd spadł Eamon. W bladej poświacie księżyca wygląda osobliwie pięknie, wcale nie morderczo. Wyciągam ku niemu ręce. Potem na chwilę zamykam powieki, licząc na to, że na zawsze utrwale sobie w głowie ten obraz. Jak gdybym mogła zabrać Eamona ze sobą na jutrzejsze Próby.

– Ewo! Złaż stamtąd!

Lukas. Nie muszę się odwracać, aby rozpoznać głos. Przed śmiercią Eamona byliśmy trojgiem bliskich przyjaciół, mimo że Lukas służył jako jego Towarzysz Pogranicza. Od śmierci brata spędziłam z Lukasem wiele czasu, trenując do Prób. Ale to nie sam głos mnie zaniepokoił, tylko jego ton. Słyszałam w nim strach, a Lukas przecież zawsze zachowuje spokój.

– Ewo, złaż! Ten śnieg to *quiasuqaq*! Jeszcze jeden krok i spadniesz!

Nie mogę się ruszyć. Lukas zna śniegi lepiej niż ktokolwiek inny. Jeżeli ten śnieg to w istocie *quiasuqaq*, to najmniejszy błędny krok przetrzuci mnie ślizgiem ponad krawędzią i spadnę z wysokości kilkuset stóp. Tak samo jak Eamon.

– Stój spokojnie! – rozkazuje Lukas.

Słyszę jego kroki, gdy przecina szczyt wieżyczki. Jego dłoń zamyka się na moim ramieniu i pociąga mnie ku sobie. Padamy jedno na drugie i oboje ciężko dyszymy. Wyrywam się z jego niedźwiedziego uścisku i odwracam ku niemu.

Patrzę w jego ciemne oczy w kształcie migdałów.

– Chciałam tylko...

– Wiem, czego chciałaś, Ewo. Chciałaś być blisko Eamona.

On jeden rozumie, czym stała się dla mnie śmierć brata. A ja chyba pojmuję, co zrobiła śmierć Eamona z Lukasem. Nigdy o tym nie

rozmawialiśmy. Wobec wszystkich innych udawałam, że niewiele mnie to obeszło.

– Tak – odpowiadam.

– Ewo, wiesz, że nie musisz wspinać się na ściany wieżyczek, by się do niego zbliżyć. Eamon zawsze będzie z tobą. Jego duch jest *anirniq*. Albo *animus*, jak mówicie wy, z Gniazda.

Jego słowa tną mnie jak lodowe ostrza. Z piekącymi oczami przełykam ślinę. Kilka miesięcy spędziłam, usiłując pokonać desperację i rozpacz po śmierci Eamona i starając się udowodnić, że mogę spełnić jego marzenie. Słowa Lukasa niemal mnie załamują. Nie mogę się z tym pogodzić. Stoję więc tylko, strząsając śnieg z sukni, i czepiam się najmniej smutnej rzeczy, o której mogłam pomyśleć.

– Niech zgadnę... Moja matka przysłała cię tu, żebyś mnie zabrał na biesiadę. Prawie ją słyszę. – Mówię niemal szeptem, naśladowując ton mojej matki, która uważała, że ma głos idealnej Damy, tak jak go opisywało Prawo. – Jak Ewa śmie łamać Prawo dzisiejszej nocy?! Po tym całym wstydzie, jaki przyniosła rodzinie! Podczas gdy jej ojciec wydaje ostatnią Biesiadę Prób jako Wielki Archon!

Lukas cicho chichocze, co mnie rozbawia.

– Nie, to nie ona mnie tu przysłała. Sam się zgłosiłem.

– Nikt inny nie zechciał włączyć nocą na wieżyczkę?

– Raczej nie. – Jego chichot cichnie, ale uśmiech nie opuszcza twarzy Lukasa. – Powinniśmy zejść. Czekają na ciebie z rozpoczęciem biesiady. Jesteś Panną Dzwonu.

Odpowiadam mu uśmiechem. Cieszę się, że znów sobie ze mnie pokpiwa. Po śmierci Eamona zachowywał się wobec mnie tak formalnie, jakby mógł uniknąć prawdy, okazując szacunek lodowym, rozdzielającym nas barierom.

Podaje mi ramię. Zbieram razem długie poły moich opończy i sukni i mocno ujmuję go za łokieć. Zerkam na niego spod oka. Mimo ciemnych włosów i oczu, płaskiej twarzy o wysoko osadzonych kościach policzkowych, rosnącego wzrostu i sporej wagi – które nie pasują do naszego ideału męskiej urody – jest na swój osobliwy sposób dość przystojny. Nie, żebym kiedykolwiek o nim w ten sposób myślała.

Nakrywa moją dłoń swoją ręką. Razem schodzimy po stromych krętych schodach.

W tej samej chwili, w której wkraczamy do wielkiej sali, Lukas puszcza moje ramię i znika w tłumie Sług Pogranicza kłębiących się pod ścianą lub wbiegających do kuchni i wybiegających z niej. Temu, co mnie czeka w tej sali, muszę stawić czoło sama.

Bijący od kominka żar jest dla mnie po lodowym nocnym powietrzu niemal za trudny do zniesienia. Członkowie mojej rodziny i przyjaciele stoją przed ogniem, ogrzewając dłonie w jego pomarańczowo-czarnych płomieniach. W migotliwym świetle licznych lamp i świeczników widzę, że wszyscy noszą swoje uroczyste szaty w swej surowości tak różne od roztańczonych płomieni – długie ciemne suknie i tuniki, bogato zdobione haftami, jak tego wymaga Prawo.

Przez krótką, błogosławioną chwilę nikt nie zdaje sobie sprawy z tego, że wróciłam. Czuję nagłą chęć ucieczki w czysty, biały chłód. Chciałabym wrócić do mojej samotności. Do Eamona. Ale w tejże chwili moja matka odrywa wzrok od ognia. Zamieram w bezruchu, czując większe zimno niż na wieżycze. Znam ten wyraz jej twarzy. Z elegancko wysuniętą przed siebie ręką i łagodnym uśmiechem może wydawać się ideałem Damy, wiem jednak, że pod tą powłoką wre gniewem. Objawi się on w kolejnych ograniczeniach dla mnie, ponieważ prawdziwe Damy nigdy nie wpadają w gniew.

Muszę jakoś zapomnieć o dziewczynie z wieżyczki. Dla dobra moich rodziców i naszych gości powinnam ponownie stać się przestrzegającą Prawa Panną, jaką byłam kiedyś. Myślę o przykazaniach dla Panien: „Zawsze bądź miłą dla oka i ucha”. Przywołuję uśmiech na twarz i skromnie opuszczam wzrok.

– Ewo, kochanie! Wysłano po ciebie Sługę, który miał cię odszukać. Są tu nasi przyjaciele z jutrzejszym błogosławieństwem. Ale zabrakło Ewy, którą można byłoby pobłogosławić! – Matka parska śmiechem, poszczypując bogato zdobiony rękaw sukni.

Wiem, że powinnam tu być i czekać na pojawienie się Jaspera i jego rodziny, powinnam też okazywać szacunek moim własnym krewnym. Jakąż

wymówką może się tłumaczyć Panna? Mamroczę coś przez chwilę, usiłując wymyślić jakąś idealną odpowiedź. Taką, która byłaby godna mojej pozycji. I taką, jaką zaakceptowałyby moja matka.

Z pomocą przychodzi mi Jasper. Zawsze rycerski. Bez zarzutu. Odziany w brązową tunikę, spodnie i futrzaną opończę spieszy do mojego boku z rozbijającym uśmiechem. Przy jego nordyckim, jasnowłosym uroku niełatwo mi wyobrazić sobie, że któregoś dnia nasi rodzice wyśnili coś, co może stać się rzeczywistością. On wydaje się aż zbyt doskonały. Oczywiście decyzja o naszym związku należy do rodziców i Triady.

– Ukrywałaś się na wieżycze, Ewo? Niegrzeczna Panna z ciebie! Nie mogę uwierzyć, że nakłoniłaś biednego Lukasa do wdrapania się po tych śliskich schodach zimną nocą.

Jasper powiedział to żartem, nie zdając sobie sprawy z prawdy zawartej w swych słowach. Napięcie się ulotniło, a nasi goście skwitowali żart uśmiechami i chichotami. Jasper zawsze wie, co powiedzieć, szczególnie w obecności mojej matki. Byłam mu wdzięczna, ale zmartwiła mnie świadomość, że Lukas usłyszał, jak mówi o nim Jasper. Przeszukałam wzrokiem szeregi Sług, ale nagle spostrzegłam, że moja matka stoi z otwartymi ustami. Zdała sobie sprawę z tego, iż byłam na wieży, choć Prawo wyraźnie stwierdza, że po dzwonie Nony Panny muszą znajdować się pod dachem. Zebrałam się w sobie, czekając na jej reakcję.

– Na wieżycze? – Matka znów wraca do swojego tonu Damy, jakby jej przenikliwy szept doskonale zgodny z Prawem zdołał jakoś naprawić moje błędy.

Chciałabym, żeby choć raz odpuściła i zostawiła mnie w spokoju choć na tę noc albo przynajmniej nie rozgłaszała swoich zastrzeżeń. To upokarzające. Ale niezależnie od tego, jak bardzo jest na mnie wściekła z powodu popełnionych przeze mnie błędów, wystrzega się bezpośrednich oskarżeń; zbyt ciężko pracowała, by teraz plamić wizerunek naszej rodziny. Jej stanowczości nie rozproszyła nawet śmierć Eamona.

Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu odpowiada za mnie mój ojciec:

– Margaret, w najbliższych dniach Ewa stanie do Prób. Nie sądzę, żebyśmy dziś musieli martwić się o Prawo.

– Ależ Jon... – W głosie mojej matki znów brzmi ten wysoki dźwięk Damy.

Ojciec nie daje za wygraną:

– Dość już, Margaret. Dziś mamy Biesiadę Prób. Ja jestem Wielkim Archonem. I mamy w rodzinie Kandydata.

Matka milknie; nie ma wyboru. Prawo stanowi wyraźnie, że żona słucha poleceń męża. Z trzykroć większą mocą odnosi się to do żony członka Triady.

Ojciec skinieniem dłoni rozkazuje jednej ze stojących pod ścianą Sług podanie tacy z pucharami. Sługą jest moja Towarzyszka Pogranicza, Katja. Gdy każdy z gości i członków rodziny ma już puchar w miodem, ojciec podnosi swój kielich.

Rozglądam się po kręgu poszerzonej rodziny – mojej i Jaspera. Wszyscy trzymają uniesione wysoko puchary.

Po lewej ustawiła się rodzina mojej matki – jej siostra z mężem i dwójką dzieci oraz jej brat z żoną – różni od nas dzięki swym jasnym, nordyckim włosom i bladobłękitnym oczom. W opinii mojej matki ich niemal białe włosy Nordyków rekompensowały to, że jej brat i siostra nie byli Lordem i Damą, ale zwykłymi Panem i Panią. Żadne z nich nie należało do Wartowników ani nie było poślubione któremuś z nich; żadne z nich nie było tak bystre jak moja matka; jej brat jest po prostu zwierzchnikiem jednej ze Strażnic, a jej siostra poślubiła takiego Strażnika. Po ich prawej stronie stoją członkowie rodziny mojego ojca – jego brat z żoną i młodszym synem – dzięki ciemnym włosom i charakterystycznym dla Rosjan wąskim oczom bardzo do ojca podobni. Jednak moja mama zachowuje się wobec nich z należyтым szacunkiem, ponieważ brat mojego ojca jest Wartownikiem. Jedynie Triada przywódców Nowej Północy – Strażników Prawa, Archonów i Basilikonów – stoi wyżej od Wartowników. Trzej Wodzowie są najwyżsi rangą podczas trwania ich dziesięcioletniej kadencji.

Eamon i ja – o jasnych włosach i zielonobłękitnych oczach – pokpiwaliśmy wzajemnie z siebie, że należymy do innej rodziny i może nawet mamy zwykłych rodziców z Pogranicza. Matka nie tolerowała żartów z tego, że mogliśmy pochodzić z innej rasy niż czystej krwi Założyciele; po zwróceniu nam uwagi, że jesteśmy odgałęzieniem rzadszej linii, wyganiała nas do sypialni za karę za niewłaściwe rozmowy.

Porozrzucani wśród innych stoją członkowie rodziny Jaspera: jego rodzice, siostra i stryj. Są bardziej różnorodną grupą niż moja rodzina; z mocną reprezentacją północnych Amerykanów wciąż jednak należą do czystej krwi Założycieli, można wśród nich znaleźć nie tylko Wartowników, ale też Wielkiego Strażnika Prawa – wuja Jaspera, który przybył z żoną. Choć krąg liczy osiemnaścioro ludzi, bez Eamona wydaje się mały i niekompletny. Szczególnie dlatego, że Jasper był przyjacielem Eamona, nie moim.

Wstrzymuję oddech. Nie mam pojęcia, co powie ojciec.

– Rankiem złączą się Próby. Wśród uczestników znajdą się nasze dzieci, Ewa i Jasper. Rywalizacja będzie od nich wiele wymagać, więcej, niż już poświęciliśmy. – Ojciec robi nietypową jak na niego pauzę, bo zwykle jego mowy są gładkie i przychodzą mu bez wysiłku, a w sali zapada zupełna cisza.

Wszyscy doskonale pojmują, o jakim poświęceniu mówi. W jego głosie pobrzmiewają rozkazujące nutki Wielkiego Archona, jakie niejedną raz słyszałam na rynku Gniazda. Niespodziewanie przemawia tak, jakby wygłaszał mowę do Nowej Północy, a nie otwierał Biesiadę Prób. Wydaje się to nie na miejscu, ale natychmiast zdaję sobie sprawę z tego, że z powodu Eamona mógłby się załamać, gdyby przemawiał nie jak Wielki Archon, lecz mówił jak każdy ojciec. Ta biesiada była przeznaczona właśnie dla mojego brata. Nie dla mnie. Biesiada zaś miała zapewnić boże błogosławieństwo, że Eamon wróci nie tylko z Wawrzynami Archona, ale też z kroniką wartą pozycji Wielkiego Archona po zakończeniu w tym roku kadencji mojego ojca.

Ojciec zaczyna zaśpiewać w rytualnym języku. Słyszałam to w każdym roku mojego życia, nigdy jednak w odniesieniu do mojego udziału w Próbach. Słowa są mi równie dobrze znane jak moje imię.

– Oto, co mówi Prawo w noc Biesiady Prób. Przekażemy naszym dzieciom, że poddajemy je Próbom z powodu tego, co zrobili dla nas bogowie, gdy przeżyliśmy Uzdrawienie. Ponad dwieście lat temu naszą ziemię obmyło Uzdrawienie, zostawiając przy życiu jedynie dzieci wybrane przez bogów. Bogowie: nasza matka, Słońce, i nasz ojciec, Ziemia, przenieśli nas na Nową Północ, ziemię przez NICH wybraną. Dali nam ostatnią szansę naprawy wyrządzanego przez rodzaj ludzki zła dzięki życiu zgodnie z ich słowem zapisanym w Preambule i Prawie. Bogowie powiedzieli naszym Założycielom, iż potrzebna jest nam Triada z mocnymi przywódcami, którzy zdołają ukazać ludziom Nowej Północy niebezpieczeństwa przeszłości spowodowane uwielbieniem dla fałszywego boga Apple'a. Przywódców, którzy będą zdolni ukazać ludziom, że musimy być zgodni z Prawem nakazującym nam żyć tak jak w Złoty Wiekach, czasach idylli, zanim fałszywy miraż nowoczesnych osiągnięć skierował ludzkość na ścieżkę podstępów i bezprawia. Tak więc bogowie sformułowali reguły współzawodnictwa o rolę Strażników Prawa, Basilikonów i Archonów, ustanawiając dla Archonów Próby.

Unoszę oczy i dłonie z pucharem i jego zawartością ku niebu, podczas

gdy mój ojciec zadaje Cztery Święte Pytania dotyczące Biesiady Prób.

– Ale dlaczego ta noc różni się od innych nocy? – zaintonował ojciec.

– Ponieważ tej nocy prosimy bogów, żeby pobłogosławili naszym Kandydatom i przygotowali ich do uświęconych Prób. – Słyszę swój głos wypowiadający z resztą gości rytualną odpowiedź, choć poświęcam myśli wyłącznie Eamonowi.

– Dlaczego jutrzejszy ranek inny będzie od pozostałych poranków? – pyta ojciec.

– Ponieważ rankiem poprosimy bogów o błogosławieństwo dla naszych Kandydatów, gdy będą dokonywali Przejścia, i wyślemy ich w uświęconą podróż – odpowiadamy jednogłośnie.

– Dlaczego kolejne dwadzieścia siedem dni będzie się różnić od innych naszych dni?

– Ponieważ podczas każdego z nich będziemy się schodzili na miejskim rynku na zebranie, by modlić się o bezpieczeństwo Kandydatów oraz o nowiny o podarowanych im przez bogów tryumfach – mówimy razem.

– A dlaczego dwudziesty ósmy dzień będzie różny od innych?

– Bo dwudziestego ósmego dnia bogowie wybiorą naszego nowego Wielkiego Archona, przywódcę zdolnego do przetrwania podróży ku Zamarzniętym Brzegom i odkrycia relikwii zmytych tam podczas Uzdrawienia oraz do spisania kronik, które ukażą ludowi Nowej Północy słuszność naszych uświęconych Prawem obyczajów.

Podnosimy puchary. Zwykle z nich wspólnie pijemy, co stanowi ostatni element rytuału.

Jednak wydaje się, że ojciec ma coś jeszcze do powiedzenia. Zastanawiam się, czy nie ogłosi końca kadencji jako Wielkiego Archona. Prawo tego nie wymaga, ale w minionych wiekach wielu Wodzów wygłaszało pożegnalne mowy. Jeśli nie dziś, zrobi to innego wieczoru, choć może nie tutaj.

– Dziś wznosimy puchary do bogów, żeby z tej Próby jako Wielki Archon wyszedł Jasper albo Ewa. Z pewnością oboje są godni najwyższego tytułu Nowej Północy. Ale niezależnie od tego, czy bogowie uznają ich za godnych, czy nie, módlmy się, żeby oboje bezpiecznie wrócili do Gniazda. *Benigno numine.*

Drżącymi z ulgi i wdzięczności dłońmi podnoszę puchar ku ojcu. Jego słowa brzmią w moich uszach jako niechętna aprobatą mojego udziału w Próbach. Nie chcę, by uznał moje drżenie za strach. Podczas minionych miesięcy zbyt ciężko pracowałam na uzyskanie jego aprobaty, żeby

pozwolić na to, by choć przez chwilę pomyślał, że się waham.

Gdy zgłosiłam się jako ochotniczka do wzięcia udziału w Próbach, nikt nie był bardziej zaskoczony niż moi rodzice. Wyznaczyli do nich Eamona; on jeden odbył odpowiedni trening fizyczny, on jeden przeszedł wymagane szkolenie naukowe i historyczne. Po jego tragicznej śmierci ojciec i matka upierali się, że Próby nie są odpowiednim zadaniem dla ich uroczej, smukłej i nieśmiałej Panny. Ojciec liczył na to, iż wybiorę życie bardziej przystające do mojej płci i talentów – na przykład jako Mistrzyni Ogrodów w Arce, albo przynajmniej zaręczę się z Jasperem, czego oboje gorąco sobie życzyli. Co prawda każdy z tych układów trzeba byłoby jeszcze sformalizować.

Ale choć bardzo się starał, ojciec nie mógł znaleźć w Prawie niczego, co mogłoby mnie powstrzymać od przystąpienia do Prób, choć nawet próbował wpłynąć na Wielkiego Strażnika Prawa, który przypadkiem był też stryjem Jaspera i jego bliskim przyjacielem. Poza tym, żeby ich przekonać, wykułam Preambułę i Prawo niemal na pamięć. Żadne gorące błagania nie powstrzymały mnie od zgłoszenia. Mojej determinacji nie zachwiały nawet zawsze logiczne argumenty i perswazje Jaspera. Ostatecznie ojciec przestał się upierać. Pozwolił mi nawet trenować z Lukaszem i Eamonem, choć oczywiście musiałam do tego wdziawać odpowiednie dla Panny suknie. Matka wrzała cichym gniewem, ale nie mogła nic zrobić. Było w tej mojej postawie coś, co mój ojciec instynktownie wyczuwał. Nie chodziło też o mnie. Zawsze chodziło o Eamona.

Życie mojego bliźniaczego brata skończyło się na Pierścieniu, ale jego marzenie przetrwało. A ja nigdy nie pozwolę, by umarło.

Gdy puchar ojca dotyka mojego kielicha, moja dłoń jest już spokojna. Ojciec pozdrawia mnie skinieniem głowy. Służący dmą w rogi i ojciec jako Wielki Archon skinieniem zaprasza naszych gości, by udali się za moją matką na biesiadę. Jedno po drugim zanurzamy dłonie w zimnej czystej wodzie połyskującej w srebrnej ofiarnej misie do mycia rąk.

Jako Kandydat idę ostatnia zaraz za Jasperem. Gdy moje palce muskają powierzchnię wody, staram się nie podnosić wzroku. Nie mogę jednak oprzeć się pokusie. Wiem, że srebrną misę trzyma Lukas. Chciałabym mu szczerze podziękować za uratowanie mnie na wieżycze oraz za wszystko, czego mnie nauczył, on jednak stoi pod ścianą i patrzy przed siebie jak idealny sługa. Jakbyśmy oboje byli niewidzialni.

Ustawiam się tak, by spojrzeć mu prosto w oczy, i patrzę wystarczająco długo, by musiał okazać, że mnie poznaje. I w tejże samej chwili pojmuję, że lepiej byłoby, gdybym tego nie zrobiła. W mroku dostrzegam coś, co porusza mnie bardziej niż spowodowane obawą o moje bezpieczeństwo podczas Prób błagania rodziców albo starannie dobrane argumenty Jaspera. Widzę smutek.

Uderza ostatni dzwon przed wieczornym nabożeństwem. Nigdy wcześniej nie byłam tak szczęśliwa, słysząc bicie Campany wyznaczającej każdą chwilę naszej egzystencji. Dźwięk dzwonu oznacza, że goście muszą odejść, zabierając ze sobą niekończące się rozmowy o przebiegu minionych Prób. Nie mogę się doczekać kolejnego uderzenia.

Ból. Oto, o czym były minione dwa dzwony. Oczywiście nie ujawniałam swego dyskomfortu. Z wdzięcznym panińskim uśmiechem na twarzy znosiłam dzwony historii krewnych i przyjaciół. Ostatniego roku słuchałam z zachwytem. To są opowieści tworzące serce Nowej Północy. Prawdziwe historie o tym, jak zwycięzcy z dawnych dni dzielnie stawiali czoło niepokonanym lodom i dokonywali niezwykłych odkryć. Prawdziwe legendy, jak ta, która uczyniła Wielkim Archonem mojego ojca.

– Pamiętacie suknię, którą znaleźli kilka lat temu? – wykrzykuje stryj Jaspera po wypiciu kilku pucharków miodu. Jako Wielki Strażnik Prawa rzadko się cieszy, a jeszcze rzadziej wybucha śmiechem, ale dziś jest szczególna noc. Bruzdy na jego twarzy, wyrte tak ostro jak szczeliny w kamieniu, drżą z tajemnej uciechy. – Tę bez rękawów?

Damy i Panie na wspomnienie sukni bez rękawów odpowiadają podnieconymi szczebiotami. Skromność jest jądrem Prawa; poza twarzą i dłońmi żaden skrawek skóry nie może zostać obnażony w obecności mężczyzn Gniazda czy Pogranicza. Kobiety potrzebują szczególnej opieki bogów. Zresztą, co ujawniać żywiom?

– Albo tę szatę, która nie sięgała kolan? – dopowiada małżonka Iana.

Po tych słowach Damy i Panie wydają jednogłośnie westchnienie. Taka rozpusta wykracza niemal poza ich imaginację, nawet wtedy, gdy ich brzuchy pełne są miodu.

– Dość tych skandalicznych wspomnień. – Mój ojciec podnosi głos, ale jednocześnie wymienia porozumiewawczy uśmieszek z Ianem.

To oczywiście też jest częścią rytuału: długie i rozwlekłe opisywanie artefaktów odkrytych podczas Prób przez Kandydatów – nie tylko nieskromnych ubrań, ale też niebezpiecznych leków, amuletów Apple'a –

a nawet rzadkiego ołtarza Apple'a: płaskiej, szklanej powierzchni, przed którą ludzie sprzed Uzdrawienia spędzali niezliczone dzwony, gapiąc się na siebie w fałszywym uwielbieniu. Każdy zaś ze znalezionych artefaktów był bardziej zaskakujący niż poprzedni.

Zrozumiałam także, iż zamierzali dodać mi i Jasperowi otuchy na czekające nas dni. Ale to im się nie udało. Wszystkie te gadki o artefaktach przypomniały mi o moich głównych słabościach mogących przeszkodzić mi w Próbach.

Lukas nauczył mnie sposobów przeżycia w Arktyce, bym miała szansę w trzech pierwszych seriach, w których Kandydaci udowadniają swe umiejętności przetrwania. Ale wciąż niewiele wiem o świecie sprzed Uzdrawienia. Kandydaci zazwyczaj poświęcają całe lata na naukę o świecie przed Uzdrawieniem, tak że potrafią identyfikować artefakty i znają należące do wiedzy opowieści ostrzegawcze, będące istotą Prób, Nowej Północy oraz istotą wysiłków Triad zmierzających do wzmocnienia kluczowego przesłania Preambuły i Prawa. Ja natomiast spędzałam dni, poznając Arkę i doskonaląc się jako Panna, co mi wcale nie pomoże w Próbach. Nawet cały trening z Lukaszem nie zdoła uzupełnić tego niedostatku.

Po ostatnim gongu przed dzwonem na wieczorną modlitwę mięśnie zaczęły mnie boleć od bezruchu. Opanowała mnie desperacka i gorączkowa chęć, by uciec od tych wszystkich gadających gości do mojego pokoju i samotnie zbierać odwagę w oczekiwaniu na dzwony oznajmujące świt. Muszę jednak dopełnić obowiązków Panny. Jak przystoi córce Wielkiego Archona, wstaję z krzesła i idę ku drzwiom, by odebrać formalne pożegnania. Zebrani przede wszystkim czekają na błogosławieństwo mojego ojca. Potem, ujmując dłoń każdego z gości, jak tego żąda Prawo od gospodarzy, dziękuję im za błogosławieństwa.

Maniery zawodzą mnie, gdy dochodzę do stojącego na samym końcu szeregu Jaspera. Jutro razem będziemy Kandydatami do Prób. Dziwne, że znaleźmy się całe życie, ale przecież on był przyjacielem Eamona. A jego stryj i mój ojciec są bliskimi przyjaciółmi.

Ale jest coś jeszcze. Coś, co dopiero teraz przyszło mi do głowy. Ostatnio często czułam na sobie jego spojrzenie i widziałam, jak się czerwieni, jakbym była dlań kimś więcej niż przyjaciółką czy krewną. Jakby myśląc o naszym związku, mógł czuć to samo co nasze rodziny. Nie, żebym w obecnym stanie umysłu mogła myśleć o czymś innym niż o mojej żalobie i Próbach. Niezależnie od naszych uczuć wiem, że dziś w nocy wszystko

będzie inaczej. Inaczej będziemy do siebie mówili, inaczej będziemy na siebie patrzyli, inaczej będziemy o sobie myśleli. Staniemy się zawziętymi rywalami. Nie przyjaciółmi. A na pewno nie będziemy kimś więcej niż przyjaciółmi.

Spoczywają na nas taksujące spojrzenia moich i jego rodziców. To też jest swego rodzaju próba. Ujmuję dłoń Jaspera i patrzę mu w twarz. Widzę w jego oczach odbicie moich niewypowiedzianych pytań. Mówię zaś wszystko, co mogę w tych okolicznościach powiedzieć – to rytualne błogosławieństwo tych, którzy wybierają się poza Pierścień:

- Niech bogowie będą z tobą.
- Niech i z tobą będą bogowie.

Po ostatnim uścisku mojej dłoni Jasper zawiązuje wokół bioder swoją futrzaną opończę i wespół z rodzicami znika w mroku zimnej nocy.

Lukas zamyka za naszymi gośćmi ciężkie kamienne drzwi i dokładnie je rygluje. Widzę, że jego dotąd sztywne barki lekko się rozluźniają i nawet moi rodzice oddychają głośniejsz z wyraźną ulgą. Rytuał dobiegł końca. Możemy się odprężyć.

W miarę jak służący gaszą świece i lampy, wielka sala zaczyna zasnuwać się mrokiem. I w tejże samej chwili, gdy ruszam ku kamiennym schodom, słyszę ciężkie stukanie w drzwi.

Wszyscy zamieramy w bezruchu. Nikt nie puka do drzwi na chwilę przed dzwonem na wieczorną modlitwę, gdy wszyscy mieszkańcy Gniazda muszą przebywać w swoich domach. Tylko członkowie Triady – Strażnicy Prawa, Archonowie i Basilikonowie mają w tym czasie swobodę ruchu. Ciało Lukasa sztywnieje; patrzy na mojego ojca, który skinieniem głowy pozwala mu odsunąć rygle. Gotujemy się na przyjęcie gościa.

Jeszcze zanim wkracza do komnaty, widzę jego wyróżniającą się wśród innych futrzaną opończę. To Jasper. Wymieniają z Lukaszem spojrzenia, choć się nie witają – niezależnie od poważania, jakim się cieszy, Lukas jest tylko Towarzyszem Pogranicza.

Jasper kłania się nisko przed moim ojcem.

– Przykro mi, ale musiałem wrócić – stwierdza. Jego uśmiechnięta twarz wyraża udawaną skruchę wobec moich rodziców. – Przypadkiem zostawiłem foczą opończę mojego prapradziadka.

– Opończę, którą miał na sobie Magnus podczas Prób? – pyta matka wysokim głosem Damy.

Wiem, że Jasper kłamie. Nie ma mowy, żeby zapomniał o tej opończy. Zanim goście zdążyli się spać, większość rozmów przy kolacji poświęcono

wyczynom Magnusa, który swego czasu zwyciężył w Próbach, co przyniosło mu tytuł Archona. Zgodnie z legendą pokonał Szlak Prób w rekordowym tempie. A matka Jaspera zrobiła pokaz wieczoru, dając synowi tę opończę na szczęście podczas jego Prób.

– Właśnie tę – mówi Jasper.

– No cóż, musisz mieć na jutro tę opończę – odpowiada moja matka. – Ewo, pomóż Jasperowi ją znaleźć. Szybko.

Podążam za Jasperem do sali biesiadnej, usiłując odgadnąć, w co gra moja matka, choć z grubsza potrafię się domyślić. Chce, żeby Jasper miał szczęście. Chce, żeby wygrał i żebym ja przegrała, choć wyszła z Prób żywa, tak by można mnie było zaręczyć i w świetle nowego początku zapomnieć o strasznej śmierci Eamona. Gdy oboje zaglądamy pod ciężki stół na krzyżakowych nogach i szukamy pod ławami, mogę przyjrzeć się pszenicznym włosom Jaspera i jego jasnym, zielonobłękitnym oczom z mniejszej, niż zezwala Prawo, odległości. Wygląda na bardziej prawdziwego i bezbronniego niż jego publiczny wizerunek Kawalera.

– Musiałem wrócić, Ewo – szepcze niespodziewanie. – Żeby się z tobą prawdziwie pożegnać.

Mrugam zaskoczona. Jasper zawsze przestrzegał Prawa; wierzy w jego znaczenie dla przetrwania Ludu Orlego Gniazda. Nie do pomyślenia jest to, że złamał kardynalną zasadę, jaką jest przestrzeganie wieczornego dzwonu, tylko po to, żeby się pożegnać. Nie mówiąc już o tym, że właśnie podał nieprawdziwy powód swojego powrotu, czego Prawo surowo zabrania: „Nie pozwól kłamstwu przejść przez twoje wargi lub zamieszkać w twoim sercu”. A moja matka doskonale o tym wie. Musi wiedzieć.

Jasper uśmiechem kwituje moje zaskoczenie. Mimo okoliczności nie umiem nie odpowiedzieć mu uśmiechem: jego wyszczerzone zęby ujawniają lżejsze nastawienie do sprawy pod pozorną służbistością. Zwykle ma się na baczności. Wiem, że zamiast odpowiadać uśmiechem, powinnam zaprotestować. W rzeczy samej właściwą reakcją Panny powinno być zwrócenie mu uwagi na niewłaściwość podejmowania ryzyka i zuchwałość. Ostatecznie wypowiada się jako Kawaler. Oświadczeń związanych ze związkami małżeńskimi nigdy nie składa się bez obecności rodziców jako świadków – a i to tylko wtedy, gdy zostały zawarte formalne umowy z ich inicjatywy i po zatwierdzeniu Triady. Ale chcę usłyszeć, co ma mi do powiedzenia, więc się nie odzywam.

– Podczas minionych kilku miesięcy straciłem wiele czasu na powstrzymanie cię przed przystąpieniem do Prób – mówi.

– Straciłam rachubę twoich argumentów po pierwszej setce. Jak ci nie wyjdzie w Próbach, możesz spróbować swoich sił jako Strażnik Prawa.

Niepokoi mnie to, co mówi Jasper, i mój żaloszny żart spełza na niczym. Panna powinna być bardziej poważna: „Niechaj z twoich ust nie spłynie żart, chyba że w odpowiedzi na zachętę bawiących w twoim towarzystwie Kawalera, Pana lub Lorda”.

Jasper uśmiecha się krzywo, ale szybko odzyskuje rezon.

– Przykro mi, Ewo, że nie popierałam cię, gdy tego potrzebowałaś. Naprawdę ciężko musiało ci się mnie słuchać, bo musiałaś się uporać ze stratą Eamona.

– Twoje sprzeciwy mi nie pomagały.

Nie widzę powodu do zaprzeczania, niezależnie od tego, że podczas zwykłych rozmów w Gnieździe należało wyrażać się miło i uprzejmie. Biorąc po uwagę to, iż w tej chwili wyraźnie wykraczaliśmy poza granice wyznaczone przez Prawo, uczciwość wydaje mi się jedyną słuszną drogą.

– Chciałbym, żebyś zrozumiała, dlaczego usiłowałam cię skłonić do rezygnacji z udziału w Próbach.

Kiwam głową. Prawo zabrania Kandydatom rozmów ze sobą podczas Prób. Za złamanie tej zasady odesłano do Gniazda niejednego Kandydata.

– W porządku – mówię spokojnie.

Jasper odrywa wzrok od mojej twarzy i spogląda na szorstką posadzkę. Potem mówi:

– Ewo, od dawna żywiłem nadzieję, że możemy w przyszłości żyć razem.

Nie umiem się powstrzymać od zadania sobie w myśli pytania, czy moja matka przewidywała, że on uczyni ten ostatni wysiłek, by mnie skłonić do rezygnacji. Serce wali mi jak młot. Podjęłaby poważne ryzyko, ale oczywiście mogła wszystkiego się wyprzeć. Związki małżeńskie są wyłączną domeną Triad i rodziców. Nie należą do Panien ani Kawalerów. Wyznanie Jaspiera po części mi pochlebia: jest on uważany za jedną z najlepszych partii wśród Kawalerów w Gnieździe. Ale sama wciąż dokładnie nie wiem, co do niego czuję. Od śmierci Eamona przestałam okazywać jakiegokolwiek emocje. Boję się, że jeśli choćby raz pozwolę sobie na ich ujawnienie, utonę w powodzi rozpacz. I wtedy równie dobrze mogę się poddać.

Nie zamierzam się teraz do tego przyznawać ani go urazić. Nie chcę też, aby to matka odniosła zwycięstwo. Odpowiadam więc tak skąpo, jak to tylko możliwe, używając jej logiki:

– Rozumiem. Nie byłoby właściwe, gdyby przyszła żona dopełniła Prób. Nie udało się to żadnej kobiecie od stu lat.

Jasper oderwał wzrok od posadzki i ujął moje dłonie.

– To nie o to chodzi, Ewo. Masz wszelkie prawo stawania do Prób jak każdy członek rodziny Założycieli. Udowodniłaś nam wszystkim, że nie ma zasady Prawa, która mogłaby cię powstrzymać. I nie dbam o to, co twoja, moja albo czyjkolwiek matka myśli o twoim zachowaniu i Prawach dla Panien. – Przerywa, a na jego twarzy pojawia się rumieniec. – Po prostu nie mogę znieść myśli o tym, że mogłabyś doznać krzywdy, a Próby są niebezpieczne. Nie mógłbym żyć, gdyby coś ci się stało.

Otwieram usta, ale nie wydobywa się z nich ani jedno słowo. Nie mam wyboru, muszę się ukryć za panięską maską skromności. Opuszczając wzrok, wyduszam z siebie:

– Och...

– Ewo, jeżeli mógłbym ci w czymś pomóc w czasie Prób... nie bacząc na Prawo, nie bacząc na...

– Jasperze! – Słysząc silny głos mojego ojca z Sali Solarnej. – Znalazłeś to, czego szukasz? Lada moment zabrzmie dzwon wieczorny.

Patrzę na Jaspera. Spod futrzanej oponczy wyciąga foczą skórę; ukrywał ją tam od początku.

– Tak, panie. Myślę, że znalazłem.

Podłogę i łóżko mojej sypialni zaścielają przedmioty pomocne w Próbach. Są to sakwy z mapami i książkami, kamiksy, buty z rakami, wyposażenie do wspinaczki; podnośniki, łuki, *bola*, miotacz oszczepów, namioty i przedmioty do gotowania jedzenia; moja łódź z foczej skóry rozpiętej na szkielecie z kości wieloryba oraz wszystkie focze i niedźwiedzie skóry, które można unieść. Wszystko, co może mi się przydać. Dokładniej: wszystko, co materialne. Nie mogę zapakować odwagi.

Użyję tych gratów jako tarczy. Oprócz tego gromadzę pograniczne narzędzia, które dał mi Lukas, jak mój nóż ulu¹. Te przedmioty podczas pierwszych trzech etapów mogą stanowić o różnicy pomiędzy życiem i śmiercią. No i jest mój dziennik. Prawo zabrania tworzenia osobistych dzienników: „Nie czyn tajemnicy z tego, co piszesz albo o czym dyskutujesz prywatnie”. Ale po śmierci Eamona potrzebne mi było miejsce, gdzie mogłam pozostawać sobą. W przeszłości mogłam zachowywać się jak Panna – i zadowolić się moją przyszłą rolą ogrodniczki lub żony – ponieważ zawsze znajdowałam pociechę u Eamona. Z nim dało się na chwilę zapomnieć o zasadach, jakie Prawo ustanowiło dla Panien, wspiąć się na wieżyczkę, zakpić z naszej matki i swobodnie porozmawiać. Mogłam nawet szeptem powtarzać zakazane bajki, jakie słyszałam od mojej ukochanej Niani z Pogranicza, Agi – jak ta o młodej Śnieżnej Pannie, która leży w lodowej trumnie i czeka na odważnego Kawalera, który obudzi ją pocałunkiem. Eamon błagał mnie o podobne opowieści. Ten dziennik był żalną namiastką rozmów, jakie z nim prowadziłam.

– Co ty tam robisz, Ewo? – pyta moja matka.

Wsuwam dziennik pod największą z sakw i odpowiadam jej niewinnym spojrzaniem.

– Układam swoje wyposażenie.

Kręci głową i wskazuje na nieład w komnacie.

– Ewo, wszystko to jutro ma się znaleźć na ciągniętych przez psy saniach. Jak, na miłość bogów, zamierzasz się z tym zmieścić? – W jej głosie

brzmi prawda, ale ona w swoim dążeniu do doskonałości pozostaje Damą.

– Nie martw się, matko. To jest bardziej uporządkowane, niż wygląda. Wszystko się zmieści.

Mierzy mnie gniewnym wzrokiem.

– Sądzę, iż wciąż jeszcze masz dość rozumu, by zrezygnować choćby teraz. W istocie mniemałam, że wyładowałaś się w swoich niepanieńskich wybrykach podczas tej sprawy z kilimem.

Serce zaciska mi skurcz niepokoju. Powinnam była przewidzieć, że matka wyciągnie tę kłopotliwą sprawę: fatalne wydarzenie, które splamiło mój idealny wizerunek Panny dążącej do tytułu Damy. Z drugiej strony miała rację. Co ja sobie myślałam, wyszywając ten kilim? Świadomie zmieniałam wizję zawartego w Prawie Uzdrawienia, tworząc symbol fałszywego boga Apple'a zwisającego z drzewa. Co gorsza – jabłko było nadgryzione. Na obronę tych kilku fatalnych ściegów mogłam stwierdzić, że podkusiła mnie tajemna bajka, jaką mi opowiedziała o jabłku Niania Aga – o Pannie, Kawalerze, ogrodzie... i że zatraciłam się w pięknie obrazu. Zrodzona z marzeń wyszywanka doprowadziła do wygnania mnie z kręgów dziewcząt zajmujących się popołudniowymi pracami ręcznymi. Będące moimi przyjaciółkami Panny zapomniały o mnie.

I zaczęłam praktykę pomocniczki Ogrodnika.

Ale nie ze wszystkim przegrałam. Odkryłam w sobie upodobanie do pobieranej u Ogrodników Arki nauki o botanice i uprawie roli. I myślę, że to irytowało matkę bardziej niż popełnione przeze mnie błuźnierstwo: iż przedkładałam moją karę w Arce nad wyszywanki i dziewczęce ploteczki.

Nie odpowiadam, a matka podejmuje wątek:

– Mimo tych wszystkich nieprzyjemności, choć jesteś Panną, zdecydowałaś o przystąpieniu do Prób.

– Były już Panny, które przeszły pomyślnie przez Próby. Na przykład Madeline. Albo Carina.

Zapragnęłam prawie, żeby był tu Jasper, który zechciałby mnie poprzeć. Przeszukując Preambułę i Prawo, by znaleźć potwierdzenie tego, że Panna może przystąpić do Prób, dowiedziałam się, iż w przeszłości dwie Panny osiągnęły pozycję Archona.

– Obie te Panny – matka niemal wypluwa to słowo – brały udział w Próbach ponad sto pięćdziesiąt lat temu, kiedy niektóre wciąż jeszcze nie wyzbyły się paskudnych cech sprzed dni Uzdrawienia, zanim dziewczęta prawdziwie stały się Damami i Pannami Orlego Gniazda, jakie widzisz w dniach dzisiejszych: kobietami Prawa. Chcesz być taka jak Madeline czy

Carina? Niewychowana i szorstka?

– Matko, nie wiesz, jakie one były...

Podnosi dłoń.

– Dość. Udowodniłaś, że nie mogę cię powstrzymać, nie znaczy to jednak, iż apróbuję twój postępek. Zdołałaś przekonać ojca, ale nie mnie. Twoje miejsce jest tutaj, w domu. I kiedyś, być może, u boku Jaspera. Jeżeli wciąż będzie cię chciał, gdy ten cały nonsens się skończy.

Jest tak, jak się spodziewałam. Wracam do pakowania sprzętu. Nie mamy sobie już nic do powiedzenia.

Matka wzdycha. Jest to ciężkie westchnienie pełne rezygnacji, desperacji i smutku. Niemal mi jej żal. Ona też cierpiała z powodu śmierci Eamona i nawet jeżeli wspólnie z Lukaszem pokpiwamy sobie z jej śmiesznego przywiązania do Prawa, wiem, że to jest jej sposób na uporanie się z żałobą. Widzę, że jej twarz łagodnieje, i zastanawiam się, czy ona zdobędzie się na przejście przez komnatę, by mnie przytulić. Ale zamiast tego znów zakłada maskę Damy. Jak rozumiem, wszelkie łagodniejsze emocje matki – te, na które wedle jej wiary pozwala Prawo – umarły wspólnie z Eamonem. Pozostały jedynie obowiązki, konieczność zachowania pozorów i wola przetrwania.

Drzwi zamykają się z łoskotem. Myślałam, że pragnę samotności. Tęskniłam za nią cały dzień i w jej poszukiwaniu nawet uciekłam na wieżyczkę. Z ulgą myślałam o pozbyciu się roli Panny. Teraz jednak prawdziwie odczuwam samotność. Wyobrażam sobie, jak będę wyglądała jutro, gdy stanę na podwyższeniu miejskiego rynku obok jedenastu innych rywali. W myślach widzę, jak samotnie opuszczam Gniazdo przez Pierścień, a potem podążam przez rozległe, lodowe pustkowia Nowej Północy ku brzegowi Zamarzniętych Mór. Być może będę musiała wspinać się na lodowce i schodzić w głąb przepaści, by znaleźć artefakty – te straszne pozostałości z minionych dni zmyte na brzegi Nowej Północy podczas Uzdrawienia. Jeśli będę miała dość szczęścia, znajdę relikw – choćby nie tak ważny jak ten odkryty przez mojego ojca – który zbadam w samotności mojego igloo. Ze swojego relikwu wydobędę naukę, dzięki której ludzkość nigdy już nie powtórzy katastrofalnych błędów. I dopiero wtedy bogowie spomiędzy naszej dwunastki wybiorą Archona.

Jedenastu pozostałych Kandydatów to Kawalerowie jak Jasper. Jasne jak Słońce.

W głębi duszy wierzę, iż mimo braku szkolenia i mimo że dotychczas każdy myślał o mnie jak o Pannie, mogę tego dokonać. Nie uważano mnie

za pokorną Pannę, ale jednak za Pannę. Muszę wierzyć w swoje powodzenie. Czy nie to zawsze mówił mi Lukas? I czy jego niezachwiana wiara w wagę pewności siebie nie okazała się prawdą, gdy skłaniał mnie do wspinaczki na otaczające Gniazdo lodowce i uczył rozpoznawać dotykiem wszystkie rodzaje śniegu?

Po raz pierwszy od wielu dni czuję spokój. Jest niemal tak, jakby Eamon dał mi osobiste błogosławieństwo.

Rozwiązuję przód mojej szaty biesiadnej, by włożyć nocną zmianę bielizny. Podczas nadchodzących dni nie będę korzystała z tego luksusu – aby utrzymać ciepło, mam zamiar spać w tych samych okryciach z futer i skór, które będą mnie grzały w dzień. Haftki wedle biesiadnych wymogów są pozapinane ciaśniej niż zwykle, ale jakoś daję sobie radę. Zastanawiam się, czy nie wezwać na pomoc Katji, mojej Towarzyszki Pogranicza – ale się waham. Katja została wybrana, by zostać moją Towarzyszką, ale jakoś nie czuję do niej większej sympatii. Jest miła i lojalna, ale łączącej nas więzi nie da się porównać do tego, co czułam w stosunku do Eamona lub teraz Lukasa. Nasza trójka była prawdziwie wyjątkowa.

Słyszę ciche stukanie do drzwi. To może być tylko Katja. Matka dawno odeszła, a pukanie ojca jest wyraźne i władcze.

– Wejdz. Właśnie myślałam o tym, żeby cię wezwać – mówię.

Drzwi się otwierają, a ja czuję nagły skurcz w krtani. Komnatę wypełnia Lukas. Jest szeroki w barach, ma mocno sklepioną pierś i jakoś udaje mu się sprawiać, że nawet najluźniejsze tuniki wydają się na nim zbyt ciasne.

Odwracam się i szarpnię z haftkami, by zapiąć suknię.

Lukas się cofa.

– Przepraszam, Ewo. Nie powinienem był tu wchodzić.

Poprawiając szybko suknię, spieszę, by dodać mu otuchy.

– Nie, nie, Lukasiu. Zostań, proszę. Chciałam ci podziękować za...

– Za wieżyczkę? Nie ma potrzeby. Zrobiłem to, co do mnie należało.

Wbrew samej sobie czuję, że ogarnia mnie irytacja.

– I nic więcej? Robiłeś swoje?

– Oczywiście, że nie, Ewo. Wiesz doskonale, że nie tylko.

Patrzemy na siebie niepewni, co powiedzieć. Prawo wyraźnie zabrania takiej przyjaźni, jaka zawiązała się między nami i Eamonem: „Niech żadna poufałość nie powstanie wobec ludzi z Pogranicza; jesteśmy ich opiekunami, nie przyjaciółmi czy członkami rodzin”. Co za tym idzie, niekiedy nie bardzo wiem, jak odzywać się do Lukasa. Dla mnie ten rodzaj rozmowy nieskrępowanej przez Prawo jest niezręczny i zbyt szczery.

A nawet zuchwały.

– Opowiedz mi jeszcze o Nunassiaqu, dobrze? – wypalam wreszcie.

– Myślałem, że to ty jesteś opowiadaczką historii, nie ja. – Usiłuje mnie zbyć, cofając się do czasów, kiedy we trójkę ukrywaliśmy się na wieżyczce, a ja powtarzałam bajki zasłyszane od Niani Agi. Ale nie damę się spławić.

– No, dalej, Lukasiu. Proszę.

Milczy przez chwilę, a potem kręci głową.

– Ewo, jutro opuścisz Gniazdo jako *upernagdli*², nie Inuitka. Gdy dokonasz Przejścia, wkroczysz na ziemię, które nie są już Nunassiakami. To miejsce umarło, gdy nadeszła powódź... wybaczyć, gdy stało się Uzdrawienie. Nowa Północ stworzyła ziemię Pogranicza dla mojego ludu.

Teraz naprawdę nie wiem, co powiedzieć. Przejęcie Lukasa dotyczące „powodzi” moja matka nazwałaby bluźnierstwem, ja jednak nie czuję urazy z tego powodu, że ludy Pogranicza mają inne wierzenia. Przeważnie mi ich żal, ponieważ nie znajdują pociechy w naszej wierze w bogów. Poza tym zbyt szanuję Lukasa, by udzielać mu pouczeń dotyczących błogosławionych przez bogów wydarzeń, które doprowadziły do stworzenia Nowego Świata: podróży Założycieli do Arktycznych Wysp, które stały się naszym nowym domem; sposobu, w jaki Założyciele zjednoczyli się, by stworzyć posłuszne Prawu społeczeństwo, gdy Uzdrawienie pochłonęło większą część Ojca Ziemi; i świętej misji Nowej Północy mającej na celu uniknięcie błędów świata przeduzdrawieniowego polegającej na utworzeniu Prawa, Pogranicza i Prób.

– Cóż... Dzięki za to, że przyszedłeś się pożegnać – odzywam się w końcu.

– Ewo, przyszedłem, żeby ci coś przynieść. Coś, co może ci pomóc w Próbach – odpowiada łagodnie.

Przez moją twarz przemyka uśmiech. Zacieram ręce. Kolejne narzędzie z Pogranicza. Nie jestem aż tak pewna siebie, żeby nie przyjąć pomocy.

– Więc jaki to skarb przynosisz mi tym razem?

– Książkę.

Wskazuję zalegające komnatę sakwy.

– Nie zmieszczę więcej książek. Matka poinformowała mnie, jakbym sama o tym nie wiedziała, że jestem ograniczona do tego, co mogę załadować na moje sanki.

– Dla tej książki może zechcesz zrobić miejsce, Ewo.

W jego głosie pojawiają się twardsze nutki. Z niewielkiej, zwisającej mu u boku sakwy wyciąga książkę niezbyt ozdobnie oprawioną w skórę. Jej

wygląd wydaje mi się znajomy, ale to samo dotyczy większości tomów. Papier jest rzadkością, książek więc używa się wielokrotnie do uświęconych Prawem celów. Spoglądając na nią, nagle zdaję sobie sprawę z tego, dlaczego ją poznaję.

To dziennik Eamona.

Podaj mi ją – rozkazuję Lukasowi.

Mruga powiekami, a ja natychmiast zaczynam odczuwać wyrzuty sumienia. Choć jestem Panną Gniazda, a Lukas zwykłym Towarzyszem Pogranicza, nie podkreślałam moich praw do mówienia z nim tak, jak mi się spodoba – nigdy dotąd nie byłam tak szorstka w stosunku do przyjaciela. Przyczyną braku taktu jest chęć przeczytania słów brata, ale to nie powinno mnie tłumaczyć.

– Przykro mi, przepraszam – szepczę.

Lukas podaje mi książkę, ale nie odpowiada na przeprosiny. Nie dziwi mnie to. Kiedyś mi powiedział, że mieszkańcy Pogranicza nigdy nie przepraszają: ludziom, których skrzywdzili, dają rekompensatę w postaci jakiegoś cennego przedmiotu. Zamiast na przeprosiny odpowiada zaś na zrodzone w myślach, ale jeszcze niezadane moje pytanie:

– Znalazłem ten dziennik dziś w nocy, Ewo.

– Gdzie był?

Od śmierci Eamona rozmyślałam, co się stało z niewielką książką, w której notował swoje przemyślenia, koncepcje strategii dotyczących Prób i wszystkie instrukcje Lukasa. Szukałam jej we wszystkich znanych mi sekretnych miejscach, aż doszłam do wniosku, że brat zgubił go na Pierścieniu.

– W deskach podłogi pod jego łóżkiem.

Dziwne, ale nie wiedziałam, że Eamon chował tak jakieś przedmioty. Najwyraźniej były pewne sprawy, które wolał zachować tylko dla siebie. Pogłaskałam niewielką książkę. Z jednej strony miałam ogromną ochotę, aby ją natychmiast otworzyć i pochłonąć słowa brata, a z drugiej – chciałam uszanować jego tajemnice. Byłam rozdarta pomiędzy sprzecznymi chęciami. Powoli otworzyłam dziennik na przypadkowej stronie i spojrzałam na znajome pismo, nie czytając treści.

– Czytałeś? – zapytałam Lukasa.

– Napisane jest po łacinie.

– Och, rzeczywiście.

Prawie zapomniałam, że Lukas nie zna łaciny. W kwestii sposobów przetrwania mógłby przechytrzyć każdego z mieszkańców Gniazda, ale jego wiedza ma swoje granice. Jedyne słowa po łacinie, które wolno poznać mieszkańcom Pogranicza, to te, jakie wypowiada się na głos w Gnieździe. Nie lubię odkrywać, że Lukas ma jakiegokolwiek niedoskonałości.

– Przeczytasz mi to? – pyta Lukas.

– Oczywiście, że tak – odpowiadam.

Lukas nigdy wcześniej mnie o nic nie prosił. Zaczynam od pierwszego wpisu. Nie ma daty, ale od pierwszej linijki uświadamiam sobie jasno, kiedy Eamon to pisał.

Dziś zgłosiłem swoją kandydaturę do Prób. Mówiłem o tym od dnia, w którym skończyłem cztery lata. Przynajmniej tak mi powiedziała Ewa. Ale podanie mojego imienia Strażnikom Prawa i Archonom było niezwykłym doświadczeniem. Nie wspominając o tym, że musiałem to zrobić przed ojcem, Wielkim Archonem.

Ojciec zawsze upierał się przy tym, iż jego funkcja Wielkiego Archona jest nietrwała, tak zresztą być powinno. Jest ulotna jak sam czas. Szkolenie z archeologii przygotowało mnie do właściwego wydobywania artefaktów spod lodu. Szkolenie z historii skupiło się na czasie sprzed Uzdrawienia, żebym mógł identyfikować znalezione artefakty. Nauka i basilika były potrzebne do tego, by zrozumieć, jak relikty doprowadziły do Uzdrawienia. I jeszcze te wszystkie treningi z Lukasem.

Ale w jakiś nieuchwytny sposób Próby wydają mi się przedwcześnie. Czy kiedykolwiek będę gotów? Czy zdołam dokonać tego co ojciec? Czy w ogóle powinienem zostać Kandydatem?

Odrywam wzrok od dziennika.

– Nie wiedziałam, że Eamon tak to odczuwał. Nigdy mi nie wspominał o swoich wątpliwościach. Czy tobie kiedykolwiek mówił o czymś podobnym?

Nie odpowiada mi wprost, co jest dla niego typowe.

– Nie chciał cię niepokoić, Ewo. Chciał cię chronić.

Przestępuję z nogi na nogę, myśląc o Eamonie opowiadającym Lukasowi coś bardzo osobistego, o czym zwykle mówił tylko mnie. Wierzyłam, że Eamon i ja powierzaliśmy sobie największe sekrety. Myliłam się. Poprzednio w kwestii kryjówki, a teraz okazuje się, że jeszcze co do tego. Odsuwam tę myśl od siebie i ponownie spoglądam na dziennik. Kolejne trzy wpisy dotyczą treningu. Strony pełne są wszelkiego rodzaju wskazówek, jakich udzielał Eamonowi Lukas w kwestii pokonania pierwszych etapów:

szczegółów dotyczących kierowania saniami, budowania igloo, łowienia ryb w przeręblach, polowania na króliki i gęsi, wspinania się na lodowce, pokonywania rozpadlin i oczywiście czytania śniegu. Lukas był niezmordowany w ćwiczeniach, Eamon chciał zaś wszystko dokładnie zapamiętać. Od tego miało zależeć jego życie, gdyby pokonał Pierścień. Dlaczego w ogóle zaryzykował tę idiotyczną wspinaczkę? Był niepewny swojej przydatności jako Kandydata? Dziennik stwarzał więcej pytań niż odpowiedzi.

– To wygląda znajomo – powiedziałam, przeglądając dalsze zapisy. – Pamiętasz, jak zawiązałeś mi opaskę na oczach, bym nauczyła się dotykiem odróżniać śnieg od *pirty*?

Wspomnienie tej historii budzi we mnie krótki śmieszek, choć wtedy wcale nie uważałam tego za zabawne. Gdy na horyzoncie pojawiły się ciężkie, burzowe chmury – takie, na których widok mieszkańcy Nowej Północy zwykle kryją się w chatach i schroniskach – Lukas zaprowadził mnie i Katję do odległego zakątka Gniazda. Potem uwiązał psie sanie do drzewa i zaczekał. Patrzyliśmy, jak wiatr przybiera na sile, a chmury ciemnieją. Katja była przerażona, a ja wściekła na Lukasa za to, że naraził nas na niebezpieczeństwo. Nie zważając na nasze błagania, Lukas nie chciał się ruszyć ani wyjaśnić powodów swojego zachowania poza powiedzeniem, że jest to konieczne dla mojego przygotowania do Prób – dopóki nie uderzył śnieg. Dopiero wtedy zawiązał kawałek płótna na moich oczach, zsunął mi z dłoni rękawicę i położył mi na ręce bardzo różniącą się od zwykłego śniegu garść *pirty*. I tak zaczęło się moje szkolenie, jak przeżyć na zewnątrz Gniazda.

Lukas nie odrywa wzroku od ziemi.

– Trzeba było, żebyś nauczyła się odróżniać rodzaje śniegu. Nawet podczas burzy, kiedy nie możesz zobaczyć palców przed twarzą.

– A nie mogłam po prostu w tym ćwiczeniu zamknąć oczu? Naprawdę potrzebna była ta opaska? – mówię, żeby go trochę podrażnić.

Parska śmiechem.

– Musiałem mieć pewność, że nie będziesz oszukiwała.

– Ja miałabym oszukiwać? Jedna z pierwszych Panien Gniazda? W życiu!

– Ewo, ty nie jesteś jak inne Panny z Gniazda – odpowiada łagodnie i z uśmiechem. Potem podnosi wzrok i mówi nieco bardziej twardym głosem: – Chciałem, żebyś była przygotowana jak Eamon.

– A jestem?

Niespodziewanie dla samej siebie chcę wiedzieć.

Odpowiada z prawie nieuchwytnym opóźnieniem:

– Tak. Tylko że inaczej.

Zanim pojawia się szansa na spytanie go o znaczenie tych słów, na korytarzu za moimi drzwiami słyhać jakiś ruch. Na niewzruszonej zwykle twarzy Lukasa pojawia się przerażenie. Dobrze, że udziela mi lekcji, ale nie potrafię przewidzieć reakcji mojego ojca, gdyby Lukasa schwytano w mojej sypialni. Prawo z pewnością skorzystałoby ze stryczka. Dziewczętom z Gniazda i chłopcom z Pogranicza nigdy, ale to nigdy nie wolno spędzać czasu razem bez świadków.

Oboje kiwamy głowami w doskonałym zrozumieniu sytuacji. Lukas wspina się na parapet mojego okna, otwiera jedno skrzydło i znika w mrokach nocy.

Po kilku dzwonach snu stoję na platformie miejskiego rynku Gniazda otoczona przez ogromne pochodnie zapalone na pożegnanie Kandydatów.

Stałam na tej platformie kilkanaście razy wcześniej obok moich rodziców i Eamona. Przez minione dziewięć lat każdego dnia Prób mój ojciec przemawiał do ludu Nowej Północy. Tym razem jest inaczej. Tym razem zapalone pochodnie i zebrane tłumy są dla mnie.

Bez Eamona czuję się tu dziwnie lekko. Patrzą na mnie wszyscy znajomi z Gniazda czy Pogranicza. Nie mają co prawdawyboru – Prawo żąda od nich bezwarunkowej obecności. Widzę dwie moje przyjaciółki ze szkoły – Grace i Annikę – które odwróciły się ode mnie, gdy zdecydowałam się stanąć do Prób. Ich wzgarda sprawiła mi tylko nieznaczną przykrość. Moim najlepszym przyjacielem był przecież Eamon. Matka zawsze narzekała, że moja bliskość z bratem przeszkadzała mi w zawieraniu przyjaźni z innymi Pannami. Teraz, gdy stoję na platformie, widzę w oczach Grace i Anniki coś nowego – nie tylko niechęć do mojego wyboru, ale też strach o mój los. Gdy patrzę na nie z góry, odwracają wzrok.

Choć niewielką mi to ma przynieść pociechę, zwracam się do mojej stojącej na krawędzi platformy rodziny. Ponieważ wszystko na Nowej Północy powinno być uporządkowane, tłum stoi uszeregowany wedle rang: na przodzie członkowie Triady, dalej Strażnicy i ich rodziny, a w głębi inni mieszkańcy Gniazda – Słudzy i Wartownicy. Daleko zaś w tyle zwykli mieszkańcy Pogranicza: zwarte morze czarnych czupryn i ciemnych oczu.

Matka – co nie jest niczym dziwnym – wdziała swoją najlepszą suknię biesiadną, choć nie zabrzmiał jeszcze dzwon na pierwszą modlitwę. Zerka w lewo, taksując suknię stojącej obok niej żony członka Triady. Ojciec też nie patrzy na mnie. Zamiast tego wodzi wzrokiem po tłumie. Gdy w końcu odważa się spojrzeć mi w oczy, natychmiast pojmuję, o co chodzi. Ojciec nie umie ukryć obaw o moje życie. Prawo zabraniało mu wzięcia udziału w szkoleniu Eamona, ale był pewien swojego syna. Wobec mnie nie ma tej pewności. Nawiązanie kontaktu wzrokowego było może złym pomysłem. Chcę zachować hart ducha. Albo przynajmniej wyglądać na taką, która go

zachowała. Myślę o Prawie: „Pozwól swoim dzieciom wziąć udział w Próbach, ponieważ są zwyczajem uświęconym przez bogów”.

Wracam spojrzeniem na platformę. Po obu moich stronach stoi pozostała jedenastka Kandydatów. Wszyscy są Kawalerami. Jest wśród nich oczywiście Jasper, ale pozostałych nie znam. Możesz chodzić do szkoły Gniazda i nie znać wszystkich rówieśników, jednak teraz i tak powinniśmy oficjalnie wzajemnie się ignorować. Wszyscy mamy na sobie ten sam strój Kandydata: tuniki na obcisłych spodniach okryte opończami z foczej skóry.

Zdjęłam swoje długie suknie Panny; zastanawiam się, jak śmiesznie teraz wyglądam ubrana niczym Kawaler. Naprawdę nie mam pojęcia, nigdy nie oglądałam siebie z boku. Relikt w postaci zwierciadła mojego ojca jest obecnie największym skarbem Nowej Północy i surowym przypomnieniem świętego Prawa, które zabrania korzystania ze zwierciadlanych odbić. Damy oraz Panny muszą więc w kwestii swojego wyglądu polegać na szczerości innych osób. I zadowalać się odbiciem w szybach albo w gładko wypolerowanej powierzchni lodu. A dziś musiałam zadowolić się jedynie pełnym niechęci spojrzeniem mojej matki. Oto ja: niedoszły botanik w stroju do Prób i z włosami zawiązanymi w ogon, tak jak to robią kobiety z Pogranicza.

Co ja, u licha, tu robię?

Ta myśl sprawia, że czuję się zażenowana. Zaczynam drżeć. Z trudem zachowuję postawę. Przeszukuję wzrokiem tłum, chcąc znaleźć coś lub kogoś, czyj widok pomoże mi opanować niepokój, zanim ten weźmie nade mną górę. W pierwszej chwili zwracam uwagę na porządek, w jakim utrzymany jest rynek Gniazda, z jego dobrze zachowanymi Twierdzami i łączącymi je pokrytymi lodem mostami.

I wtedy w najdalszym zakątku rynku, nieopodal kamiennego łuku Twierdzy Bogów spostrzegam kilku członków służby naszej rodziny, wśród których jest i Katja. Na jej twarzy malują się te same uczucia co na twarzach Grace i Anniki: wygląda jednocześnie na oszołomioną i przestraszoną. Nie uspokaja to moich rozdygotanych nerwów.

Dopiero gdy spostrzegam Lukasa, pojmuję, że cały czas szukałam wzrokiem właśnie jego. Widzi, co się dzieje. Wypowiada bezgłośnie jedno słowo, które nieustannie powtarzał podczas szkolenia: „Uwierz”.

Nie mogę mu odpowiedzieć skinieniem głowy, ale mocno mrugam i patrzę mu prosto w oczy. Czuję, że znów twardo stoję na ziemi, i przestaję drżeć. Gdy ojciec wchodzi na platformę i zaczyna przemowę, jestem już spokojna na tyle, by odwrócić się ku niemu i posłuchać.

– Dziś zbieramy się, żeby pożegnać naszych Kandydatów. Ci młodzi mężczyźni... – Odchrząkuje w tym miejscu, a ja zastanawiam się, czy to potknięcie było niezamierzone, czy chciał delikatnie dodać mi otuchy i naprawdę myśli o mnie to samo co Eamon. – Wybaczcie... Ci młodzi ludzie porzucą bezpieczeństwo Orlego Gniazda i ruszą ku najbardziej niebezpiecznej części Nowej Północy: na Zamarznięte Morza.

W tym momencie rytualne miejsce obok mojego ojca zajmuje stryj Jaspera Ian, Wielki Strażnik Prawa. Nie mogę nie dostrzec, że głębokie bruzdy rysów jego twarzy są jeszcze bardziej mroczne i sztywne. Zniknął z nich wszelki ślad chętnego uczestnika biesiad, jaki dostrzegłam minionej nocy. Gdybym na chwilę pozwoliła sobie na mniej ostre spojrzenie, uznałabym, że ojciec i Ian są do siebie bardzo podobni w ciemnych rytualnych szatach ozdobionych jedynie maleńkim symbolem Triady nad sercami.

– Ze względu na dobro ludu Nowej Północy Kandydaci narażają się na największe niebezpieczeństwa, by stać się Archonami – podejmuje śpiewnie Ian. – My, mieszkańcy Nowej Północy, potrzebujemy Archonów, by ukazywali nam niebezpieczeństwa czyhające przed Uzdrowieniem, gdy znieważaliśmy naszą ziemię, która następnie uległa uzdrawiającym powodziom. Znów musimy się uczyć wystrzegania Tylenolów zatruwających nasze umysły, pragnienia Coli osłabiającej nasze ciała i żądy kart Master, która obaliła naszych władców. Całe to zło wzięło się z uwielbienia fałszywego boga Apple’a...

Stwierdziłam, że niełatwo mi się skupić na recytowanej przez Iana historii Nowej Północy i stworzenia Prób. Zbyt często to wszystko słyszałam. Ciężała mi konieczność rozstania, a dziennik Eamona palił mi kieszeń. Pewne zdania nawiedzały moje myśli częściej niż inne: *Nie mogę dłużej ignorować prawdy, którą odkryłem... i czy nadal będę kochany, gdy zrobię to, co zrobić muszę...* Te zdania nie brzmiały tak jak inne, jakie brat wypowiedziałby głośno. Bliźniaczy brat, o którym mniemałam, że znam go tak dobrze.

– Czas na ostatnie pożegnanie – kończy Ian.

Na platformę wstępuje Wielki Basilikon. Zaczyna od wezwania nas wszystkich, by symbolicznie skropić wodami Uzdrowienia. Gdy przychodzi na mnie kolej podejścia na przód platformy, przysięgłabym, iż przez tłum przebiega cichy syk. Wiem, że mój udział w Próbach nie jest zbyt dobrze przyjmowany. Mimo wszystko jestem zdumiona, że ktoś był na tyle śmiały po tym, jak Triada zatwierdziła moją kandydaturę, szczególnie że mój ojciec

jest Wielkim Archonem. Ale mówię sobie: to tylko gra mojej wyobraźni.

Pod bacznyimi spojrzzeniami Wartowników tłum zaczyna się rozpraszać. Wszyscy ruszają ku wielkiemu, jednemu rozdarciu Pierścienia: szczelinie zwanej Wrotami.

Tam wszyscy mieszkańcy Nowej Północy patrzą, jak Kandydaci wdziewiają rysztynek, zaprzęgają sanie i ruszają w głąb ziem Pogranicza. Wielokrotnie w życiu obserwowałam tę ceremonię, nigdy jednak nie myślałam, że sama będę zaprzęgała psy do takich sań.

Po rozejściu się ludzi trzej Wielcy dają Kandydatom ostatnią możliwość pożegnania się z rodzinami.

Jedno po drugim zstępujemy schodami wiodącymi na platformę. Podchodzę do gromadki krewnych, oni zaś przekazują mnie sobie, aż wreszcie staję przed rodzicami, dając im ostatnią szansę na uścisk.

Matka, która znów kryje się za maską zachowującej hart ducha Damy, podchodzi pierwsza. Zamiast mnie objąć, jak pozostali członkowie rodziny, ujmuję mnie za ramiona.

– Przynieś nam dumę, Ewo. Ta rodzina zaznała już dość żałoby.

Tłumaczę sobie, że pod tą fasadą kryją się troska i współczucie, a potem mocno ją przytulam.

Podchodzi ojciec. Obejmuje mnie, jakbym była zaczynającym dopiero chodzić szkrabem. I szepcze mi do ucha:

– Nie myśl o wygranej, Ewo. Wróć tylko do domu. – Cofa się lekko i spogląda mi w oczy. – Obiecuj mi, że nie będziesz ryzykowała życia dla wygranej. Nie zniosę myśli, że mógłbym stracić drugie dziecko.

Nie mogę uwierzyć, że o to prosi. Herezją jest prośenie Kandydata o to, by nie starał się ze wszystkich sił: „Pozwól dzieciom robić wszystko, co w ich mocy, nie powstrzymuj ich uczuciem”. Nie mówiąc już o tym, że jest Wielkim Archonem, Świętym Strażnikiem Prawa i obrońcą Preambuły.

– Obiecuję – szepczę w odpowiedzi.

– Kandydaci, już czas – mówi nam Ian, który zdążył już wyjść z tłumy otaczającego jego bratanka Jaspera.

Uwalniam się z objęć ojca i wstępuję w szereg dwunastu Kandydatów. Idę ku Pierścieniowi, a w głowie mam tylko jedną myśl. Chciałabym, by Prawo nie zabraniało mi podejścia do Lukasa i pożegnania się z nim. Jeżeli przeżyję, będę to zawdzięczać wyłącznie jemu. A ponieważ jego praca jako Towarzysza dobiegła końca, może zostać odesłany z powrotem na Pogranicze, zanim zdążę wrócić.

Gdy zbliżamy się do Wrót, spostrzegam, że bogowie dali mi szansę. Na

samym końcu tłumu stoi Lukas. Gdy nasz szereg przechodzi w pobliżu miejsca, w którym stoi mój przyjaciel, łamię tradycję i macham dłonią na pożegnanie Gniazdu. Patrzą jednak tylko na Lukasa.

Po raz pierwszy w życiu dokonuję Przejścia. Niewielu ludzi to zrobiło: Prawo zezwala na to jedynie członkom Triady, Strażnikom, Kandydatom i Wartownikom Pierścienia. Teraz zaczynam rozumieć, dlaczego tak się dzieje. Patrząc na rozległe połacie czystej bieli – i niczego innego – widzę, że stoję na samym krańcu świata.

Zmuszam się do opanowania lęku wysokości i przyglądam się krajobrazowi. Lukas udzielił mi instrukcji, jak to może na mnie podziałać, gdy zadźwięczy głos dzwonu. Po lewej widzę kilka lodowych chatek przylegających do podstawy Pierścienia. Najwyraźniej mieszkańcy Pogranicza pobudowali te mizerne kiepskie schronienia, by mieć choć jako taką osłonę przed wiatrami i śmiertelnie niebezpiecznymi zwierzętami, które pustoszą świat poza Pierścieniem.

Za tymi chatkami dostrzegam tylko ogromną rozległą połąć kraju pokrytego śniegiem i lodem. Ale pouczona przez Lukasa przypatruję się dokładniej.

Mrużę rażone bielą oczy i badam horyzont. W ogromnej dali dostrzegam pokrytą śniegiem tajgę – rozległą, porośniętą brzozaami i sosnami połąć lądu, przez którą będziemy musieli się przedrzeć, żeby dotrzeć do bezdrzewnej tundry.

Żeby dotrzeć do Pierwszej Przeszkody, w tej przestrzeni – pomiędzy Pierścieniem i tajgą – będę musiała sprawić się lepiej niż inni Kandydaci. Muszę zrozumieć śnieg i wykorzystać wiedzę o nim dla siebie. I będę miała tylko jedną szansę.

Na sygnał dany przez Wielkiego Strażnika Prawa wszyscy ruszamy ku ustawionym w szereg saniom. Mój zaprzęg składający się bardziej z wilków niż psów początkowo mnie przerażał. Gdy po śmierci Eamona – jedyne go człowieka, do którego się przyzwyczaiły – zajęłam się ich szkoleniem, początkowo okazywały mi wrogość. Gdy brałam do ręki wodze, warczały na mnie i kłapały szczękami. Potem zwróciły swą wrogość przeciwko sobie i śnieg zabarwił się ich krwią. Miesiąc minął, zanim zdobyłam ich zaufanie i szacunek, tak że mogłam skłonić je do współdziałania i wykorzystać ich

rozmaite talenty. A gdy tego ranka zaprzęgałam je do sanek, stały się dla mnie braćmi i siostrami, jakich nigdy nie miałam.

Prowadzący husky, Indica, wyróżnia się swoim zupełnie czarnym łbem. Potem są Hohan, Hansen, James i Singerneq – wszystkie ciężko pracujące, białe husky, które byłyby niemal nieodróżnialne od siebie, gdyby nie inny rozkład czarnych plam na sierści. Dwa szare psy – Rasmus i Pierre – oraz brązowy husky, Akim, są dobroduszne, ale jeśli ich się nie weźmie za pyski, to będą rywalizowały o pozycję. I na koniec Sigurd – piękna, czarno-biała z okrągłą jasną łata wokół prawego ślepie. Jedyna suka w zaprzęgu. Pokrewny duch.

Sprawdzam, czy moje sakwy są zabezpieczone i czy wszystko na saniach jest w porządku. Przyjaźnie głaszczę każdego psa. Od tej chwili wszystko będzie zależało ode mnie. Żadnych Towarzyszy. Żadnych Sług. Nieważne, że mój ojciec przypadkowo jest Wielkim Archonem, nieważne, kim jest moja wścibska matka. Po raz pierwszy w życiu będę musiała polegać wyłącznie na sobie.

Na myśl o tym, na co się porywam, serce uderza mi mocniej. Nigdy nie podejmowałam się czegoś równie zakazanego poza wspinaniem się na wieżyczkę z Eamonem i spisywaniem tego dziennika, co teraz wydaje mi się niewinnymi dziecięcymi figlami.

Po przejrzeniu sprzętu nabieram garść śniegu. Trąc go między palcami, konstatuje, że to *masak*. W tym wilgotnym, wiosennym śniegu płozy sań będą grzęzły, jeśli im nie pomogę. Ukradkowo zanurzam dłoń w bocznej, przygotowanej dla mnie przez Lukasa sakwie i wyciągam niewielki fragment skóry zwilżonej oliwą. Udając, że jeszcze sprawdzam sanie, przecieram nią płozy.

Nadal udaję, że sprawdzam sanie, choć nie dlatego, że łamię Prawo, które wcale nie zabrania tego, co właśnie zrobiłam; w rzeczy samej w ogóle nie zwraca uwagi na takie sztuczki. Powodem jest to, że Gniazdo – a co za tym idzie i Prawo – w ogóle nie przyznaje mieszkańcom Pogranicza umiejętności rozróżniania rodzajów śniegu. Ale używanie takich umiejętności nie przyniesie mi uznania członków Triady, którzy trzymają w dłoniach nasze losy, ponieważ to oni obliczają punkty zdobyte w dziewięciu etapach składających się na Próby. A poza tym nie chcę dawać żadnych wskazówek innym Kandydatom.

Kończymy ostatnie przeglądy i stajemy każdy przed swoimi saniami, gotowi, by wskoczyć na płozy na sygnał Strażnika Prawa. Patrzą na stojących obok mnie Kandydatów. Choć znam ich wszystkich, nie mam

pojęcia, jak będą się do mnie odnosili na zewnątrz – zwłaszcza w świetle krążących plotek o brudnych sztuczkiach i podstępach podczas Prób, nawet pomiędzy znającymi się od lat przyjaciółmi.

Po lewej stoją Knud i Tristan. Obaj są blondynami o nieco odmiennych odcieniach barw włosów i zawsze uważałam ich za ślepo przestrzegających Prawa. Pamiętam, że byłam zdziwiona, gdy Eamon mi oznajmił, iż obaj wpisali się na listę Kandydatów. Może nalegali na to członkowie ich rodzin, ponieważ obaj wywodzili się z Wartowników? A może ich nie doceniłam?

Za nimi stoją Jacques, Benedykt, Thurstan i William. Wszyscy czterej byli przyjaciółmi Eamona i wykazywali podobne do niego zainteresowania: znali dobrze Prawo, choć niekiedy je kwestionowali, byli też przedsiębiorczy i krzepcy. Ojcowie Jacques'a i Benedykta pracowali bezpośrednio dla Strażnika Rybiego Łowiska i zastanawiałam się, czy to w jakikolwiek sposób ich łączy lub czyni z nich rywali.

Thurstan o piersi sklepionej jak beczka i bardziej prostacki od innych nie musiał się tym martwić; jego ojciec jest Strażnikiem Zbóż i niezależnie od tego, co tu się stanie, Kandydat ma miejsce w Arce. To samo dotyczy Williama, którego rodzina od czasów powstania Nowej Północy służyła w charakterze Strażników Domów i Budynków. Z pewnością wyglądał na bardziej przydatnego do intelektualnej pracy projektowania i konserwacji budowli.

Oczywiście podczas porannych obrzędów każdy z tych czterech Kawalerów rzucił mi przynajmniej jedno współczujące spojrzenie. Wiem, iż to wcale nie znaczyło, że będą mniej zajadli w wysiłkach rozstrzygnięcia Prób na swoją korzyść.

Po lewej na końcu szeregu stoją Anders, Petr i Niels. Znałam każdego z widzenia, choć niebyt dobrze poza Nielsem, który podobnie jak William wydawał się zawsze spokojnym mołem książkowym. Bardziej odpowiadałoby mu życie uczonego niż Archona. Gdybym musiała zgadywać, powiedziałabym, iż rodziny Petra i Andersa naciskały, by zgłosili się do Prób, ponieważ obie nie należały do elity Gniazda i służyły Strażnikowi Płomieni. Obie wiedziały dużo o paliwie i ogniu, może więc rywale mają nade mną przewagę, której nie jestem świadoma. A zwycięstwo z pewnością podniosłoby status rodziny.

Po mojej prawej stronie stoi Aleksander: syn dowódcy Wartowników Pierścienia. Zawsze był idealnie posłusznym Prawu ulubieńcem nauczycieli w szkole. A jednak niezależnie od tego, jak bardzo się starał – czy raczej właśnie dlatego, że bardzo się starał – nie był lubiany. Teraz uśmiecha się

do mnie szeroko, ale stoi niezręcznie blisko. Wszystko, co teraz pamiętam, to to, iż jego ojciec najbardziej ze wszystkich sprzeciwił się mojej kandydaturze.

Jasper stoi po drugiej stronie Aleksandra.

Nie stoimy dziś wystarczająco blisko siebie, żeby nawiązać kontakt wzrokowy, i nie jestem pewna, czy czuję z tego powodu rozczarowanie, czy raczej ulgę. Ostatnia noc wydaje mi się teraz snem wobec realności Prób i nie mam pojęcia, jak się względem niego zachować. Nie zdążam podjąć decyzji, czy mądrze będzie dać mu jakiś znak, ponieważ herold podnosi czerwoną flagę. Tłum widzi czerwień i odpowiada rykiem. Wsiadamy na sanie, zakładamy na oczy gogle mające chronić przed oślepieniem przez płatki nadlatującego śniegu i oślepiającą biel, a potem wszyscy zamieramy w oczekiwaniu na ostatni sygnał. Jeden jedyny raz w tym roku Campana uderza dwanaście razy, by podkreślić wagę Prób.

Ruszamy.

Trzaskam w powietrzu biczem i moje psy odpowiadają natychmiastową reakcją. Zwilżone oliwą płozy moich sań niosą lekko po *masaku* i składam w duchu podziękowania Lukasowi za jego instrukcje. Po kilku uderzeniach serca jestem sama na pustej, pokrytej śniegiem równinie. Prowadzę wyścig.

VIII
Aprilus 1
Rok 242 p. U.

Rok przed wybraniem ojca na Wielkiego Archona podczas jednej z licznych prób ucieczki przed tyranią matki razem z Eamonem wspieiliśmy się na wieżyczkę. Przed nami rozciągało się Gniazdo i nieskończona biel Pierścienia. W tajemnicy podążyła za nami moja Niania z Pogranicza Aga, wygrażając nam palcem, ale jednocześnie pobłażliwie się uśmiechając; w przeciwieństwie do Eamona prawdopodobnie rozumiała mnie lepiej niż inni. Choć pamiętam, że czułam lęk wysokości, zwłaszcza wtedy, gdy lodowaty wiatr owijał mi suknię wokół stóp, zapamiętałam głównie to, iż poczułam się wolna.

Śmigając przez rozległe pustkowia Nowej Północy, czuję się znów jak tamta sześciolatka dziewczynka. A przynajmniej próbuję. Przywołuję w myślach radość tamtych wspomnień, ale chłód zaczyna się już wsączać w moje kości. I nie umiem przerwać zakradających się do mojego umysłu litanii instrukcji Lukasa. Jak to on mówił? A, prawda: „Nigdy nie popuszczaj cugli swojemu umysłowi, szczególnie podczas śnieżycy”.

Podczas tych kilku chwil, gdy pozwalam sobie śnić na jawie i cieszyć się wrażeniami, śnieg zmienia swoje oblicze. Nie jest to już *masak*. To bardziej śliski i twardy *quiasuqaq*. I nagle przestaje być ważne to, że inni Kandydaci nie korzystają z nasmarowanych olejem płóz swoich sań. Doganiają mnie.

Trzaskam biczem. Moje husky natychmiast przyspieszają, ale inni Kandydaci też zmuszają swoje zaprzęgi do cięższej pracy. Po kilku chwilach mam po dwoje sań z obu stron.

Z lewej strony ruszają do przodu Benedykt i Thurstan – nic dziwnego, jeśli się weźmie pod uwagę ich fizyczną siłę i lata treningów – a z prawej pojawia się uczonego Niels. Opieram się pokusie patrzenia na nich. Zamiast tego mrużę oczy i badam krajobraz, patrząc przez szczeliny w goglach. Muszę znaleźć miejsce dające mi przewagę.

Bogowie, a Słońce w szczególności, są mi życzliwi. W odbiciu Jej promieni widzę zmianę kraju przede mną; wiem, że ani Benedykt, ani Thurstan z Nielsem nie zwrócą na to uwagi, ponieważ nie zniżyli się do tego, by mieć takiego Towarzysza Pogranicza jak Lukas. Zmiana w blasku

Słońca wskazuje na to, że za nieznaczną szczeliną w lodowej płycie śnieg znów zmienia się w *masak*.

Wiążę bat i lejce na uchwycie kierownicy sań i sięgam do bocznej sakwy. Wyciągnąwszy naoliwioną szmatkę opadam na kolana, co jest niebezpieczne nawet wtedy, gdy sanie nie pędzą z maksymalną szybkością. Gdy przejeżdżamy nad bryłą lodu, sanie podskakują, a ja, starając się zachować równowagę, znów smaruję płozy oliwą. Wiszę wychylona na zewnątrz i uda przeszywa mi ból wysiłku. Ale w końcu to niemały wyczyn, który nigdy by mi się nie udał kilka miesięcy temu, zanim moimi treningami zajął się Lukas.

Nie podnosząc się jeszcze, szybko zerkam w stronę Benedykta i Thurstana. Wiem, że nie powinnam tego robić – Lukas powiadał, że jest to oznaką strachu przed rywalizacją – ale nie mogę się oprzeć. Choć widzę tylko zarysy ich ust, wyglądają na zaskoczonych moim manewrem. I zdumionych podejmowanym przeze mnie ryzykiem.

Szybko, zanim jeszcze docieramy do rozpadliny, wstaję i chwytam lejce zaprzęgu. Muszę się upewnić, że sanie się nie przechylą przy zmianie konsystencji śniegu; tłuszcz pomoże dopiero wtedy, gdy bezpiecznie wjedziemy na *masak*. Pociągam za rzemienie, niezupełnie hamując, ale zwracam uwagę psom, że powinny uważać.

Gdy przejeżdżamy nad rozpadliną, zaprzęg lekko zwalnia.

A potem ponownie wjeżdżamy na *masak*. Strzelam z bata, choć nie jest to właściwie potrzebne, psy znają śniegi lepiej ode mnie. Przedzierają się przez lodową płaszczyznę nawet szybciej niż podczas startu. Zgaduję, że żaden z Kandydatów nie utrzymał takiego tempa, bo po pewnym czasie słyszę tylko chrzęst śniegu pod płozami i chrapliwe dyszenie moich psów.

Po kilku chwilach spokoju moje serce zaczyna zwalniać. Jestem niemal przekonana o swojej samotności. Ale muszę się upewnić. Nie mogę się odwrócić, bo byłoby to dla psów sygnałem, żeby zwolniły lub zmieniły kierunek. Sięgam do przybocznej sakwy i wydaję z niej mój najcenniejszy i najbardziej zabroniony Prawem przedmiot.

Gdy chwytam w dłoń rękojeść reliktu i najcenniejszego przedmiotu będącego w posiadaniu mojej rodziny, dzięki któremu mój ojciec zdobył pozycję Wielkiego Archona, czuję silniejsze bicie serca. To ręczne zwierciadełko. Ojciec spisał kronikę o grzeszności lusterka, która zawierała w sobie zarówno grzechy przeszłości, jak i czystość Nowej Północy. I ostatecznie wyjaśnił racjonalność zakazu Prawa: „Nie będziesz czynił zwierciadeł i nie pozwolisz, by żadne z nich pojawiło się przed twoimi

oczami, bo są wcieleniem próżności”.

Aż do tej pory, jak długo pamiętam, trzymaliśmy relikwiarz skierowany na Słońce nad domowym paleniskiem. Wciąż się dziwię temu, że ojciec pozwolił mi go wziąć ze sobą. Matka nie chciała o tym nawet rozmawiać. Ale dziękuję bogom za to, że obdarzyli mnie przyjaźnią Lukasa. Ojciec, który nie mógł brać udziału w moim szkoleniu, zrozumiał logikę jego słów, gdy wyjaśniał, co mogę zrobić z tym lusterkiem.

– Trzymając je w dłoni, Ewa będzie miała oczy z tyłu głowy.

Dzierżąc relikwiarz przed sobą, poruszam nim lekko z prawej ku lewej, uważając tylko, by nie nadziać się na moje własne odbicie. Nie dostrzegam za sobą niczego prócz bieli. Nawet w największej odległości nie widzę na śniegu cieniów Benedykta, Thurstana ani Nielsa.

Wysłałam na prowadzenie.

Choć mimo opończy z foczej skóry czuję smagnięcia wiatru, znów pozwalam sobie na poczucie upojenia szybkością. Nigdy jeszcze nie poruszałam się tak chyżo i wątpię, czy wielu mieszkańców Nowej Północy miało tę przyjemność. Zastanawiam się, czy Panna, jaką byłam, powinna się tym cieszyć, czy raczej powinna czuć strach.

Po pewnym czasie, gdy nowe wrażenia straciły już swój urok, spostrzegłam nieobecność dźwięków. Słyszałam jedynie dyszenie psów i chrzęst trących o śnieg płóz. W porównaniu z Gniazdem – gdzie wszystkiemu towarzyszą odgłosy Campany i tykania miejskiego zegara, nieustannie też słycać człapanie Wartowników Pierścienia i miejskich patroli – ziemie Pogranicza są bezgłośne. Zaczyna mnie to niepokoić. Dlaczego Lukas mnie przed tym nie ostrzegł? Przygotował mnie przecież na tak liczne inne zjawiska.

Przystając o tym intensywnie rozmyślać i tylko wsłuchując się w tę ciszę, zaczynam zdawać sobie sprawę z tego, że nie jest tu tak cicho, jak sądziłam. W powietrzu wiszą niezwykle dźwięki – jak głosy ptaków czy zgrzyty przesuwającego się lodu tłumione przez śnieg. Może dlatego mieszkańcy Pogranicza odzywają się tak rzadko – żeby tu przeżyć, muszą uważnie nasłuchiwać.

Niezbyt daleko na płaskiej powierzchni dostrzegam ciemniejszą plamę. To może być tylko cień wtopionej w śniegi góry lodowej. Wystają one z lodu przypadkowo i przypominają, że podczas Uzdrawienia wiele arktycznych wysp zderzyło się ze sobą, by uformować nasz ląd. Sądząc z ofiarowanej mi przez Lukasa mapy, nie powinnam na drodze napotkać zbyt wielu takich *siników*. To słowo powinno się stać częścią mojego słownika: uczył mnie go Lukas podczas naszych dni wędrówek po Pograniczu w odległości dnia drogi od domu. Zapewniał mnie z powagą, że zaznaczanie odległości i czasu *sinikami* może stanowić różnicę pomiędzy życiem i śmiercią.

Uważał, że dotarcie do tajgi powinno zająć mi dwa *siniki*. Sztuka przejścia pierwszego etapu – odległości od Wrót do tajgi – nie polega na

pokonaniu jak największego dystansu. Nie, prawdziwą sztuką jest znalezienie bezpiecznego miejsca na obóz przed uderzeniem pierwszego wieczornego dzwonu. W przeciwnym razie Kandydat – lub Kandydatka – może skończyć jako kolacja niedźwiedzia polarnego. Ciężko tu znaleźć pożywienie i takie wypadki zdarzają się podczas Prób każdego roku.

W miarę jak słońce w swej drodze przemieszcza się po niebie, mój zaprzęg trzyma tempo. Zarys tajgi rośnie mi w oczach szybciej, niż się spodziewałam.

Czy Lukas miał rację, twierdząc, że droga zajmie mi dwa *siniki*? Może pokonałam ją szybciej ze względu na natłuszczone płozy? A może ziemie Pogranicza zwodzą mój wzrok i tajga jest dalej, niż teraz mi się to wydaje? Na lodzie ocena odległości wzrokiem może być zwodnicza: wiem to jeszcze ze ściany Pierścienia.

Od mojego ostatniego posiłku też minęło kilka dzwonów i zastanawiam się, czy nie jest to kolejny powód, dla którego wspominam Lukasa. Wyciągam z sakwy skrawek suszonej ryby i odgryzam kilka kęsów, by zachować energię i koncentrację. Niezmacona niczym biała powierzchnia śniegu i monotony ruch sań działają dziwnie usypiająco. Lukas ostrzegwał mnie przed wygłodzeniem i hipnotyzującym działaniem krajobrazu. Jedno i drugie może doprowadzić do snu, który – jeśli człowiek się do niego nie przygotowuje – kończy się śmiercią. Drzemka przed ogniskiem jest dobra w domu. Ale nawet w bezpiecznym Gnieździe bywałam świadkiem tego, co może spotkać człowieka, który bez ochrony pozwoli sobie na sen.

Słyszę skrzyp i przerywam przeżuwanie. Dźwięk brzmi jak odgłos przesuwania się lodowych brył i w pierwszym momencie go lekceważę. Ale po chwili znów go słyszę. Na horyzoncie niczego nie widać, więc wyciągam ojcowski relikw i badam horyzont za mną. Początkowo widzę tylko oślepiającą biel. Ale potem nieco z lewej dostrzegam ciemną plamkę, zbyt małą, by mogła być kolejną wmarzniętą w lód górą lodową. Kolejny Kandydat. I to taki, który szybko się do mnie zbliża. Skąd on się pojawił? Od czasu, kiedy kilka dzwonów temu zgubiłam za sobą Thurstana, Benedykta i Nielsa, nie słyszałam ani nie widziałam za sobą nikogo.

Strzelam z bata. Wkrótce zabrzmie pierwszy wieczorny róg, a jeśli chcę jako pierwsza pokonać Przeszkodę, muszę oddalić się tak daleko, jak to tylko możliwe. Psy przyspieszają, ale widzę, że natrętny Kandydat jest coraz bliżej.

Krzywię się. Co zrobiliby Eamon albo Lukas?

Niespodziewanie zmienia się nachylenie zbocza – w dół. Moje psy

odpowiadają radosnym szczekaniem, cieszy je perspektywa łatwego zwiększenia szybkości. W mojej piersi zamiera zimny oddech. Chwieję się na nogach. Strata równowagi byłaby bardzo niebezpieczna; niektórzy z Kandydatów ginęli, spadając w podobnych okolicznościach z sań. Ciągnąc lejce, wydaję psom rozkaz, by zwolniły. Przez chwilę opierają się, ale potem okazują posłuszeństwo i sanie wyrównują bieg.

Tamten Kandydat nie ma tyle szczęścia.

Słyszając za sobą łoskot, ostro pociągam ku sobie rzemienie lejców. Sięgnąwszy ponownie po zwierciadełko, widzę, że jego sanie się przewróciły. Ogarnięta przerażeniem patrzę, jak usiłuje wydobyć się spod sań. Chcę zawrócić i mu pomóc, choć Prawo tego surowo zabrania: „Niechaj żaden Kandydat nie pomaga innym ani nie współpracuje z nimi, ponieważ bogowie żądają, aby każdy z nich samodzielnie udowodnił, iż godzien jest stanowiska Archona”. Podjęcie decyzji o złamaniu Prawa lub pozwoleniu, by tamten zginął, uprzedza przetaczający się nad okolicą dźwięk rogu.

Do kolejnego wieczornego rogu została mi tylko chwila. Muszę rozbić obóz tu, gdzie jestem. Kilka gongów, by znaleźć schronienie, zanim jak zwykle szybko zapadnie zmrok, bo później zostanę na lodzie jak kanapka dla niedźwiedzia polarnego albo kota. Przestaję się troszczyć o leżącego Kandydata i zaczynam myśleć o przetrwaniu tej pierwszej nocy.

Z przybocznej sakwy wyciągam puste, podwójne metalowe cylindry, które Lukas zlutował dla mnie z kawałków metalu dawno temu wydobytej spod lodu łodzi. Wciskam je w szczeliny moich gogli. Lodowa góra jakby się przybliżyła. Jeżeli pogonię psy, może zdążę do niej na czas. Może.

Bicz trzaska tuż nad głowami psów. Wyczuwam ich gniew, ale przyspieszają. Słyszę długi, niski dźwięk rogu. Kończy mi się czas.

Otoczające mnie powietrze wypełniają kłęby pary zarówno z psich oddechów, jak i mojego. Dyszę jednak i z ulgi – moja wędrówka po *siniku* dobiegła końca i znaleźliśmy jakieś schronienie na noc. Wyprzegam psy i mocno ściskam każdego w podzięcie za wysiłek – szczególnie czule przytulam Indicę. Chwilę później, gdy przyglądam się wystającej ze śniegu lodowej bryle, usiłując odgadnąć, z której strony znajdę najlepsze schronienie, odkrywam, iż nie jestem sama.

Kandydat, który upadł, zdołał jakoś podnieść swoje sanie i przejechać przez śnieżne pola. Teraz stoi przy północnej ścianie lodowej góry i zabezpiecza swoją pozycję. Nie umiem sobie wyobrazić, jak dokonał tego cudu. Ale sama nie mam czasu na domysły. W ciągu kilku chwil pozostałych do zapadnięcia całkowitych ciemności mam jeszcze sporo do zrobienia. Muszę zbudować wał ze śniegu, by osłonić moje psy przed nocną wichurą, ustawić namiot przy południowej stronie góry, zabrać się do topienia wody dla psów i w tej pozornie pustej arktycznej okolicy znaleźć jedzenie dla nich i dla siebie. Nie zamierzam uszczknąć mojego zapasu suszonej ryby, ponieważ gdy się skończy, nie będę miała niczego w zamian.

Zamierzam rozwiązać zagadkę Kandydata, który upadł – odpowiedzieć na pytanie, kim jest i jak się tu dostał – ale to musi poczekać.

W porównaniu ze zdobyciem żywności postawienie namiotu i rozniecenie ognia okazuje się zaskakująco prostym zadaniem. Nie mogę za bardzo oddalić się od lodowej góry. Ale mało prawdopodobne, żeby znikąd pojawiła się Twierdza Piekarnicza z parującymi bochenkami świeżego chleba, więc zmuszam się do nura w mroczną pustkę. Lampa zapewnia mi mizerny krąg migotliwie tańczącego światła, robię więc tylko kilka kroków w rozmaitych kierunkach.

Gdy po kilku chwilach niczego nie znajduję, rezygnuję z dalszych wysiłków i sięgam po moje zapasy żywności. Obiecuję sobie, że to tylko na dzisiaj. Zanim wrócę do lodowej góry, słyszę niemal, jak Lukas ponagla mnie do spróbowania ostatniej sztuczki. Szczególnie że jego mapa wskazuje na możliwość znalezienia w tej okolicy zwierzyny łownej albo ptaków.

Zamykam oczy i zaczynam nasłuchiwać.

– W nocnych łowach uszy są lepsze od oczu – powiedział mi kiedyś. – Twoja niedoszła zdobycz wie, że jesteś ślepa, i się ciebie nie boi.

Początkowo słyszę tylko pogwizdy wiatru nad szczytem lodowej góry i niskie powarkiwania moich psów. Oprócz nich wszechobecne trzaskanie pękającego lodu. Ale po chwili na południe ode mnie słyszę cichy trzepot skrzydeł. Śnieżne gęsi.

Bezglóśnie gaszę lampę i w grobowej ciemności zaczynam się skradać ku dźwiękom. Zmuszam się do ufności, że ten powtarzający się trzepot zgadza się ze słowami Lukasa. Odgłos bicia skrzydłami rozlega się głośniej. Mogę sobie niemal wyobrazić, jak wyglądają te pióra. Podchodzę bezgłośnie bliżej, aż owe głosy rozlegają się nade mną i wokół mnie.

Rzucam swoje *bola*³.

Nagradza mnie skrzeczenie i podmuchy nad moją głową, gdy wolne ptaki wzbijają się w powietrze. Biegnę ku miejscu, skąd dolatuje odgłos trzepotu, i drżącymi palcami zapalam lampę. Uśmiecham się, choć czuję zamarzające na moich policzkach krople potu. Otoczony piórami leży mój pierwszy łup zdobyty podczas Prób. Dwie śnieżne gęsi, sądząc na oko – sporych. Ponieważ jestem nowicjuską w używaniu *bola* – a nie wiem nawet, czy jest ono właściwą bronią na tego rodzaju łowy – praktycznie mogę to uznać za cud podarowany mi przez bogów.

Wiążę ptaki liną i zarzucam je sobie jedną ręką na ramię, a potem ruszam ku mojemu lodowcowi, oświetlając sobie drogę lampą trzymaną w drugiej dłoni. Nie staram się poruszać cicho; chcę, by nie do końca powalony Kandydat zobaczył, co potrafię. Gdy podchodzę bliżej, zerka ku mnie ze swojej kryjówki, ale ja udaję, że niczego nie widzę. Rzucam gęs

psom tak, by mięso wylądowało w pobliżu Indiki, wynagradzając go za wysiłek. Gdy warcząc, rozszarpują zdobycz, wybieram drugiego ptaka dla siebie. Oczyszczam gęś tak, jak uczyli mnie tego w kuchni Służący, i umieszczam na ogniu. W ciemności jest to trudne, nawet jeżeli mogę korzystać z blasku płonących węgla.

Pieczona gęś smakuje lepiej niż wszystko, co jadłam do tej pory. Nie dorównują jej nawet miodowe ciasteczka, które w domu na biesiady przygotowują Służący. Po oczyszczeniu kostek i schowaniu reszty mięsa zaczynam odczuwać senność. Ale w moich myślach wciąż krążą zdania z dziennika Eamona. Zdania, których wolałabym nie czytać.

Czy zdołam przeżyć Próby? Czy rola Archona jest mi przeznaczona? Czy naprawdę zdołam dokonać tego, co uważam za konieczne? To zdanie zapisał na końcu, na ostatniej stronie.

Po przetrwaniu pierwszego *sinika* w Próbach – i niemal zdobyciu prowadzenia – nie mogę uwierzyć, że mój utalentowany brat żywił takie wątpliwości. Jeśli ja mogę to zrobić, z pewnością było to w jego zasięgu. Nie, żebym była przesadnie zadufana w kwestii moich szans dotyczących następnego *sinika*.

Rozpakowawszy dyptyk, który miałam w sakwach, klękam przed niewielkim ołtarzykiem i przez chwilę modłę się do bogów. Wpatruję się w ich złożone okrągłe symbole przepojona wiarą, że to Ziemia i Słońce przeprowadziły mnie przez ten dzień bez szkody. Bogowie i oczywiście Lukas. Ciało boli mnie w miejscach, o których wcześniej niczego nie wiedziałam. Gdy wreszcie ból ustępuje i zaczynam osuwać się w objęcia snu, słyszę jakieś dźwięki. Nie jest to warczenie psów, nie jest to skrzyp lodu ani gwizd wiatru.

Siadam i chwytam mój *ulu*. Boję się najgorszego – tego, że podchodzi mnie niedźwiedź albo kot. Wyteżam słuch. Dźwięk jest wyraźnie ludzki.

– Ewo, to ja. Jasper.

Wyglądam spod kłapy mojego namiotu i widzę klęczącego Jaspera.

– Co ty tu robisz, na bogów?! – syczę.

Nie mogę uwierzyć, że w imieniu nas obojga podjął takie ryzyko: „Nie pozwól, by Kandydaci wymienili ze sobą bez zezwolenia choć jedno słowo, ponieważ bogowie muszą wiedzieć, iż zasłużyli na stanowisko Archona, działając wyłącznie w pojedynkę”. Gdyby w pobliżu znalazł się choćby przypadkiem Tropiciel Prawa, oboje zostalibyśmy pozbawieni możliwości stawania do dalszych Prób. Po tym wszystkim, przez co przeszłam, miałabym zostać wyeliminowana przez zwykłą, głupią nocną pogawędkę? Ale nie umiem powstrzymać uczucia ulgi – nie jestem tu sama. I jeśli miałabym być wobec siebie zupełnie szczerą, trochę mi to pochlebia.

– Nie poznałaś mnie? – pyta jakby cokolwiek zdziwiony. – Przeciągnęłaś tuż obok mnie swoją kolację.

Mrugam oczami. Nigdy poważnie nie myślałam, że leżącym mógłby być Jasper. Wszyscy ubrani w stroje z foczych skór Kandydaci są do siebie podobni – myślę, iż ja jedna jestem wyjątkiem – ale przypuszczałam, że Jasper powinien być do mnie zamachać ręką lub zrobić coś podobnego. Cokolwiek.

– W tych uniformach wszyscy jesteśmy podobni jeden do drugiego. – Nagle czuję się głupio, powinnam była mu pomóc. – Nic ci nie jest? Gdybym wiedziała, że to ty leżysz pod tymi saniami, to... – Nie kończę.

– Cieszę się, że nie wiedziałaś. Czuję się dobrze, Ewo.

– Dzięki bogom!

– Owszem, dzięki bogom. Ale jeżeli ktokolwiek miałby złamać Prawo, wolałbym, żebym to był ja. Nie ty.

Niewiele mi brakuje do parsknięcia śmiechem.

– No, to właśnie robisz w tej chwili. Zwykła pogawędka nie jest tego warta, Jasperze.

Nawet w nikłym świetle mojego ogniska widzę, że czuje się urażony. Ale zaraz się prostuje.

– Jesteś Panną, Ewo. Jak mógłbym spokojnie siedzieć po drugiej stronie

tej lodowej górki, nie sprawdzisz, czy nic ci nie jest?

Chcę mu powiedzieć, że tutaj nie jestem Panną, tylko jak wszyscy inni Kandydatem, ale milczę. Oboje gramy swoje role: on ponownie staje się Jasperem, rycerskim Kawalerem nawet podczas Prób.

– Cieszy mnie to, ale jak widzisz, nieźle sobie radzę – mówię.

Niepokój znika z jego twarzy i pojawia się na niej nikły uśmiech.

– Domyśliłem się, zobaczywszy na twoim ramieniu te gęsi. Ale mimo to wolałem usłyszeć o tym od ciebie. Usłyszałem. Mogę się więc chyba pożegnać.

Gdy wstaje, jego uśmiech szybko zostaje zastąpiony przez grymas bólu. Odwraca się i odchodzi, ściskając swoje udo. Utyka.

– Ucierpiałeś – szepczę tak głośno, jak tylko się ośmielam.

– To nic – odpowiada, nie odwracając się.

– Wracaj tu!

Kuszyka dalej, jakby mnie nie usłyszał.

– Jasperze, proszę...

Zatrzymuje się. Nieruchomieje na chwilę. Zerkając przez ramię, patrzy na mnie przez moment, jakby chciał ocenić, czy mówię poważnie.

Skinieniem dłoni zapraszam go do namiotu. Utykając nieco, wchodzi w końcu pod klapę wejściową, którą dla niego przytrzymuję. Obecność nas dwojga w tak niewielkiej zamkniętej przestrzeni nieco za bardzo ją nagrzewa. Zdejmując czapkę, mówię rozkazującym tonem:

– Pozwól, niech zobaczę tę ranę.

Kręci głową.

– Podciągnij spodnie na nodze – nalegam.

– To nie byłoby... – waha się, szukając właściwego słowa – ... odpowiednie.

– Odpowiednie nie dotyczy Prób.

– Ale ty jesteś Panną, Ewo.

Teraz znajduję w sobie odwagę, by powiedzieć to, o czym już myślałam:

– Nie, tutaj nią nie jestem. Jestem tylko Kandydatem. Pozwól mi zobaczyć twoją nogę.

Zsunąwszy z dłoni rękawice, zzuwa kamiksy i zaczyna podwijać nogawkę spodni. Choć widywałam już przedtem nagą skórę chłopca – Eamona, oczywiście – ten ruch wygląda na bardzo intymny. Nagle i niespodziewanie przypominają mi się zasady Prawa dotyczące Panien: „Nie pozwolisz, by nieskromność pojawiła się w twoich myślach lub przed twoimi oczami”. I nie umiem powstrzymać wypełzającego mi na twarz

rumieńca. Gdyby zobaczyła to moja matka, umarłaby ze wstydu. Albo pierwaj by mnie zabiła.

– Wiedziałem – mówi Jasper. – To dla ciebie niezręczna sytuacja.

– Nie bądź śmieszny, Jasperze. Muszę zobaczyć twoją nogę.

I zanim zdołałam pomyśleć, co mówię, wypalam nagle:

– Mam leki.

Na dźwięk słowa „leki” unosi brew, ale nie przerywa podwijania nogawki, dopóki nie odsłania połowy uda. Z trudem powstrzymuję sapnięcie zgrozy, gdy dostrzegam głębokie skaleczenie. Obwiązał je skrawkiem płótna, ale nie jest to zakręcana opaska uciskowa, o której mówił mi Lukas. Płótno przesiąkło krwią. Jestem zaskoczona tym, że jej metaliczny zapach nie zwabił jeszcze jakiegoś drapieżnika.

– Jak to się stało?

Rana jest głęboka, prosta i bardzo równa. Po skaleczeniu powstałym w wyniku przewrócenia się sanek spodziewałabym się czegoś bardziej niekształtnego i poszarpanego z mnóstwem innych zadrapań.

– Kiedy zwały się na mnie sanie, wysunął mi się nóż z za pasa. Wyciągnąłem go, ale zostałem z tym – mówi.

Sięgam po sakwę z lekami. Mam wilgotne palce. Wszystkie lekarstwa i wszelkiego rodzaju opatrunki są zakazane przez Prawo. I słusznie, bo one doprowadziły do upadku człowieka: „Nie pozwól, żeby zrobione człowieczą ręką leki dotykały twojej skóry ani żeby wykute przez człowieka ostrze otwierało twoje ciało, bo pozwoli to wnikać w twą duszę przewrotności starożytnych”. Ale Lukas napełnił moją sakwę stosowanymi na Pograniczu ziołowymi lekami wytwarzanymi z roślin hodowanych w Arce. To maści na skaleczenia i zadrapania. Pokazał mi też, jak opatrywać zwykłe rany. Wszyscy mieszkańcy Pogranicza używają takich leków i wielu z nich żyje dłużej niż Wybrani. Babka Lukasa, jego *aanak*, ma blisko osiemdziesiąt lat, i to ona nauczyła go tych sposobów. Ustępowałam mu przedtem podobnie jak teraz.

Czytam swoje notatki. Myślę, że mogę mu pomóc.

– Odwróć wzrok – mówię. Z pewnością nie życzę sobie, żeby widział, co zamierzam zrobić. – I weź się w garść.

Gdy przemywam ranę silnie pachnącym olejkiem, żeby ją oczyścić, Jasper głośno przełyka ślinę. Choć wiem, że to piecze – a to, co zamierzam zrobić zaraz potem, będzie piekło jeszcze gorzej – muszę kontynuować. Rana taka jak ta zamieni Jaspiera w bredzącą w malignie kukłę, o ile pierwsze nie dopadną go zwierzęta. Z sakwy wydajuję igłę i zacznaj

zaszywać brzegi rozcięcia. Wmawiając sobie, że to jest takie samo szycie jak szycie w domu – siadywałam przecież przed kominkiem i szyłam z matką dla Basiliki – unoszę igłę nad raną i przebijam nią skórę Jaspera. I zaczynam się dławić. Okłamywałam się. To nie jest takie jak wyszywanie kilimu Uzdrawienia. To jest straszne.

Jasper wydaje okrzyki i jęki bólu, ale zmuszam się do dalszej pracy – muszę skończyć. Usiłuję go pocieszać:

– Przepraszam, Jasperze... Już prawie skończyłam.

Nie odpowiada. Nie sądzę, żeby mógł mówić. Nie jestem też pewna, czy ja mogłabym.

W końcu, niemal dławiąc się swoją gęsią kolacją, robię węzeł na ostatnim szwie i obwiązuję ranę czystą szmatką.

– Skończyłam. Możesz już zsunąć nogawkę spodni.

Twarz Jaspera jest mokra od potu i biała niczym śnieg. Nie może opanować drżenia. Ale ma mocno zaciśnięte zęby, jakby był zły. Nie patrząc na mnie, poprawia swój przyodziewek. Może rozzłościło go to, że złamałam Prawo? Ale jak może być na mnie zły, skoro sam je złamał, przychodząc tu dziś w nocy? Musi chodzić o coś innego.

– Jasperze?

– Musisz myśleć, że jestem tchórzem – odpowiada niezbyt wyraźnie.

Opadają mi ramiona. Gdzieś tam we mnie kryje się chęć strzelenia go w twarz. Och, te zawarte w Prawie zasady rycerskości! Czy to dzieje się naprawdę? Naprawdę jestem tak ślepa?

– Jak możesz tak mówić? Nie zamierzałeś nawet wspomnieć o swojej ranie. I choć jesteś ranny, narażałeś się nawet na gniew Prawa, by sprawdzić, czy ze mną wszystko w porządku.

Na jego policzkach zakwita rumieniec, a z twarzy znika zwykła charakterystyczna dla Kawalerów pewność siebie.

– Nie mogę uwierzyć, że tymi odwiedzinami narażę cię na niebezpieczeństwo. Ranny. Jakież to idiotyczne.

– Nie mogę uwierzyć, że jesteś tutaj i troszczysz się o mnie, gdy wcześniej gapiłeś się na dziurę w swojej nodze.

Teraz wbija wzrok w moje oczy.

– Jak mogłem nie przyjść, Ewo? Jesteś Panną.

Te słowa coś we mnie poruszają, ale nie odpowiadam. W tych okolicznościach wydaje mi się to niewłaściwe. Zmiana ról pozbawia mnie pewności siebie, nie wiem, co myśleć i co robić. Jasper zresztą, jak mi się wydaje, też nie wie. Wstaje i podnosi wejściową klapę namiotu. Już nie

drzy. Przed wyjściem odwraca się i zmusza do znużonego uśmiechu.

– Och, wybacz, zapomniałem. Tu nie jesteś Panną. Tu jesteś Kandydatką.

Choć w myślach wciąż przetwarzam obrazy zszywania rany Jaspera, jakoś udaje mi się zasnąć. Jak sądzę, to jedna z korzyści wynikających z zupełnego wyczerpania. Wraca do mnie znajomy sen, w którym trzymając się za ręce, stoimy z Eamonem na szczycie wieżyczki. W nierzeczywistym, sennym krajobrazie oświetlonym blaskiem księżycy w pełni spoglądamy na siebie, doskonale się rozumiejąc, a potem oboje skaczymy. I zawsze się budzę przed lądowaniem na ziemi.

Ten poranek nie jest wyjątkiem, choć do otwarcia oczu nie zmusza mnie koniec snu. Budzi mnie odgłos płóz sań sunących po śniegu. Oszołomiona mogę sobie tylko wyobrazić, że to Jasper – któż jeszcze mógłby tu być przed świtem? – i niewiele brakło, abym go zawołała. Niewiele.

W mój namiot uderza strumień światła, zbyt mocny i skoncentrowany, by jego źródłem mogła być jakakolwiek znana mi świeca. Jasper z pewnością nie miał przy sobie lampy o tej mocy. Zrozumiałam, że to musi być Tropiciel – oko i ucho Strażników Prawa. Są wszechobecni, ale przy pierwszych trzech etapach zazwyczaj się nie pokazują. Zwykle ujawniają swoją obecność w obozie i w Rejonie Prób, gdzie Kandydaci muszą się uporać z ostatnimi sześcioma etapami.

– Pokaż się, Kandydacie – słyszę niski głos zza ścianki namiotu.

Spieszę się. Ponieważ spałam w ubraniu, przed wyjściem na mróz muszę tylko wzuć kamiksy, wdziać rękawice i nałożyć czapkę. Te proste czynności utrudnia mi jedynie to, że wstrząsają mną niekontrolowane dreszcze. Co by się stało, gdyby Tropiciel zjawił się kilka dzwonów wcześniej i zastałby w moim namiocie Jaspera? I zobaczyłby, jak go opatruję, korzystając z moich leków? Ale jakoś się ubieram i staję przed Tropicielem Prawa.

Jaskrawe światło, cokolwiek było jego źródłem, zniknęło. Tropiciel trzyma przed sobą zwykłą oliwną lampę, która rzuca na nas oboje rozmyte, żółtawe światło. Tylko tyle, by majaczył przede mną zarys sylwetki. Wybierani spośród najwyższych rangą Wartowników Pierścienia Tropiciele znani są ze swej siły, niezachwianego oddania Prawu i głuchoty na wszystko inne oprócz poleceń Strażników Prawa. Ten przede mną cały

odziany w czarne focze skóry i z odpowiednio ciemnymi oczami wygląda jak wzorcowy Tropiciel. Choć, co prawda, to te ciemne migdałowego kształtu oczy upodabniają go do mieszkańca Pogranicza.

Nic nie mówię. Zasada Prawa dotycząca komunikacji z Tropicielami jest bardzo prosta: „Milcz, dopóki nie zostaniesz wezwany do odpowiedzi”. Pochyliłam głowę, okazując szacunek rozmówcy i jego funkcji.

Krąży wokół mnie przez chwilę, a w końcu zadaje pytanie:

– Powiedz mi, jak na tej rozległej lodowej przestrzeni zdołałaś znaleźć drugiego Kandydata, z którym skryłaś się pod tą lodową górą. – Milknie na moment, po czym dodaje: – Zanim odpowiesz, przypomnę ci, że Kandydaci składają śluby *veritas*.

Niemal słyszę oskarżenia zawarte w tym zwodniczo prostym pytaniu. Oskarżenia o to, iż konspirowałam z innym Kandydatem, że wykorzystaliśmy zabronione Prawem sposoby do znalezienia lodowej góry, przy której się schroniliśmy, i że z tamtym Kandydatem łączą mnie jakieś zakazane kontakty. Zastanawiam się, czy Tropiciel prowadziłby takie samo dochodzenie, gdybym była moim bratem – albo jakimkolwiek innym Kandydatem płci męskiej – ale nie ma mowy, żebym zadała takie niestosowne pytanie. Mogłoby się to zakończyć wykluczeniem mnie z Prób; po Archonach spodziewa się też, że będą co do joty przestrzegali słów Strażników Prawa.

– To był przypadek, sir – mówię.

Tropiciel podnosi lampę do mojej twarzy, prawdopodobnie po to, by stwierdzić, czy mówię prawdę.

– Sądzisz, Kandydatko, że uwierzę, iż dzieliłaś kryjówkę pod tą górą lodową z czystego przypadku? – mówi ostrym tonem i choć prawa Tropicielea mu na to zezwalają, dziwię się trochę, że ośmiela się tak traktować córkę Wielkiego Archona. Jasper jednak miał rację, a ja sama to stwierdziłam: tutaj jestem tylko Kandydatką.

– To prawda. Bogowie mi świadkami.

Nie odpowiada, tylko nadal patrzy na mnie z tym swoim zagadkowym wyrazem twarzy. Nie wiem, co mnie nachodzi, ale łamiąc zasady, bez zezwolenia dodaje:

– Sir, sami możecie stwierdzić, że jest to w tym miejscu jedyne schronienie. Przyszedłby tu każdy Kandydat, którego w tej okolicy zastałby dźwięk pierwszego rogu. Sprowadziła nas tu oboje zwykła potrzeba przeżycia.

Oczy Tropicielea patrzą bardziej przenikliwie niż Wielki Basilikon w Dniu

Spowiednim. Zaczynam odczuwać strach. Za moją niesubordynację Tropiciel może mnie ukarać – nawet fizycznie. Tak, mimo iż jestem córką Wielkiego Archona. Co, na bogów, sobie myślałam, odzywając się bez pytania?

Jednak zamiast mnie ukarać, Tropiciel odpowiada spokojnie:

– Dokładnie to samo zeznał twój rywal. – I od razu wyjaśnia: – Mam na myśli tamtego drugiego Kandydata.

Oczywiście nie wierzy nam obojgu, nie sędzę jednak, żeby chodziło mu właśnie o to. Przez wzmiankę o rywalu – wyraźną, choć może szorstką aluzję do tego, co sądzi o decyzji Triady w kwestii zezwolenia mi na wzięcie udziału w Próbach, i przez danie mi do zrozumienia, że nie jestem nikim więcej niż Panną czekającą na związek, której nigdy nie powinno się pozwolić na honor Prób – zamierzał mną wstrząsnąć. Równie dobrze mógłby powiedzieć: „Pozwól, że odeślę cię do domu”.

Przeszywana jego spojrzeniem zaczynam czuć strach. Może chodzi o ostatnią nocną wizytę Jaspera? Nie jest to tak straszna zbrodnia jak konspirowanie z innym Kandydatem, ale może stanowić podstawę do zabronienia mi dalszego udziału w Próbach. Może chodzi o zrobienie użytku z leków? To ostatnie z pewnością zapewniłoby mi zakaz, że nie wspomnę o gwarantowanej karze w Gnieździe. Ale nie dam mu satysfakcji, nie zobaczy mnie roztrzęsionej ze strachu.

W końcu wydaje werdykt:

– Niechaj bogowie będą z tobą! Ale pamiętaj, że to ja, nie bogowie, będę obserwował każdy twój ruch.

Patrzę, jak staje na płozach sań i ostrym trzaskiem bicza pogania psy; mam pewność, że jest dla zaprzęgu okrutnym panem. Pozostaję w bezruchu, dopóki się nie oddali. Zgodnie z obietnicą Lukasa niespodziewanie dowiedziałam się czegoś cennego. Ale nie przewidziałam jednego: tego, że dowiem się, iż Tropiciel nie życzy sobie mojego udziału w Próbach i zrobi wszystko, co w jego mocy, by przeszkodzić mi odnieść sukces. I może nie on jeden. Chciałabym od razu popędzić do Jaspera i upewnić się, że on zrozumie zamiary Tropicielea, ale rozsądniej będzie trzymać się od niego z daleka. Żeby go chronić – przede mną i przed nim samym.

Niewiele już dzieli mnie od pierwszego porannego rogu, zwijam się więc jak w ukropie. Choć skupiam się na zadaniach związanych z czekającym mnie *sinikiem* – i oczywiście z Tropicielem – zdaję sobie sprawę z dobiegających mnie z drugiej strony lodowej góry dźwięków.

Dźwięków takich samych, jakie towarzyszą mojemu zwijaniu obozu.

Trzaskanie ognia; szelest składanego namiotu, powarkiwania kończących posiłek psów, skrzypienie ładowanych sań.

Po załadunku i zaprzężeniu psów wchodzę na sanie. Na horyzoncie pojawia się pomarańczowoczerwone Słońce, a ja poprawiam gogle i mrużę oczy przed Jej oślepiającymi, odbitymi od śniegu promieniami. Gwizdem daję sygnał psom do zajęcia miejsca.

Mijając górę, przejeżdżam obok Jaspera. Choć staram się nie spoglądać w jego stronę – na wypadek, gdyby obserwował nas Tropiciel – dostrzegam, że idąc ku swoim saniom, nieznacznie tylko utyka. Czuję ulgę, przekonując się, że nocna kuracja się powiodła. Ale moją największą troską nie jest jego rana. Boję się, że mógł nie odebrać przesłania Tropiciele. Jeżeli Jasper zamierza trzymać się blisko mnie, i on może wpaść w sidła sługi Prawa.

Rozlega się dźwięk rogu i nie mam już czasu na myślenie. Psy, wyszkolone, by natychmiast po jego usłyszeniu ruszać do biegu, z miejsca się podrywają. *Sinik* jest jasny i czysty, śnieg to *mingullaut* będący mieszanką lodu i puchu. Teren, jak na razie, jest płaski i gładki. Mój zaprzęg staje się jego częścią; po prostu pozwalam psom gnać przed siebie.

Mapa Lukasa wskazuje, że najszybszą drogą do tajgi jest kierunek północno-wschodni. Jasper chyba podąża tym samym szlakiem.

Przypuszczam, że Jasper albo ja moglibyśmy nieco skrócić, by zachować dystans, ale do tego musielibyśmy porozmawiać. A nie ma mowy, żebym zaczęła rozmowę pod okiem czającego się gdzieś tu Tropiciele. Jedziemy więc ku tajdze razem, co w końcu jest naturalne.

Ostentacyjnie ignorujemy się wzajemnie. Nie rozmawiamy i nawet nie patrzymy na siebie. Po prostu poganiamy nasze zaprzęgi, żeby jak najszybciej dotrzeć do granicy tajgi; ku mojemu zaskoczeniu okazuje się, że dorównujemy sobie w zręczności i szybkości. Gdyby obserwował nas Tropiciel, nie miałby niczego do zameldowania. Żaden paragraf Prawa nie zabrania Kandydatom jazdy na niezbyt od siebie oddalonych saniach, a topografia terenu to wymusza. Czuję jednak obecność Jaspera. I choć jest to dość dziwne, odkrywam, że jego bliskość dodaje mi otuchy, mimo iż nie mogę z nim rozmawiać ani polegać na nim w jakikolwiek sposób.

Słońce kontynuuje swą drogę po niebie i sporo przed Jej zbliżeniem się do horyzontu docieramy do tajgi. Nie mogę uwierzyć w to, że tak szybko znaleźliśmy się na granicach owianej legendami północnej puszczy. Pierwszy wieczorny róg nie zabrzmie wcześniej niż za dwa dzwony. Wydaje mi się, że trochę czasu nadrobiliśmy.

Zaczynająca się od rzadko rosnących suchych krzewów tajga przekształca się stopniowo w linię smaganych wiatrem drzew, a potem w gęstwinę brzoź, sosen i modrzewi. Zupełnie odruchowo rozdzielamy się z Jasperem i obieramy nieco inne ścieżki w głąb coraz gęstszej kniei.

Na tę bujną zieleń patrzę niemal oszołomiona; nigdy nie widziałam takiej obfitości roślin poza Arką. Wkroczyłam w zielony świat zupełnie inny

od znanej mi bieli lodu i śniegu.

Tak jak instruował mnie Lukas, powinnam rozbić obóz. Ale dywan zielonego mchu *caribou* wabi niczym szmaragd; po prostu muszę go dotknąć. Nie mogę się wyprzeć żyjącego jeszcze gdzieś we mnie ogrodniczego czeladnika, który wiele lat spędził na służbie w Arce, ucząc się miłości do roślin i rolnictwa.

Przywiązawszy zaprzęg do pnia krzepkiej brzozy, daję psom znak, żeby czekały. Przez pewien czas błąkam się bez celu, zbierając pęki świerkowych igieł i brzozowych liści dla pozostałych w domu i pracujących w Arce botaników i ogrodników; gromadzę także dla siebie nieco mchu *caribou* i jadalnych roślin. Z niegdysiejszych badań wiem, że mech pomoże mi zachować znalezione artefakty, a jadalne rośliny chronią przed skorbutem i innymi chorobami wynikającymi z braku właściwego pożywienia. Podziwiam też wysokie na dziewięć stóp krzewy, wierzby i trawę o szerokich źdźbłach. Moje lekkie kroki płoszą kryjącego się w mchu królika. Gęste poszycie mchu utrudnia mi chodzenie – kamiksy są dobre przy poruszaniu się po lodzie. Mam osobliwe poczucie powrotu do domu, którego doznaję po raz pierwszy od chwili opuszczenia Gniazda.

Zastanawiam się, czy nie tak wyglądały krainy Jego Ziemskości, zanim pogrążyły się w Uzdrowieniu. A może jednak wyglądały jak wnętrze Arki, w której powietrze w każdym zakątku przesycone jest wilgocią i wszędzie pleni się zieleń? Ale, w odróżnieniu od Arki, to miejsce jest dziełem bogów.

Słyszę trzask łamanych gałęzi i natychmiast żałuję tego, że skusiłam się na małą przechadzkę. Co ja robię w tajdze, zachowując się tak, jakbym zamiast brać udział w Próbach, wybrała się tu z jakąś misją dla Arki?

To Jasper. Idzie w pewnej odległości ode mnie, także bez zaprzęgu i sań. Kroczy spokojnie i pewnie, jego rana zaleczyła się w zaskakująco szybkim tempie. Delikatnie odsuwa ze swej drogi igły i brzozowe liście; wydaje się tak samo przejęty jak ja.

Gdy wyczuwa moje spojrzenie, odwraca się ku mnie. Na jego wargach pojawia się uśmiech tak piękny jak te uśmiechy radości, jakie niekiedy widuje się na twarzach dzieci w szkole. Na krótką chwilę wstrzymuję oddech; zapominam o powodzie, dla którego oboje znaleźliśmy się w tym magicznym miejscu. I odpowiadam uśmiechem.

Ale gdy otwiera usta, jakby zamierzał mi odpowiedzieć, kręć głową. A uśmiech szybko znika z moich warg. Zanim odzywa się głośno, podnoszę dłoń, by go powstrzymać, i samymi wargami formułuję zdanie:

– Nie możemy rozmawiać. Obserwuje mnie Tropiciel.

– Wiem – odpowiada bezgłośnie.

Jego uśmiech rozplywa się w smutek. On także pozwolił sobie na kilka chwil zapomnienia. Żegnamy się skąpymi gestami.

I w tejże chwili słyszymy głosy.

Co powinniśmy z nią zrobić?

– Myślę, że...

Nie czekając na resztę odpowiedzi i nawet nie rzucając Jasperowi pożegnalnego spojrzenia, spiesznie wracam do moich sań. Szybkim krokiem przemierzam gęstwiny, dbając o to, by mojej obecności nie zdradził trzask żadnej łamanej gałązki. W pierwszej chwili tak jestem zajęta troską o to, żeby nie zostać przyłapana w lesie w pobliżu Jaspera, iż nawet nie zastanawiam się nad pochodzeniem tych głosów. Dopiero chwilę później, gdy zaczynam rozbijać obóz, dociera do mnie to, iż żaden Tropicielek nie byłby tak beztroski i nie zachowałby się tak nieostrożnie, żeby Kandydat mógł go podsłuchać.

Którzy z Kandydatów pozwoliliby sobie na rozmowę w tajdze o mnie, która jest jedyną tutaj „nią”? I dlaczego mieliby podejmować tak ryzykowne łamanie Prawa? Czyżby konspirowali? Sojusze są surowo zakazane niezależnie od tego, czy powstały przed podjęciem Prób, czy w czasie ich trwania. Ale nie jest tak, żeby o nich nie słyszano. Wedle jednej szczególnie rozpowszechnionej w Gnieździe plotki wysoce szanowany Kandydat wspomógł cieszącego się równą popularnością przyjaciela w zdobyciu tytułu Archona w zamian za pewną obietnicę. Jeden jest teraz przypuszczalnie Wielkim Archonem Gniazda, a drugi Wielkim Strażnikiem Prawa. Tak, chodzi o mojego ojca i Iana, stryja Jaspera. Śmiejemy się w domu z tych plotek, ale potwierdzone sojusze były szybko karane.

Rozbijam obóz: kopię jamę dla zaprzęgu, rozniecam ogień, szykuję dla psów wodę i stawiam namiot. Cały czas pilnie obserwuję knieję. Kandydaci musieliby wyłonić się z zielonej gęstwiny w tym samym miejscu co ja. Ale żaden z nich się nie pojawia.

Wkrótce rozlegnie się dźwięk pierwszego wieczornego rogu i nie mogę dłużej zwlekać. Muszę ponownie ruszyć w tajgę na łowy. W miarę jak narasta ich głód, moje psy zaczynają się gryźć ze sobą, a nie mogę pozwolić na to, żeby się pokaleczyły. Przekradając się pomiędzy gałęziami i krzewami, wracam do miejsca, w którym widziałam królika. Wyobrażam

sobie, że gdzie był jeden, tam będzie ich więcej.

Trzymając w pogotowiu noże, *bola* i *atlatl*, mój miotacz oszczepów, kucam za pniem brzozy. Czyhając na zdobycz, rozmyślam o tym, którzy z Kandydatów mogliby ze sobą konspirować. Zapiski w dzienniku Eamona zawierają pewne informacje dotyczące moich rywali. Cenił Jaspera, Jacques'a, Benedykta, Thurstana i Williama, ale tylko pod względem fizycznych możliwości. Niezbyt pochlebnie wyrażał się o ich zdolnościach syntezy przeszłości z artefaktów, co jest cechą bardzo ważną w trzech ostatnich Etapach. Opisywał ich jako „zdolnych, ale ułomnych”, choć w szkole radzili sobie dobrze. Z miejsca skreślił Knuda, Tristana, Andersa i Petra, nie uznając ich za poważnych rywali, ponieważ stwierdził, że do udziału w Próbach skłonili ich rodzice; wierzył, iż brak im potrzebnej do zwycięstwa siły ducha. Nie bardzo wiedział, co sądzić o Nielsie, którego uważał za mola książkowego, i rozumiał, że Aleksander przystąpił do Prób, by udowodnić coś swemu ojcu, Wartownikowi Pierścienia.

Oceny Eamona nie wskazują, że którykolwiek z tych Kandydatów jest zdolny do zawiązywania sojuszów, no może poza Jakiem i Benedyktem, których ambitni ojcowie pracują razem.

Moje rozmyślenia przerywa ruch w krzakach.

Szykuję *bola*, licząc przynajmniej na królika. Ale z gęstwiny wyłania się inne zwierzę. Wół piźmowy.

O jego zdolności nadziania człowieka jednym zamachem na jeden z długich, zakrzywionych rogów krążą legendy, więc z trudem zwalczam chęć rzucenia się do natychmiastowej ucieczki. Ja i moje psy moglibyśmy się pożywiać jego mięsem przez wiele dni. Jego wysoce cenione ze zdolności zachowywania ciepła futro – *qiviut* – mogłoby mi pomóc przeżyć zimne noce w drodze do Zamarzniętych Brzegów. Gdybym tylko zdołała znaleźć sposób na zabicie tego stwora! Jednym zamachem swej wielkiej, porośniętej futrem głowy mógłby odrzucić moje *bola*, więc ten sposób na nic mi się nie zda. Nie ośmielę się podejść dość blisko, by posłużyć się którymś z noży; nie przewidując, bym mogła się nadziać na piźmowego wołu, Lukas nie nauczył mnie, jak własnorecznie zabić jedno z tych stworzeń. Choć zwierzę to ma grube i gęste futro, moją jedyną opcją jest *atlatl*.

Wół zatrzymuje się, by uszczknąć nieco mchu, i daje mi możliwość przyjrzenia się mu. Postanawiam mierzyć w zagłębienie na głowie pomiędzy rogami. Modłę się do bogów o błogosławieństwo, bo jeżeli chybię, wół mnie zaatakuje i rozedrze mnie na strzępy. Co prawda, pocieszam się, mógłby to zrobić i bez mojej napaści.

Kieruję *atlatl* ku ziemi i umieszczam dziryt w zakrzywionym końcu kości. Potem podnoszę broń i mierzę w ten punkt na łbie wołu. I miotam. Setki razy ćwiczyłam podobne rzuty z Lukaszem – uważał, że ta broń da mi przewagę, ponieważ pozwala miotać z większym rozmachem i celniej, mimo iż niewielkie mam siły – ale teraz zdumiewa mnie jej zasięg i siła uderzenia.

Piżmowy wół wali się na ziemię z ogłuszającym łomotem. Bez tchu pędzę do jego boku. Zdumiona gapię się szeroko otwartymi oczami na zabite przeze mnie legendarne stworzenie. Mam ochotę wybuchnąć śmiechem, rozbawiona absurdalnością zabicia ogromnego wołu przez Pannę z Gniazda. Ale myśl o reakcji matki sprawia, że uśmiech znika z moich warg.

Oglądając wystający z gęstej sierści dziryt i ciągle nie wierząc, że jest mój, zdaję sobie sprawę z czegoś istotnego. Czegoś, o czym zapomniałam w pośpiechu, zabierając się do zabicia wołu. Nie ma mowy, żebym sama zdołała przytargać tysiäcfuntowe zwierzę do obozu. Nie podołałby temu w pojedynkę żaden z Kandydatów. Żeby przewieźć zdobycz, muszę ponownie zaprząć psy do sań i trzeba mi to zrobić jak najszybciej. Niedługo zabrzmie pierwszy wieczorny róg.

Uchylając się przed gałęziami i lawirując w coraz ciemniejszej kniei, biegnę na skraj tajgi do mojego obozu. Psy wyczuwają zapach wołu i zaczynają szaleć. Stawiają opór, gdy je zaprzęgam, chciałyby się uwolnić i same znaleźć mięso. Po kilkakrotnych trzaśnięciach bicia i chwili potrzebnej Indicie do zdyscyplinowania reszty niechętnie ustawiają się w pary i dwa rzędy. Nie mam pojęcia, jak zdołam nad nimi zapanować i przeprowadzić je przez las bez rozwalenia sań.

Szybko jednak odkrywam, że nie muszę nimi kierować. To one mnie wiedą pod kierownictwem Indiki. Podążają za wonią wołu i instynktownie ciągną sanie. Ponownie myślę o Lukaszem: to kolejna rzecz, której nie spodziewałam się poznać.

Przez las przetacza się dźwięk pierwszego wieczornego rogu. Psy wyczuwają mój popłoch, gdy ładuję na sanie potężną tuszę, i zachowują spokój. Strzelam z bata głośno, jak nigdy przedtem, i ruszamy do obozu. I wtedy ich dostrzegam, jak przedzierają się przez tajgę, by zdążyć przed ostatnim rogiem. Dwaj Kandydaci, którzy rozmawiali ze sobą: Aleksander i Niels.

Co powinnam zrobić z moimi podejrzeniami? Prawo zobowiązuje mnie do zameldowania Tropicielom o każdym wykroczeniu, ale przynajmniej jeden z nich jest wobec mnie nastawiony wrogo. Może zresztą nie tylko on. Jeżeli nie uwierzą w prawdziwość moich doniesień – a nawet jeżeli uwierzą – mogą ogłosić moje wyłączenie z Prób i nie ścigać winnych. Podzielenie się z nimi moimi podejrzeniami co do łamiących Prawo rozmów czy sojuszu może też spowodować rewanz – stanę się celem wrogich działań oskarżanych przeze mnie Kandydatów. A może i innych.

A zresztą czegoż ja takiego byłam świadkiem? Czy istotnie było to wykroczenie przeciwko Prawu? Usłyszałem – bo niczego nie zobaczyłam – dwa głosy w tajdze, a potem widziałam dwóch Kandydatów nieopodal granicy lasów. Przypuszczenie, że rozmawiali jeden z drugim o mnie, można podważyć. A jestem pewna, że Tropiciele szukają pretekstu, by wystąpić przeciwko mnie. Albo zrobić nawet coś gorszego.

Pytanie to dręczy mnie, gdy oprawiam piźmowego wołu. Podczas spędzonych w kuchni chwil, kiedy obserwowałam, jak Służący przygotowują posiłki, i przysłuchiwałam się opowiadanym przez nich ploteczkom i historyjkom, zawsze w obecności będącej blisko Niani Agi – dowiedziałam się, jak przygotować mięso niemal każdego zwierzaka tak, by się nie zepsuło. Ale i tak przygotowaniu *qiviut* i mięsa jest pracą, która zajmuje mi większą część nocy. Nie mam za wiele czasu na rozmyślanie o Tropicielach i innych Kandydatach. Chciałabym móc omówić to z Jasperem albo z Lukaszem. A najbardziej z Eamonem. Bardzo mi go tu brakuje. Nawet bardziej niż w domu.

Z pierwszym blaskiem świtu ponownie ładuję sanie, zjadam posiłek, karmię psy, przygotowuję zapas żywności na kilka dni i podejmuję decyzję. Jest taka, jaką podjąłby mój brat, i z pewnością zgodna z tym, co poradziłby mi wstrzemięźliwy Lukas. Zatrzymam swoje teorie dla siebie. W żadnych okolicznościach nie będę się komunikowała z Jasperem. I będę miała oko na Aleksandra i Nielsa.

Inni Kandydaci – byli pomiędzy nimi Jasper, Aleksander, Niels

i Benedykt – musieli obozować w pobliżu, ponieważ z pierwszym porannym rogiem ustawiliśmy się w szereg. Wszyscy razem natychmiast przekraczamy tajgę; musimy przedrzeć się przez knieję, by dotrzeć do tundry, ostatniego etapu naszej podróży ku Zamarzniętym Morzom i trzeciej z trzech pierwszych Przeszkód. Tętniąca życiem gęstwina tajgi wymaga ode mnie pełnej koncentracji – muszę uważać na przeszkody mogące uszkodzić moje sianie czy pokaleczyć psy z mojego zaprzęgu – i jest to dla mnie niemal ulgą. Przez jakiś czas nie chcę myśleć o niczym innym.

Z pierwszym wieczornym dzwonem wkraczam na obszar tundry; jest to po zieleni tajgi niemal sama biel. Ma osobliwy urok skutego lodem krajobrazu, jest bezdrzewną równiną pokrytą lodem i lodowcami. I od razu czuję ostre zimno. Przeszywa mnie strach – zginęło tu bardzo wielu Kandydatów – ale spycham go w ciemne zakamarki umysłu, gdzie, uwięziona, wciąż jeszcze żyje we mnie Panna. Zamiast strachu wzbiera we mnie stalowa determinacja. Podczas treningów Lukas nigdy nie traktował mnie jak Panny i nie zachowam się tutaj tak jak ona. Jak do tej pory mi się to udawało, co mógłby poświadczyć Jasper. Dam sobie radę i tu. Nie po to dotarłam tak daleko, żeby mi się tutaj nie powiodło.

Zamiast wjechać na lodową pustynię, by zdobyć nieznaczną przewagę, wybieram poszukanie schronienia na skraju tajgi. Jeżeli Lukas mówił prawdę, pokonanie tundry zajmie mi blisko pięć *siników* i będzie mi potrzebne każde schronienie, które mogę tu znaleźć. Na tę noc pozwolę sobie i moim psom na kryjówkę we względnie ciepłej tajdze. Odgłosy i szelesty towarzyszące rozbijaniu obozowisk przez innych Kandydatów świadczą o tym, że i oni chyba podjęli podobne decyzje.

O pierwszym rogu poranka jestem jak zawsze gotowa. No, przynajmniej tak miemam. Gdy raz wkroczę na obszar tundry, każdą chwilę będę musiała poświęcić na uważną walkę o życie. Z daleka tundra wygląda na płaską, ale w rzeczywistości jest pełna niespodziewanych lodowych występów i progów, które mogą zagrozić stabilności moich sań. Pod lodem leżą zamarznięte bryły i nawet moje doświadczone husky łamią niekiedy krok. Spostrzegam też, iż jestem porządnie głodna. A moje psy warczą na siebie i gryzą się lekko, jak robią to, gdy zbliża się czas karmienia. Lukas mnie ostrzegął, że będą tu potrzebowały więcej żarcia, więc co pewien czas zatrzymuję zaprzęg i każdemu psu rzucam kęs wołowiny. Dziękuję bogom za to, że natknęłam się na tego ogromnego zwierza. Zgodnie z mapą Lukasa przypuszczalnie można tu znaleźć pożywienie – lisy, niedźwiedzie, wilki, karibu i śnieżne gęsi, ale widzę tylko w powietrzu kilka zbłąkanych ptaków.

Nie potrafię zrozumieć, jak przeżyją tu inni Kandydaci – Jasper, Aleksander, Niels i Benedykt – bez zapasów mięsa piźmowego wołu.

Najgorszy jest wiatr. Wychowana w Gnieździe myślałam, że zdołałam się zaprzyjaźnić z lodowatym powietrzem. I była to naiwność Panny; nie miałam pojęcia o prawdziwym zimnie. Podczas *siników* w tundrze, gdy muszę nieustannie skupiać uwagę na psach, saniach, terenie i jedzeniu, zimno wsącza się w moje kości, ale nie zwracam na to uwagi.

Zupełnie inaczej jest w nocy.

Lukas mnie ostrzegął, że brak ruchu w tundrze oznacza śmierć. I czuję to, gdy tylko przestaję się poruszać i kładę się w moim namiocie. Choć jestem śmiertelnie zmęczona, boję się zasnąć i pozwolić, by lodowate palce zamknęły się wokół mnie i pogrążyły mnie w śnie śmierci. By nie zasnąć, staram się nieustannie o czymś myśleć. Piszę ten dziennik. Zliczam punkty, jakimi Strażnicy Prawa mogą nagrodzić moje osiągnięcia w pierwszych dwóch etapach – jeżeli Tropiciele wrócą z prawdziwymi meldunkami. Klękam przed dyptykiem i modlę się do bogów. Kładę się na plecach i usiłuję rozgryźć znaczenie tajemniczych ostatnich zapisków Eamona w jego dzienniku: *Czy naprawdę musimy narażać życie w Próbach, żeby zasłużyć na Wawrzyny Archona? Nasze życie jest tak cenne i rzadkie... Czy będą mnie kochali, gdy zrobię to, co muszę?*

Co miał na myśli? Czy nadal będziemy go kochali, gdy zrobi to, co będzie musiał zrobić podczas Prób? Nie, to musi być coś innego. Zaczynam myśleć o słowach Jaspera dotyczących wspólnej przyszłości. I dopiero wtedy, pod dodatkowym ciepłym okryciem, jakie dało mi zesłane przez bogów futro piźmowego wołu, znajduje mnie sen.

XVI
Aprilus 7
Rok 242 p. U.

Rankiem ostatniego *sinika* w tundrze budzę się przemarznięta, ale żywa. Dziękuję bogom podczas zwijania pośłania, ale po wyjściu z namiotu słyszę żałosne wycie psów i stwierdzam, że noc nie była aż tak dobra dla mnie, jak myślałam. Psy pozwijały się w kłębki i pozwoliły się zasypać śniegowi, ale rankiem jeden z kłębków pozostał w bezruchu. To Sigurd, moja jedyna w zaprzęgu suka.

Patrząc na jej nieszczęsne, zwinięte ciało, mam ochotę się rozplakać. Sigurd była twardsza od większości psów, ale miała też w sobie pewną łagodność. I oprócz mnie była tu jedyną przedstawicielką płci żeńskiej. Będzie mi jej brakowało. Będą też za nią tęsknili jej wyjący teraz ponuro towarzysze.

Pokrywam jej ciało śniegiem, a na szczycie górki umieszczam okrągły symbol bogów. Tak jak robimy to na cmentarzu w Gnieździe. Zaprzęgając psy, mam ochotę zawyć razem z nimi.

O pierwszym porannym rogu muszę zapomnieć o żalu i ruszać w drogę. Mijam rzadkie pasmo brzoź pośrodku białego, jednostajnego pustkowia. Myślę o tym, jak ochoczo studiowałiby ten zagajnik ogrodnicy z Arki, pragnąc odkryć tajemnicę wegetacji tych roślin w tak nieprzyjnym środowisku. Ale monotonia krajobrazu osłabia moją czujność. Wiem, że to niebezpieczne, ale nie mogę się oprzeć.

Późnym popołudniem śnieg nieznacznie zmienia kolor, przybierając bardziej błękitną barwę. Dopiero gdy psy podciągają mnie bliżej, a błękit się wzmacnia, orientuję się, że dotarłam do Zamarzniętych Brzegów.

Powstrzymuję psy i patrzę na nieskończone połączone pokrytych lodem wód.

Jestem głodna i wyczerpana. Bolą mnie mięśnie. Czuję pulsowanie w oczach i uszach. Myślałam, że widok zaskakująco błękitnych wód i kołyszącej się na falach kry przyniesie mi ulgę, ale zamiast tego ogarnia mnie osobliwe uczucie. Smutek.

Jest dokładnie tak, jak to opisuje Wielki Basilikon. Każdego roku podczas święta przypomnienia o Uzdrawieniu czyta z Prawa:

„W oczach bogów świat nasz był zepsuty i pełen nieprawości. Gdy bogowie ujrzeli, jak zepsuty stał się człowiek, powiedzieli: *Zetrzemy z powierzchni Ziemi stworzony przez nas rodzaj ludzki oraz zwierzęta, pełzające stwory i ptaki w powietrzu.* Ale w ostatnim momencie Matka Słońce interweniowała i przekonała Ojca Ziemię, by zachował niektórych wybranych. I powiedzieli do nich bogowie: *Zbudujcie arki. Wnijdziecie do nich i popłyńcie na północ. Weźcie ze sobą nasiona i zwierzęta, które zechcecie. Gdy wody opadną, przeżyjecie jako jedyni, by zgodnie z Prawem wieść nowe życie w naszych wybranych ziemiach.* I bogowie spuścili wody na czterdzieści dni i nocy, topiąc złych i unosząc arki wybranych na Nową Północ, gdzie zostali Ojcami Założycielami. I bogowie nazwali to Uzdrowieniem”.

Po przeczytaniu ostatniego wersetu Wielki Basilikon mówi, że jeżeli przeżyjemy podróż do Zamarzniętych Mórz, bogowie ześlą nam symboliczny dar. Ześlą łzy, by przypomnieć nam o wodach Uzdrowienia, które pogrążyły Ojca Ziemię w prawym oczyszczeniu. Ten płacz, powiada, jest sposobem bogów na powiedzenie nam, że jesteśmy wybranymi i że aprobują nasze nowe, zgodne z Prawem życie na Nowej Północy.

Z mojej twarzy spływają lodowate łzy. Ale nie czuję, że płaczę z powodów ujawnionych przez Basilikona. Płaczę, ponieważ patrzę na koniec świata. Pod pokrywającymi ziemię wodami spoczywają miliardy ludzi i żyjących stworzeń, a wielu z nich było tylko niewinnymi ofiarami zła, które ich zniszczyło. Zostaliśmy tylko my, mieszkańcy Nowej Północy.

Mój smutek szybko jednak ustępuje dumie i poczuciu spełnionej powinności. My, mieszkańcy Gniazda – spadkobiercy Założycieli – jesteśmy wybranymi. Bogowie dali nam ostatnią szansę sprawiedliwego życia. Dla mnie znaczy to, że muszę pokonać trudności czekające mnie w najbliższych dniach – i zwyciężyć.

Łzy krystalizują się na moich policzkach. Strącając je z twarzy, dostrzegam na zachodzie plamkę czerwieni. Cóż może być czerwone w tym jednostajnie białym pustkowiu? I wtedy nagle dociera do mnie, że kolor czerwony może mieć tu jedynie flaga Prób. Ostatni przystanek w naszej wędrówce z Gniazda.

Strzelam z bata i kieruję zaprzęg na zachód. Pierwszy Kandydat, który dotrze do flagi Prób, zgarnia dodatkowe punkty. Ta premia należy do mnie. Ciężko pracowałam, by udowodnić, że Panna Gniazda jest równie jak każdy Kawaler zdolna do stania się Archonem, i zdobycie tych punktów jest po prostu moją powinnością. Dla mnie i dla Eamona.

Pędząc przez ostatnie obszary tundry, kieruję się na to miejsce Zamarzniętych Brzegów. Wydaje mi się, że im bliżej jestem celu, tym bardziej gwałtownie łopocze flaga na ostro zacinającym, dzikim wietrze *unalaq*. Dostrzegam też coś w pobliżu flagi... szereg ciemnych plam na tle bieli śniegu. Co to jest, na bogów?

Usiłując pojąć naturę tych ciemnych plam, nieświadomie poganiam mój zaprzęg. I dopiero wtedy widzę: po obu stronach flagi Prób ustawilo się w szereg dwunastu Tropicieli w ciemnych uniformach.

Komitet powitalny. Mój żołądek wywija kozła na myśl o tym, że ponownie będę musiała stanąć twarzą w twarz z Tropicielem z tamtej nocy. Niemal poddaję się nagłemu pragnieniu, żeby zawrócić. Nagle wydaje mi się, że tundra jest bardziej atrakcyjna niż ten szereg czarnych sylwetek. Przypominam sobie jednak, iż zwycięstwo jest kluczem do wszystkiego. Prostuję ramiona, przywołuję w pamięci imię brata i zanoszę w duchu szybką modlitwę do bogów.

Pokonując ostatnią prostą do flagi, nie umiem zetrzeć z twarzy zwycięskiego uśmiechu, choć przez całe życie ćwiczyłam pokorę. Jestem pierwsza. Przez cały dzień nie widziałam innego Kandydata.

Korzystam z hamulców, wysiadam i przywiązuję zaprzęg do iglicy jakiejś lodowej formacji. W niezwykłej ciszy i chłodzie krocę ku obleczonym w czerń sylwetkom. Dopiero z bliska dostrzegam, że szereg nie składa się tylko z Tropicieli, choć jest wśród nich ten, który przemawiał do mnie wczesnym rankiem. Źle policzyłam. Obok Tropicieli stoi Jasper: trzynasty w równo ustawionym szeregu.

Niewiele brakło, a byłabym się potknęła. Dotarł tu pierwszy. Jak, na miłość bogów, tego dokonał?

Ostatni raz widziałam Jaspiera pod koniec wczorajszego *sinika* i był daleko poza mną. Przez cały dzień nie doścignął mnie ani jeden z Kandydatów. Jak mógł nadrobić takie opóźnienie – i to tak, bym tego nie zauważyła? Pierwszego *sinika* podczas Prób też pojawił się znikąd. Jakby posługiwał się mapą, o której nie miałam pojęcia. Mapą, której – skoro już

o tym mowa – nikt nie widział. Nawet Lukas.

Wiem, że Jasper robi to, co do niego należy. Wciąż jednak niepokoi mnie pytanie, jak pokonał trzy pierwsze etapy. Czyżby wszystkie jego oświadczenia – o tym, iż jestem jego Panną, o wspólnej przyszłości – były jedynie podstępem? Rodzajem gry mającej mnie zmiękczyć? Ta myśl wydaje mi się szalona; nie sądzę, żeby ktokolwiek widział we mnie główne zagrożenie. Przynajmniej dopóki nie wystartowaliśmy. Czyżby tamtej nocy pod lodową górą udawał rycerskiego Kawalera, żebym zajęła się jego raną? Przecież nie miał pojęcia o tym, że zabrałam ze sobą leki, więc jakże mogłoby mu to przyjść do głowy? Patrzę mu w oczy, usiłując odczytać jego myśli, i z każdą chwilą czuję coraz większą wściekłość. On jednak spogląda prosto przed siebie.

– Kandydacie, dołącz do szeregu – grzmi stojący pośrodku linii siwowłosa Tropiciel i przerywa moje rozmyślenia.

Sądzę, że jest to swoista forma gratulacji podczas Prób. Nie ma dodatkowych punktów za dotarcie do flagi na drugim miejscu.

Szukam wzrokiem miejsca w szeregu. Tropiciel stojący obok Jaspera wzywa mnie do siebie skinieniem dłoni. Nie jestem wciąż pewna, co powinnam myśleć o Jasperze, ale cóż mam robić? Okazać złość Tropicielowi za nocną wizytę? Krzywi się na mnie. Staję więc obok Jaspera, niemal dotykając go ramieniem, ale zostawiam niewielką przerwę. I to nie tylko dlatego, iż żąda tego Prawo.

Potem zaczynamy czekać. Domyślam się, że mamy czas, dopóki nie pojawią się inni Kandydaci, nikt jednak niczego nie wyjaśnia. Nikt nic nie mówi, stoimy wszyscy nieruchomo. Modlę się w duchu do bogów, żeby pozostali Kandydaci zjawili się szybko, ponieważ ten spokój jest bardzo męczący. Dokuczają mi też chłód. Wzmaga moje wyczerpanie i ogólnie kiepski stan. Że już nie wspomnę o tym, iż moje psy są głodne, zmordowane i przemoczone. Nawet Hansen i Rasmus, zwykle najlepiej wyglądające z całej sfory, teraz są niepokojąco wychudzone.

Patrzę, jak słońce sunie po niebie, i liczę w duchu dzwony. Blask słońca powoli traci swą intensywność i myślę, że już wkrótce zabrzmie pierwszy wieczorny róg. Może mniej więcej za dzwon. I jakby usłyszawszy bezgłośnie podpowiedź, Tropiciele zbierają się pośrodku linii, skinieniem dłoni nakazując mnie i Jasperowi pozostanie na miejscu, gdy oni będą się naradzali.

Po kilku chwilach się rozchodzą. Starszy Tropiciel oznajmia:

– Podjęliśmy szczególną decyzję, choć oczywiście zgodną z Prawem.

Wam, Kandydaci, zezwala się na rozpoczęcie budowania swoich igloo, abyście przed ostatnim wieczornym rogiem mieli jakieś schronienie.

Jakże są łaskawi! Sterczeliśmy tu po próżnicy przez kilka dzwonów, a teraz dają nam jeden na zbudowanie igloo. Oczywiście powinniśmy też rozniecić ogień, zebrać pożywienie i nakarmić nasze psy. Doświadczony mieszkaniec Pogranicza, taki jak Lukas, może postawić prymitywne igloo w bardzo krótkim czasie. Aż do dzisiejszego dnia byłam pewna, że na takie zadanie Jasper potrzebowałby całego dnia, ale teraz moja pewność się rozwiewa. Mój rywal jest pełen niespodzianek.

Zdawszy sobie sprawę z tego, iż na poszukanie schronienia Tropiciele dali nam zwykłe piętnaście gongów, kiwam głową w pozornej akceptacji rządów tych łaskawców. Jasper robi to samo. Możemy odejść.

Zamiast pobiec do psów, żeby się nimi zająć, jak robi to Jasper, ruszam ku linii brzegowej, gdzie morskie wiatry uformowały solidną górę lodową. Podoba mi się ofiarowana przez nią ochrona, ale potrzebuję czegoś istotniejszego. Lukas nieustannie mnie pouczał o ważności znalezienia *igluksaq*, śniegu doskonale nadającego się do budowy igloo.

Zdejmuję rękawicę i macam otaczający mnie śnieg. W zagłębieniu tuż pod krawędzią góry śnieg jest zbyt twardy; ciężko będzie go ciąć i nie będzie odpowiednio trzymał ciepła w igloo.

Kolejne miejsce wydaje się obiecujące, ale śnieg jest tu zbyt ziarnisty i bryła nie będzie się trzymała. Żeby znaleźć nieuchwytny *igluksaq*, jestem zmuszona nieco bardziej oddalić się od lodowej góry. Moje palce szybko drętwieją z zimna. Naciągam rękawice.

Wyjawszy podarowany mi przez Lukasa nóż *iglu*, zaczynam pracować wycinając bloki śniegu. Myślami wracam do Jaspera. Gdzie buduje swoje igloo? Czy czuje wstyd, ponieważ pokonał mnie na pierwszych etapach? Wracam do tej kwestii, analizując ją głębiej. Czy czuje się winny z tego powodu, że naciągnął mnie na opatrzenie jego rany, o ile rzeczywiście mnie zwiódł tamtej nocy? Wydawało mi się, że pokazując mi swoją nogę, czuje zakłopotanie, ale czy aby nie był to tylko sprytny podstęp? Mówię sobie, że to głupie, panięńskie myślenie. Muszę się skupić na aktualnym zadaniu, bo w przeciwnym razie znów przegram z Jasperem. Powinnam zadać sobie pytanie, jak mnie pokonał. Wyczerpanie mąci mi myśli i zdolność wyciągania wniosków.

Skupiam się na układaniu bloków w kręgu koniecznym do zbudowania solidnego fundamentu mojego nowego domku. Drzę z zimna i bólu, kładąc kolejne elementy. W głowie wciąż tkwi mi słowo „dom”. Dzięki niemu

przywołuję w pamięci aromat gęstej zupy z łosia i pieczonego w palenisku chleba. Przypomina mi to, że nie tylko marznę, ale czuję też głód. Prawdą jest, że to igloo będzie moim domem na czas Prób, ale od czasu do czasu zadaję sobie pytanie, czy nie będzie to dom mój ostatni.

Wczesnym rankiem następnego *sinika* Jasper i ja stoimy na krawędzi lodowej rozpadliny wyglądającej na tak głęboką, jakby sami bogowie rozcięli ziemię do jej jądra. Bogowie nie pobłogosławili nas wybranym przez Triadę miejscem Prób. Te szczególne rozpadliny – wąskie i o zboczach opadających niemal pionowo w dół – znane są jako miejsca najtrudniejszych archeologicznych wykopalisk.

Przygotowani na to, że zaznaczymy naszą pozycję, określając tym samym swoje prawo własności, i spuścimy się w głąb rozpadliny, Tropiciele otoczyli nas kręgiem. Za nimi ustawili się Pograniczni Wspinacze gotowi zająć pozycje na lodowych ścianach rozpadliny. Podczas najbliższych *siników* ich praca będzie polegała na obserwowaniu i notowaniu, nie zaś na udzielaniu pomocy. Tropiciele ani Wspinacze żadnym sposobem nie poprowadzą nas ku artefaktom wedle ich wiary zatopionych w szczelinie; nie, to byłoby złamaniem reguł Prawa. Sami musimy określić, które miejsce ma być zastrzeżone dla naszych poszukiwań.

O tej chwili marzy większość Kandydatów, ponieważ zdobycie prawa do pierwszego zejścia w rozpadlinę zapewnia wielką przewagę nad konkurentami. Każdy pragnie znaleźć artefakty w lodowej jaskini lub pieczarze. W przeciwnym wypadku możesz cały ten etap spędzić na próbach wyłupywania przedmiotów z lodu, zwisając na linie, co nie zawsze się udaje nawet najbardziej krzepkim. Jeżeli chodzi o mnie, to tej właśnie chwili obawiałam się najbardziej od dnia, w którym zgłosiłam swoją kandydaturę. Czy naprawdę jestem przygotowana do tak niebezpiecznej wspinaczki? Nawet po tym całym czasie spędzonym z Lukaszem na lodowych ścianach Gniazda? Przypomnij sobie, Ewo, co się stało z Eamonem!

Spoglądam z góry w jasnyniebieską przepaść. Oświetlona blaskiem słońca jest piękna. Rozległa rozpadlina w lodzie opada faliście, rozszerzając się i zwiężając w zupełnie niespodziewanych miejscach. Nie widzę dna i w rzeczy samej może ono być zupełnie niedostępne. Kandydaci zawsze wracają z opowieściami o bezdennych przepaściach. Usiłuję o tym nie myśleć. Moje zadanie nie polega na dotarciu do dna, ale na odkryciu

w lodowej ścianie miejsca kryjącego jakiś artefakt z czasów przed Uzdrowieniem. Lub – jeżeli taka będzie wola bogów – prawdziwego reliktu takiego jak lustro mojego ojca.

Kłękając nad krawędzią, badam układ pęknięć, tak jak mnie uczył Lukas. Głęboko w dole szczelina rozszerza się z prawej, co może wskazywać na naturalną komorę. Może ta komora otacza jakiś większy obiekt? To najlepszy z moich domysłów i decyduję się na zgłoszenie do niego praw własności.

Zaczynam otaczać ten rejon drewnianymi, specjalnie przygotowanymi na tę okazję palikami i wtedy słyszę odległy łoskot. Wstawszy i rozejrzawszy się dookoła, spostrzegam trzech innych Kandydatów, którzy dotarli do flagi Prób.

Choć znajdują się daleko, jestem niemal pewna, że to Aleksander, Benedykt i Niels; podczas ostatnich kilku *siników* dość często przyglądałam się im, patrząc w moje zwierciadło. Krąg Tropicieli pęka. Wyobrażam sobie, że rozstrzygają między sobą, który z nich ma zanotować przybycie Kandydatów, jak tego wymaga Prawo.

Jasper i ja czekamy.

W całym tym zamieszaniu dostrzegam, że Jasper szuka wzrokiem mojego spojrzenia. Ignoruję go, on jednak nieustannie znacząco chrząka. Choć jestem zmieszana i złości mnie jego zachowanie, nie chcę, by przyłapano go na łamaniu zasad Prawa. Rozglądam się dookoła, żeby się upewnić, iż nie obserwują mnie Tropiciele, i patrzę Jasperowi w oczy.

Wzrokiem przekazuje mi wiadomość, że powinnam zarezerwować sobie prawo do zejścia lewą stroną rozpadliny. Jest pokryta śliskim, mokrym lodem i ocieka wodą. Czyni to zejście trudniejszym niż z prawej strony, gdzie wbiłam swoje paliki. Czy polegając na radzie Jaspera, powinnam zmienić decyzję? Czy mogę mu zaufać? Próbuje mi pomóc czy zaszkodzić? Zanim podejmę decyzję, chcę zobaczyć, dokąd on sam się wybiera.

Gdy ponownie otaczają nas Tropiciele, Jasper wyciąga z plecaka swoje paliki i wybiera sobie miejsce po lewej stronie. To, do którego mnie namawiał. Jeżeli postąpię zgodnie z jego radą, będę musiała zignorować radę Lukasa i poczuję się tak, jakbym go zdradzała. Ale Lukasa nie ma tu, przy tej rozpadlinie, nieobecny jest tu też Eamon. A Jasper szkolił się na tę chwilę praktycznie przez całe życie. Zanoszę szeptem modlitwę do bogów, prosząc ich o radę. Komu powinnam zaufać – Jasperowi czy Lukasowi?

Zostawiając moje paliki, raz jeszcze podchodzę do rozpadliny i uważnie przypatruję się lodowi i odbitym blaskom Słońca. Może bogini da mi jakiś

znak swoimi promieniami? Podchodzę do krawędzi, którą zastrzegł dla siebie Jasper. I dopiero teraz dostrzegam faliste wzory na śliskim lodzie, których kazał mi wypatrywać Lukas. Może Jasper ma rację? A zresztą, skoro już o tym mowa, czy Jasper ryzykowałby zejście po bardziej niebezpiecznej stronie, gdyby nie wierzył, że te ściany kryją większą liczbę artefaktów?

Nadal rozdarta przez przeciwstawne pragnienia postanawiam jednak iść za radą Jaspera. Wracam na prawą stronę rozpadliny i schylam się, żeby powyciągać paliki.

– Kandydacie, zostaw te paliki tam, gdzie są – huczy głos za mną.

Nie muszę się odwracać; rozpoznaję ten głos. Tropiciel z tamtej nocy.

Wstaję i odwracam się, żeby spojrzeć mu w twarz. Czy odważę się okazać mu nieposłuszeństwo? Jeżeli nie, zostanę skazana na prawą stronę rozpadliny. Wiem też, że jeśli ten Tropiciel nalega, bym została z prawej strony, z pewnością powinnam wybrać lewą.

Ponieważ przemówił do mnie, mogę mu odpowiedzieć. Głos mi drży, ale zaczynam:

– Prawo mówi, iż żadne zgłoszenie nie jest całkowite, dopóki nie zostanie wbity ostatni palik. Wbiłam tylko dziesięć, więc mam prawo do wyciągnięcia ich i zmiany swojego zgłoszenia.

Niezbyt wielu Kandydatów przestudiowało Prawo tak dokładnie jak ja. Było to niezbędne do przekonania Triady, by zgodziła się na mój udział w Próbach, ale nie sądziłam, iż ta wiedza przyda mi się tutaj. Byłam w błędzie.

– Nie tak stanowi Prawo. W istocie...

– Tropicielu Okpik, dość – rozkazuje Starszy Tropiciel.

Zaskakuje mnie nie tyle jego surowy ton, ile posłużenie się imieniem Tropicielela; zwykle zwracają się do siebie, używając tylko tytułów. Okpik to imię mieszkańca Pogranicza. Nigdy nie słyszałam, by jakikolwiek mieszkaniec Pogranicza został Tropicielem czy – jeśli już o tym mowa – Wartownikiem Pierścienia. W jaki sposób Okpik zdołał pokonać ściany dzielące Pogranicze i Gniazdo?

Starszy podejmuje wątek:

– Kandydatka ma rację, cytując Prawo. Wolno jej zmieniać ustawienie palików, dopóki nie wbije dwunastego.

– Dziękuję, sir – mówię.

Długie panięskie przyzwyczajenie każe mi skwitować wypowiedź Starszego głębokim ukłonem, ale się powstrzymuję. Zamiast tego klękam

i wyciągam paliki, zanim Tropiciele zdążają się rozmyślić. Dzięki bogom! Z pomocą Jaspera i zgodnie z naukami Lukasa dokonuję właściwego wyboru.

Kończę zaznaczanie mojego terenu nieopodal falistych ścian po lewej stronie rozpadliny. Potem rozpakowuję mój sprzęt do wspinaczki. Jestem podenerwowana, ale na użytek obserwujących mnie Tropicieli (szczególnie Okpika) daję pokaz dzielności. Jesteśmy przy drugiej trójce etapów i każdy mój ruch powinien zostać zanotowany, by mogli go ocenić pod koniec Prób. Choć jestem pewna, że Okpik nie będzie zliczał punktów na moją korzyść.

Zdejmuję ukochane kamiksy i wzuwam buty z rakami oraz zakładam uprząż do wspinaczki. Sprawdząwszy lód w pobliżu krawędzi, wkręcam dwie pierwsze lodowe śruby. Przez ich zawlecзки przeciągam splecioną z foczych rzemieni linę, którą przyczepiam do uprzęży. Czekam, aż Pograniczni Wspinacze zajmą pozycje, a potem z czekaniem w jednej, a liną w drugiej dłoni opuszczam się w błękitny mrok.

XIX
Aprilus 8
Rok 242 p. U.

Moja odwaga szybko się kruszy, gdy tylko znikam z pola widzenia Tropicieli. Nigdy przedtem nie byłam tak przestraszona. W tajdze i tundrze miałam swoje husky. Teraz jestem naprawdę zdana na własne siły. Bliskość Jaspera, który zsuwa się nieopodal, wzmacnia tylko moje poczucie samotności.

By zacząć zejście, powinnam wbić przymocowane do butów kolce w lodową ścianę, ale unieruchamia mnie strach. Co będzie, jeżeli lina przetrze się na jakimś ostrym występie? Co, jeżeli nie znajdę dość mocnego lodu, by weń wkręcić śruby, i runę w bezdenną przepaść? Eamon zginął na Pierścieniu w dokładnie takiej samej sytuacji.

Lukas ostrzegał mnie, że mogę odczuć taki strach, choć jestem urodzoną wspinaczką. Nic nie równa się z tym zejściem. Powiedział, że nieważne, ile zaliczyliśmy wspinaczek i zejść w dennej części Pierścienia i na małych lodowcach w Gnieździe, nie będą one równoważne poczuciu opuszczania się w rozpadlinę o niemal pionowych ścianach. Myślę o jego pouczeniach. Biorę głęboki oddech, szepczę „Wierzę” i wbijam czubki butów w lód.

Niestety, zsuwam się w dół zbyt szybko i tracę kontrolę nad liną. Tak jak się obawiałam, nie trzymałam jej dostatecznie mocno. Moja lekka budowa dawała mi przewagę w trzech pierwszych etapach – sanie płyną szybciej pod lżejszym obciążeniem – ale tu na dole staje się przeszkodą. W tej fazie Prób decyduje zwyczajna siła zdobyta podczas wieloletnich treningów. By zatrzymać upadek, muszę z całej siły wbić kolce butów i ostrze czekana w lód.

Serce wali mi jak szalone i czuję, że zbiera mi się na torsje. Ale postanawiam kontynuować zejście, w przeciwnym razie równie dobrze mogłabym się wspiąć w górę i zrezygnować z dalszych wysiłków – czego chciałoby wiele osób w Gnieździe razem z moją matką.

Wspominam Eamona.

Wykorzystuję wszystkie siły i powoli opuszczam się wzdłuż lodowej ściany, trzymając linę mocniej niż przedtem. Przypominam sobie jeden z wpisów do dziennika Eamona: taki, który wygląda jak przeznaczony dla

mnie na tę chwilę. *Podczas wspinaczki nie patrz ani w górę, ani w dół; myśl o terażniejszości.*

Nie skupiam uwagi na przerażającej przepaści pode mną; opuszczając się niżej, przypatruję się ścianie na wprost moich oczu. Dostrzegam pasmo białego lodu z niebezpiecznymi, uwiecznionymi w nim pęcherzykami powietrza i udaje mi się je ominąć. Omijam również szczególnie ostry występ w śliskim lodzie. Identyfikuję też pasmo iskrzącego się krystalicznego śniegu *quopuk* pod cienką pokrywą szadzi. Przez cały ten czas wypatruję oznak świadczących o istnieniu komory, jaskini czy zamkniętej pustej przestrzeni, które mogły się utworzyć wokół większego przedmiotu, gdy zamarznęte wody zastygały podczas Uzdrawienia. Ale nie dostrzegam niczego.

Od czasu do czasu przerywam zejście, by zaczerpnąć łyk wody lub zjeść kęs suszonej ryby z sakwy; jednocześnie zapamiętuję mapę ściany. Dzięki temu nie będę powtórnie badała tych samych fragmentów lodu. Oglądam się na Jaspera, który robi to samo. Zastanawiam się, czy jego serce wali tak samo wściekle jak moje.

Lód zmienia barwę z lazururowej na szafirową. Słońce chyli się w dół. Prawo żąda, byśmy o wieczornym rogu wrócili na powierzchnię lub zostali tu na całą noc. Tego na pewno bym nie chciała. Wbijam więc dziób czekana i haki butów głęboko w lód i zaczynam mozolną wspinaczkę do góry.

I wtedy to spostrzegam. Nicco na prawo ode mnie głęboko w lodzie widzę szary cień. Czy mogę dotrzeć do tego miejsca, zwisając na tej linie? A może rankiem przemieścić linę i dopiero wtedy przyjrzeć się wszystkiemu lepiej? Jeżeli okaże się interesującym znaleziskiem, wołałabym zbadać ten rejon i opalikować go dzisiaj. Jutro zaroi się tu od Kandydatów i moja szansa przepadnie.

Korzystając z raków i czekana, mozolnie pełnę poziomo po śliskiej powierzchni. Skomplikowany to manewr i niebezpieczny; jeżeli nie będę ostrożna, mogę zawisnąć niczym objający się o ostre niczym brzytwa lodowe występy obciążnik wahadła. Docieram do szarej plamy dokładnie w chwili, w której lina dochodzi do końca zasięgu. Sięgnąwszy do sakwy, wydaję podarowany mi przez Lukasa *naneq*. Ostrzegił mnie, że ta niewielka lampa jest jedyną, jaką mogę się posłużyć w rozpadlinie; większa i bardziej gorąca mogłaby stopić lód i zdestabilizować ścianę. Drżącymi dłońmi przytykam zapałkę do knota. Pochylając się nad niewielką półką pod cieniem, przystawiam do niej *naneq*.

W pierwszej chwili myślę, że cień jest po prostu zwykłą plamą

ciemniejszego śniegu zawierającą pozostałość dawnego terenu. Ale gdy podsuwam *naneq* bliżej, widzę, że solidna pokrywa lodowa zamyka się wokół dużego, ciemnego kształtu wewnątrz ściany. Obiekt wydaje się wtopiony głęboko w lód.

Choć czas mi się kończy, muszę zastrzec sobie to miejsce. Wyjmuję cztery paliki, które dokładnie zaznaczą miejsce mojego wykopaliska. Gdy ostrożnie wbijam czwarty i ostatni drewniany palik w lodową ścianę, rozbrzmiewa pierwszy z wieczornych dźwięków rogu. Muszę rozpocząć wspinaczkę do góry. Dziesiątki Kandydatów, którzy zlekceważyli ostatni róg, spędziły swoją ostatnią noc na Jego Miłości Ziemi w rozpadlinach na długim końcu foczej liny.

Zaczynając powrotną wspinaczkę, przekonuję się, że przeceniłam swoje siły. Moje uzbrojone w niedźwiedzie szpony buty robią się równie ciężkie jak niedźwiedź, który nosił te pazury przede mną. Światło marnieje coraz bardziej i zaczynam sądzić, że nigdy nie dotrę do szczytu rozpadliny. Od momentu, w którym zaczęłam wspinaczkę, liczę gongi i nie sądzę, by zostało mi ich dostatecznie wiele, by się wydostać. Nie chcę umrzeć na tej ścianie. Ale nawet mój strach niknie przygnieciony tęnym, niewidzialnym ciężarem zmęczenia.

Nade mną i po lewej widzę podeszwy butów Jaspera. Jest bliżej powierzchni ode mnie, ale jeszcze nie dotarł do wylotu. Gdy patrzę, jak się wspina, ogląda się na mnie. I natychmiast zaczyna pochyłać się w moją stronę.

– Nie, Jasperze, dam radę! – szepczę tak głośno, jak tylko się ośmielam, żeby nie obudzić czujności dwóch Wspinaczy czających się przy krawędzi.

Oboje wiedzieliśmy, jaka kara czeka Kandydata, który przemówił do drugiego, a co dopiero, gdyby mu pomógł. Jak długo Tropiciele nas nie słyszą, Jasper mógłby udawać, że się cofa. Wybór dziwny, choć nie zabroniony.

– Nie wydestaniesz się sama przed wieczornym rogiem. – Zbliża się do mnie, sunąc po lodzie, i wyciąga rękę. – No, chodź.

– Nie.

Jasper ma rację, ale nie chcę zrujnować jego szans tylko dlatego, że zwyczajnie brak mi sił na wyjście z rozpadliny, nawet gdyby to znaczyło przegraną dla mnie. Wolę udać, że zirytowała mnie jego propozycja, i odepchnąć go odmową ku powierzchni.

Patrzy na mnie i mówi:

– Wolę spędzić noc w tej rozpadlinie z tobą niż wyjść na górę samemu.

I zrobię to. Więc jeżeli taki jest twój wybór...

Zanim Jasper pobił mnie w wyścigu do flagi, przypisałabym jego zachowanie niewzruszonej – wydawałoby się – wierze w nakazy Prawa mówiące o rycerskości. Teraz jednak nie jestem już tego taka pewna. Jakie motywy nim kierują, gdy podejmuje takie ryzyko i decyduje się na udzielenie mi pomocy? Chce się upewnić, że nie wygram? Naprawdę nie sądzę, żeby mnie miał skrzywdzić, ale dlaczego mi pomaga? Choć nie jestem do końca pewna, czy powinnam mu zaufać, nie mam innego wyboru. Wiem, co się stanie, gdy będę tu dyndała przez całą noc.

Zerkam w stronę Wspinaczy, ale, dziwna sprawa, żaden z nich nie patrzy w naszą stronę. Może bogowie darzą nas uśmiechami. Odstawiając na chwilę wątpliwości, podaję Jasperowi wolną dłoń, on zaś wciąga mnie ku wylotowi rozpadliny.

Gdy jesteśmy już blisko powierzchni, resztkami sił podciągam się sama bez pomocy Jaspera. Z dźwiękiem ostatniego rogu przewijam się przez krawędź rozpadliny. Udało się! Choć niewiele brakowało. Leżąc na plecach, gapię się na ciemniejące niebo. Wspinacze niczego nie spostrzegli.

– Wstań, Kandydatko! – woła do mnie starszy Tropiciel.

Boli mnie całe ciało, ale jeżeli Tropiciel każe ci wstać, to po prostu wstajesz. Wstaję więc na drżących nogach, odpychając się od ziemi płonącymi z bólu ramionami, i zajmuję miejsce przed szeregiem Tropicieli. Jasper już stoi. Tropiciele stoją nieruchomo niczym posągi. My też nie powinniśmy się ruszać. Czekamy na coś, ale jak zwykle nikt nie raczy nam powiedzieć na co. Jest to bardzo irytujące, szczególnie w chwili, w której mój los wisi na włosku.

Po kilku chwilach z rozpadliny wyłaniają się Pograniczni Wspinacze. Podchodzą do starszego Tropiciela i przez chwilę rozmawiają cichymi głosami. Mój żołądek wywija kozła. Czy meldują mu o naruszeniu Prawa, jakiego dopuściliśmy się z Jasperem? Może bogowie nie obdarzyli nas chwilą nieuwagi Wspinaczy, na co w duchu liczyłam? Może obserwowali nas w milczeniu, czekając, aż złamiemy zasady Prawa, żeby mieć o czym zameldować?

Gdy Wspinacze kończą ustawianie się w szeregu, starszy Tropiciel przez chwilę rozmawia z towarzyszem stojącym od niego na prawo. Wstrzymuję oddech, on zaś oznajmia:

– Pierwszy dzień wykopalisk dobiegł końca. Możecie wrócić do swoich obozów i pozostać tam do pierwszego porannego rogu.

Niewiele braknie, żebym upadła. Czuję ogromną ulgę spowodowaną tym, że złamanie zasad Prawa uszło nam bezkarnie. Jednocześnie jestem ogromnie zmęczona po wyczynach w rozpadlinie. I zdesperowana na myśl o tym, iż będę musiała doświadczać morderczych wysiłków ponownie. Może nawet trzykrotnie.

Zamiast zapaść w sen, na co naprawdę mam ochotę, zbieram moje oporządzenie. Wpycham liny, śruby, uprzęż i buty do znów ciężkiego

plecaka – pamiętając krążące od lat plotki o sabotażu, nie zamierzam ryzykować i zostawiać ich przy stanowisku. W tej chwili wyczuwam, że ktoś na mnie patrzy. Oglądam się na Jaspera, on jednak jest zajęty swoim ekwipunkiem. Zerkam na Tropiciele, ale ci obserwują robotników z Pogranicza, którzy osłaniają szczelinę nieprzemakalną płachtą na jutro. Nawet Tropiciel Okpik patrzy gdzie indziej.

Zamierzam przypisać to mojej wyobraźni, kiedy dostrzegam Wspinaczy. Obserwuje mnie jeden z tych, którzy wyszli z rozpadliny, łatwy do zapamiętania dzięki przecinającemu jego czarną czuprynę pasmu białych włosów. Nie ucieka spojrzeniem w bok, jak się tego spodziewałam. Zatrzymuje się na długą chwilę, jakby chciał się upewnić, że widzę, iż się na mnie gapi. Dopiero wtedy spogląda gdzie indziej.

Ta wymiana spojrzeń zbija mnie z tropu. Czyżby Wspinacz miał dla mnie jakieś pograniczne przesłanie, które jedynie Lukas mógłby mi pomóc zrozumieć? A może chciał mi dać do zrozumienia, że widział, jak z Jasperem złamaliśmy zasady Prawa? Jeżeli tak, dlaczego o tym nie zameldował? Co mogło go zmotywować do krycia mojego przewinienia? A może krył Jaspera? Sądziłam, że dziwne jest to, iż w krytycznym momencie żaden Pograniczny Wspinacz nie patrzył w naszą stronę, ale wydostawszy się z rozpadliny, czułam taką ulgę, że przestałam o tym myśleć.

Tropiciele gestami nakazują nam opuścić teren Prób, muszę więc porzucić Wspinacza i moje rozmyślania. W gasnącym świetle dnia Jasper i ja drepczemy w stronę obozu. Po chwili jesteśmy już dość daleko od Tropicieli i Wspinaczy. Kusząc bogów, ryzykuję kilka cichych słów:

– Dzięki za pomoc.

– Przynajmniej tyle mogłem zrobić. A ty jesteś znacznie lepsza, niż o sobie myślisz. Teraz, gdy widziałem, jak się wspinasz, myślę, że sama dałabyś sobie radę – odpowiada szeptem.

– Sądzę, że teraz robię użytek z wieloletnich treningów wspinania się na wieżyczkę. – Mówiąc to, pojmuję nagle, że to tylko część prawdy.

Jestem silniejsza niż przedtem, bo mam w sobie siłę Eamona.

Jasper ogląda się na mnie zaskoczony może wizją Panny z Gniazda wspinającej się po ścianach, choć widział, jak tutaj porywam się na znacznie większe lodowe stromizny. Rzucam mu ukradkowy uśmiech.

– Czyżbym słyszał rozmowy? – woła przez ramię Tropiciel.

– Nie, sir – odpowiada Jasper.

– To dobrze. I niech tak zostanie.

Jasper i ja milkniemy. Stojąc obok niego, czuję się najbardziej normalnie

od czasu, gdy spotkaliśmy się w tajdze i wymieniliśmy... co? Spojrzenia? Szczęście? Ulgę? Na krótką chwilę mam ochotę odrzucić dotyczące go wątpliwości i poczuć, że jak dawniej jestem niewinną Panną, która wespół z nim po codziennych zajęciach po prostu wraca ze szkoły.

I tak docieramy do obozu.

Większość Kandydatów jest już na miejscu; zajmują się budowaniem podstawowych baz. Polanka jest pełna ich krzywo zbudowanych, zapadających się igloo i mam ochotę wybuchnąć śmiechem na widok tych niezdarnych wysiłków. Tylko domek Williama wygląda z grubsza porządnie, ale on jest synem Strażnika Budynków. Jakimiż okazali się głupcami, rezygnując z wybrania Towarzyszy Pogranicza, którzy łątwo mogliby ich nauczyć sztuki *igluksaq!*

Nie śmieję się jednak. Kandydaci przerywają i patrzą na nas z zazdrością i niechęcią. Widać to szczególnie w oczach Aleksandra i Nielsa. I choć chwilę temu chciałam udawać, że wszystko jest jak zwykle, przypomina mi to, że nie mogę. Przypomina, że moje pragnienie zostania Kandydatem – nie tylko Panną – spełniło się. Znam cenę. To rywalizacja, a właśnie teraz jestem dla wszystkich zagrożeniem.

Zasypiam nie bez trudu i nie tylko dlatego, iż czuję przenikające idealnie sformowane ściany mojego igloo gniewne i wrogie spojrzenia innych Kandydatów. Dręczą mnie rozmyślania o tym, jak osiągnąć cienia pogrzebanego w lodowej ścianie, nie tracąc życia.

Przeoglądam w myślach wszystkie rady Lukasa. Przypominam sobie jego instrukcje dotyczące śniegu, wspinaczki, radzenia sobie z psami, czytania krajobrazu lub polowania i zbierania żywności w tym jałowym kraju. Ale jeśli idzie o wspinaczkę, wiedza Lukasa jest ograniczona. Jego doświadczenia dotyczą przetrwania poza Pierścieniem, a nie wydobywania spod ziemi artefaktów. W tym mógłby mi pomóc tylko Eamon.

Wyciągam jego dziennik ze sponiewieranej, zamrożonej kryjówki w jednej z moich sakw. Jego słowa nawiedzały mnie od chwili, w której opuściłam Gniazdo, ale nie miałam czasu na ponowne przekartkowanie zawartości. Ostrożnie otwieram książkę; nigdy nie wiadomo, jak mróz mógł poniszczyć te delikatne strony. Jak przedtem pierwsze spojrzenie na słowa spisane ręką brata napędza mnie dziwną mieszaniną nadziei i smutku.

Książka otwiera się na jednym z ostatnich wpisów, który już przeczytałam, a potem czytałam jeszcze kilka razy. Jest szczególnie zbijający z tropu.

Czy istotnie musimy ryzykować życie, żeby okazać się godnymi Wawrzynów Archona? Nasze życie jest tak cenne i jesteśmy tak nieliczni. Niekiedy odsuwam od siebie wątpliwości i puszczając wodze wyobraźni, imaginuję sobie zwycięski powrót do Gniazda. Stojąc na miejskim podwyższeniu z Wawrzynami Archona w rekach, widzę w tłumie uśmiechniętych rodziców. I widzę, jak Ewa patrzy na mnie z dumą w oczach. Ale obraz się rozmywa, a ja znów zostaję ze swoimi myślami. Jeżeli w istocie zwyciężę, czy oni nadal będą mnie kochali, gdy zrobię to, co będę musiał?

Co on miał na myśli? Co, w imię bogów, zamierzał zrobić? Co takiego mógłby zrobić, co zachwiałoby moją miłością do niego? Czy nie wiedział, że nic w świecie nie zdołałoby nas rozdzielić? Eamon był – i jest – częścią mnie samej.

Odganiam precz smutek i zmieszanie i przerzucam kartki do początku, gdzie naszkicował diagramy lodowych występów. Nie wiedziałam o tym dzienniku, ale pamiętam dobrze, jak kreślił te rysunki, i teraz dręcą mnie te wspomnienia. Podczas całej poprzedzającej zgłoszenie kandydatury zimy przeglądał archiwa minionych Prób, zbierając wielką kolekcję sprawozdań z dawnych prac wykopaliskowych łącznie z rysunkami terenu i opisami warunków klimatycznych. Gdy się skarżyłam, że ta praca zabiera mu czas, jaki mógłby spędzać ze mną – i żaden ze zgłoszonych Kandydatów nie zajmuje się tak bezużytecznymi szkicami – po raz pierwszy, odkąd pamiętam, zirytował się na mnie. Krzyknął wtedy:

– Czy nie rozumiesz, że od tego może zależeć moje życie?

Wtedy nie rozumiałam. Ale teraz rozumiem.

Eamon i ja szybko się pogodziliśmy; nie umiem sobie wyobrazić, aby zginął z wciąż dręczącym go poczuciem winy z powodu naszego jedyne go nieporozumienia. Ale uderza mnie ironia tego wszystkiego. Projekt, któremu się sprzeciwiałam ostro i z dziecięcym uporem, może mi teraz pomóc w przetrwaniu. Albo i w zwycięstwie.

Nie poddaję się napływającym mi do oczu łzom. Po raz tysięczny upominam samą siebie, że teraz w pierwszej kolejności jestem Kandydatką, a dopiero potem Panną; nie mogę sobie pozwolić na luksus czułości – choćbym nawet potrzebowała ochrony Kawalera. I tylko Próby powinny mnie teraz określać. Zamiast poddać się emocjom, studiuje zapiski. Modłę się do bogów, by pozwolili mi trafić na coś podobnego do mojego znaleziska. Eamon przytaczał niezliczone opisy miejsc, z których wydobywano relikty – wykopaliska w rowach, lodowych pieczarach, pod wodą, w lodowcach i oczywiście w paskudnych rozpadlinach, ale nic nie wyglądało tak jak mój cień w ścianie.

Już mam zamknąć dziennik, kiedy moją uwagę przykuwa ostatni wpis. W pierwszej chwili zlekceważyłam tę stronę zatytułowaną „Znalezisko Johansena”, ponieważ dotyczyła odkrycia w podziemnej lodowej jaskini, a nie w rozpadlinie. Jak to się miało odnosić do mojego znaleziska? Ale gdy po raz drugi przestudiowałam zapis, zobaczyłam, że wykopalisko Johansena bardzo przypominało moje.

Eamon napisał:

Głęboko w ścianie lodu Johansen zobaczył czarny cień pozostałości woreczka z lekarstwami. Wiedział, że trzeba mu wydobyć to rzadkie znalezisko – niewątpliwie wypełnione Tylenolami, Ambiensami i Prozacami – i ukazać ich przewrotność Wybrańcom Nowej Północy. Jak jednak mógł to

wydobyć, nie powodując zawalenia się na niego sklepienia i podtrzymujących je lodowych ścian? Pomodlił się do bogów, a ci ukazali mu rozwiązanie problemu.

Powoli stopił lód niewielkim ogniskiem i odsączył wodę na zewnątrz jaskini, a potem, podtrzymując lód drewnianą ramą, zaczął czekać, aż ściany kolejnej nocy ponownie się zestalą i nie będą już groziły zawaleniem się.

Powinno to samo. Johansen wymyślił sprytne rozwiązanie, które Eamon skopiował, dokładnie je szkicując. Johansenowi musiało się udać, bo tamtego roku został Archonem.

Dziękuję bogom... i Eamonowi.

Pozostałe dzwony mijającej nocy spędzam na tworzeniu planu opartego na pracy Johansena. Zajmuje mi to czas i tracę na to odrobinę sił, ale myślę, że zadziała. Liczę na to, że skryty w szarym cieniu artefakt jest tego wart. Że będzie to cenny relikwiarz.

Rankiem jestem już gotowa. Zjadłszy co nieco i odziewszy się, poświęcam trochę czasu psom; nie chcę, by łącząca nas więź osłabła. Głaszczę każdego, potem je karmię i poję, a na koniec zakładam im uprzęże. Obserwuję, jak Kandydaci biegną, by przed pierwszym rogiem uformować szereg, wyczuwam ich zniecierpliwienie – chcą jak najszybciej dotrzeć do strefy wykopalisk. Tak samo niecierpliwia się ich psy: husky szczekają i lekko się gryzą.

Trzeba mi było zająć miejsce na najbardziej południowym krańcu szeregu, więc nie spieszyłam się jak inni Kandydaci. W istocie zależało mi na tym, by zająć miejsce jako ostatnia, by zabezpieczyć doskonały punkt. Moje wahanie zaniepokoiło pozostałych Kandydatów; oglądali się na mnie zaskoczeni, że się z nimi nie ścigam. Gdy okazało się, że w linii ustawiło się wszystkich dziewięciu Kandydatów, którzy dotarli do obozu – nie widziałam jeszcze Tristana i Andersa, ale naliczyłam tylko dziewięć igloo – dołączyłam z saniami do formacji.

Wsunęłam się na miejsce obok Jacques'a, który powitał mnie uprzejmym skinieniem głowy. Pozostali Kandydaci – Knud, Benedykt, Thurstan, William, Petr, Aleksander i szczególnie Niels – mierzą mnie wrogimi spojrzeniami. Jestem wrogiem, choć niektórzy z nich przyjaźnili się z Eamonem. Jasper rzuca mi skąpy uśmiech i staje w swoich sankach.

W powietrzu wisi wydychana przez nas para. Wydaje się, że mijają niezliczone chwile, zanim Tropiciele przytyka róg do ust. Gdy w końcu rozbrzmiewa pierwszy poranny zew, Kandydaci trzaskają z biczów i ruszają na północ ku miejscu Prób.

Wszyscy poza mną.

Opuszczam szeregi i ruszam wprost na południe. Aby bezpiecznie wydobyć zastrzeżony przez siebie artefakt, muszę zbudować rusztowanie, a do tego potrzebne mi będzie drewno. Drewno. Tutaj, w bezdrzewnej tundrze. Śmiechu warte. Niemal.

Wszystkie moje nadzieje związane są z niewielkim skupiskiem brzoź, które zauważyłam po drodze do flagi Prób. Szeptem zanoszę modlitwę do bogów, bym zdołała odtworzyć z pamięci lokalizację zagajnika. W przeciwnym razie na poszukiwaniach mogę tu spędzić kilka *siników*. A nie mam ich zbyt wiele w zapasie.

Niemal dwa dzwony po pierwszym rogu widzę pasmo czerni na bieli tundry. Czy to naprawdę są drzewa? Równie dobrze może to być stado odpoczywających zwierząt lub klucz śnieżnych gęsi czy cień góry lodowej.

Wyjmuję zlutowane razem, zrobione dla mnie przez Lukasa metalowe rury i przytykam je do oczu. Zarysu pasma brzoź nie da się pomylić z niczym innym.

Choć mam ochotę wydać dziki wrzask radości, nie mogę spłoszyć mojego zaprzęgu. Zamiast tego gwizdę i sanie przyspieszają biegu. Chwilę później, gdy napawam się moim szczęściem, słyszę charakterystyczny szum, jaki wydają płozy innych sań sunących po śniegu. Któż to jeszcze mógłby być? Nagle przychodzi mi na myśl Jasper i modlę się w duchu, żeby nie naraził swoich szans i nie pojechał za mną. Moje szanse też wystawiłby na niebezpieczeństwo.

Wysuwam zwierciadło z bocznej sakwy, lecz nie dostrzegam w nim Jaspiera na moim tropie. Ale to, co widzę, sprawia, że wolałabym, iżby to on ścigał mnie w tundrze: za mną podąża para Tropicieli. Rękami dają mi znaki, żebym się zatrzymała. Oglądam się za siebie dla pozorów i po chwili zatrzymuję w biegu moje psy. Ukrywając zwierciadło, schodzę z sań, by stawić czoło Starszemu Tropicielowi i Okpikowi. Nie dziwi mnie to, że Okpik zechciał mnie śledzić, ale jestem zaskoczona tym, że zdołał zabrać ze sobą dla towarzystwa Starszego Tropicielela.

– Wycofujesz się, Kandydacie? – pyta Starszy Tropiciel.

– Nie, sir. Nie rezygnuję – odpowiadam.

– To, na bogów, co tu robisz w tundrze? – grzmi gniewnie.

– Zbieram drewno, sir – odpowiadam, choć brzmi to śmiesznie. Co mam powiedzieć? Tylko prawdę.

– Drewno?

– Tak, sir. Drewno.

– W tundrze?

– Tak, sir. Jest tam, na południu. – Dłonią wskazuję pasmo brzoź. Milczą, więc dodaję pospiesznie: – Sir, Prawo powiada...

Przerywa mi Tropiciel Okpik:

– Nie chcę już słyszeć, jak kryjesz kłamstwa cytatami z Prawa. Czemu opuściłaś miejsce oznaczone przez siebie palikami? Masz się tu z kimś spotkać?

Starszy Tropiciel zamyka mu usta spojrzeniem.

– Kandydacie, masz prawo opuścić obóz Prób i miejsce wykopalisk, by zdobyć potrzebne materiały. Rzadko się to robi, ale masz rację, że Prawo na to pozwala. Ujawniłaś nam swoje zamiary. Będziemy cię obserwować, a ty rób swoje.

Nie mogę powstrzymać uśmiechu. Tropiciel Okpik tłumy gniew, ale ustępuje przed wolą przełożonego. Przysięga Tropicieli zawiera klauzulę posłuszeństwa. Stoją obok, gdy wsiadam na sanie, i słyszę, że ruszają za mną, gdy kieruję się w stronę drzew.

Zsiadamy z sań w pobliżu zagajnika. Tropiciele stoją obok, gdy unoszę w górę ciężki topór. Nieco zakłopotana mrużę oczy i za pierwszym zamachem chybiam. Choć kolejne uderzenia trafiają w cel, czuję się dziwnie niezręcznie, gdy Tropiciele obserwują, jak nie bez trudu zwałam drzewa i rozłupuję ich grube pnie. Gdybyśmy byli w Gnieździe, pospieszyliby z pomocą Pannie Ewie. Teraz myślą, że zwariowałam.

Gdy po pięciu dzwonach wracamy do miejsca Prób, robię, co w mojej mocy, by udawać, że nie widzę eskorty Tropicieli. Niektórzy z Kandydatów siedzą lub stoją obok rozpadliny, robiąc sobie przerwę na posiłek. Zsiadając z sań, unikam ich badawczych spojrzeń. Trzymając wysoko głowę, wdziwam moją uprząż do wspinaczek i mocuję część drewna na plecach.

Podczas tej czynności spostrzegam, że Tropiciel Okpik stoi obok Aleksandra i uważnie mnie obserwuje. Przysięgłabym, że ich usta się poruszają; obaj rozmawiają ze sobą szeptem. O czym, na bogów? Jakimi sekretami się dzielą?

Porzucam podejrzenia i spuszczam się w zastrzeżone przeze mnie miejsce

rozpadliny. Nie pozwalam sobie na żadne rozproszenie uwagi. Choć powiązałam drewno w najmniejsze z możliwych wiązki, bagaż utrudnia mi pierwsze momenty zejścia. Wbijam raki butów i czekam w ścianę rozpadliny i z całych sił zaciskam dłoń na foczej linie. Po kilku chwilach ustaląm rytm i wkrótce docieram do miejsca, w które wbiłam paliki.

Sadowiąc się na miejscu i oświetlając je moją *naneq*, pozwalam sobie na spojrzenie w górę. Dostrzegam tkwiącego nade mną i nieco po prawej Jaspera, widzę też podeszwy dwóch par nieznanych mi butów wyżej i z lewej. Wszyscy trzej Kandydaci opasali się linami i teraz usilnie walą w ścianę dziobami kilofów. Może i pode mną jest kilku śmiałków, ale nauczyłam się nie patrzeć w dół. Próbuję też ignorować obecność Wspinaczy.

Trzymając lampę przy ścianie, niemal się boję tego, co mogę znaleźć – a może raczej tego, że niczego nie znajdę. Co będzie, gdy się okaże, iż szary cień jest po prostu zwykłym zabrudzeniem lodu? Co, jeśli nie umiejscowiłam artefaktu, a wszystkim, co zdołałam osiągnąć podczas jednego i połowy *sinika*, jest wkurzenie Tropicieli i strata cennych chwil?

Odetchnąwszy głęboko, umieszczam *naneq* tak blisko lodu, jak tylko się odważę. W pierwszej chwili dostrzegam tylko zewnętrzny zarys. Zrozumiawszy, że trzymam latarnię zbyt blisko, by rozróżnić wewnętrzne kształty, odsuwam światło od ściany. I dopiero wtedy widzę wyraźnie szary cień.

Przysięgłabym, że to zarys ludzkiego ciała.

XXIII
Aprilus 10.
Rok 242 p. U.

Inatychmiast instynktownie się cofam. Wiem, że powinnam być zachwycona, zobaczywszy dwustupięćdziesięcioletnie, zamrożone w rozpadlinie ciało – w końcu po to tu jestem – ale odlatuję od ściany i przez chwilę dyndam w powietrzu.

Wracam na linie prosto w miejsce, w którym zobaczyłam zarys ciała. Zbieram się w sobie, by przyjrzeć się mu z bliska, ale gdy patrzę wprost, wszystko niknie. Widzę tylko szary cień.

Czy kształt ciała był tylko sztuczką światła?

Nie mogę znów dostrzec dokładnych zarysów – niezależnie od kąta, pod jakim trzymałam *naneq*, ale czuję ogarniające mnie podniecenie. Cokolwiek jest ukryte w zastrzeżonej przeze mnie lodowej ścianie, z pewnością odkryłam relik.

Ożywiona nową energią mocuję lampę do jednego z palików i wyciągam z sakwy rysunek. Dziobem kilofa przenoszę go na ścianę. Przed zmierzchem zdążyłam już opróżnić miejsce na ramę i wpasować drewno z plecaka. Rano będę gotowa do rozpoczęcia niełatwej pracy wydobywczej.

Dobrze przed pierwszym wieczornym rogiem zaczynam się wspinać ku powierzchni. Nie chcę tu pozostać na noc, jak to niemal zdarzyło mi się wczoraj. Choć wspinam się mozolnie, pamiętam, że mam w sobie dużo z Eamona. Udaje mi się dotrzeć do krawędzi rozpadliny w tej samej chwili, w której rozlega się dźwięk pierwszego rogu. Gdy wydostaję się na powierzchnię, powietrze jest aż gęste od śniegu *nittalaaq*. Błogosławione dni Słońca się skończyły. Mam nadzieję, że boskie błogosławieństwo nie odeszło razem z Nią.

Gdy tylko z rozpadliny wydostali się wszyscy Kandydaci, ruszyliśmy za Wspinaczami i Tropicielami z powrotem do obozu. Wzrokiem sięgam tylko na odległość kilku dłoni przed sobą. Gdy docieramy do polanki, inni pracownicy Pogranicza rozpalają wspólne ognisko. W powietrzu topią się płatki śniegu. Widzę piekącą się nad ogniem rybę. Prawo na to zezwala: skoro Kandydaci wykazali się determinacją w dziczy podczas pokonywania trzech pierwszych etapów, muszą się już tylko skupić na wydobyciu

archeologicznych znalezisk i pisaniu kronik w miejscu wykopalisk.

Ponieważ przez całe moje życie jedzenie przygotowywał mi ktoś inny, nie miałam pojęcia, jak bardzo mnie ucieszy gotowy posiłek. Wcześniej czułam, że to właściwe, aby ktoś inny znalazł pożywienie i przygotował je dla mnie. Nigdy więcej nie uznam, że ze strony Służących jest to powinność – o ile tylko będę miała okazję znów się z nimi zobaczyć.

Na sygnał Starszego Tropicielea wszyscy Kandydaci ruszają do posłań z foczych skór rozłożonych wokół rażno trzaskających płomieni. Rozglądam się za Jasperem. Moje spojrzenie ślizga się po innych Kandydatach; wszyscy wyglądają na wymęczonych i wychudzonych. Podczas wędrówki nie natrafili na pizmowego wołu. I wtedy dostrzegam Jaspera idącego ku jakiemuś posłaniu. W porównaniu z innymi nie wygląda na chudzielca.

Gdy Pogranicznicy podają pierwsze ryby i mieszankę jadalnych ziaren, wszyscy pochłaniamy je z apetytem. Po skończeniu tego milczącego posiłku Starszy Tropicielele wstaje i gestem nakazuje nam też wstać. Spodziewam się, że teraz pozwoli nam odejść do naszych igloo. Zamiast tego unosi dłonie ku niebu i zaczyna modlitwę.

– Modlimy się do bogów za naszych braci Tristana i Andersa. Gdy nie dotarli do obozu, jak się tego należało spodziewać, Tropicielele poszli ich szukać. Poranne Jej światło ujawniło, że nasz brat Tristan uległ lodowemu uściskowi tundry – o wieczornym rogu utknął w jałowej okolicy. Poranne światło bogini ujawniło nam, że podobny los spotkał i drugiego naszego brata, Andersa, choć ten padł ofiarą dzikich stworów tundry, zanim chłód zrobił swoje. Rozpaczając z powodu straty Tristana i Andersa, wiemy jednak, że Słońce i Ziemia przyjmą ich do swojego królestwa, ponieważ obaj stracili żywoty w trakcie świętych Prób, które ustanowili sami bogowie, tworząc Prawo dla dobra rodzaju ludzkiego po Uzdrawieniu. Unieśmy ręce i pomódlmy się za Tristana i Andersa.

Tristan i Anders. Odeszli. Robi mi się niedobrze. Ich śmierć przypomina mi ów straszny moment, gdy Wartownicy Pierścienia przynieśli do naszego domu pokaleczone ciało Eamona. Nie pamiętam zbyt wiele z dzwonów tamtego okropnego dnia; wiem tylko, że padłam na kolana i wydałam z siebie długi, ostry krzyk. Pamiętam też rodziców, którzy runęli na podłogę niczym kłody. Pamiętam łkanie nad martwą twarzą Eamona. Jak zareagują rodzice Tristana i Andersa, gdy Tropicielele zostawią ciała synów pod drzwiami ich domów? Czy zachowają w tej chwili i podczas ceremonii pogrzebowej na cmentarzu w Gnieździe stoicki spokój, ponieważ ich synowie „stracili żywoty w trakcie świętych Prób”, jak to powiedział

Tropiciel? A może, zanim wszystko dobiegnie końca, wybuchną tak jak ja?

Unoszę ręce, jak nakazują Tropiciele. Zamiast jednak zgodnie z nakazami Prawa patrzeć w niebo, zerkam z ukosa na pozostałych Kandydatów. Patrząc na nich nie jak Panna z Gniazda powinna patrzeć na Kawalerów albo jak jeden z Kandydatów na pozostałych. Oceniam ich tak, jak jeden człowiek ocenia drugiego.

Wszyscy niemal wyglądają na przygnębionych i przestraszonych. Poraziła ich bezlitosna rzeczywistość Prób. Knud płacze, patrząc w niebo. Tristan był jednym z jego najbliższych przyjaciół, nigdy nie widziałam jednego bez drugiego. W rzeczy samej byli tak nierozłączni, że w szkole nazywaliśmy ich „jasnowłosymi bliźniakami”. Andersa nie znałam zbyt dobrze; trzymał się na uboczu. A jednak bardzo dobrze pamiętam, że promieniał z dumy, odpowiadając jednemu z nauczycieli na najtrudniejsze pytania dotyczące historii Uzdrawienia. Może to właśnie zamiłowanie do wiedzy o Uzdrawieniu skłoniło go do wzięcia udziału w Próbach?

W blasku ogniska łyżę lśnią i na policzkach pozostałych – widzę je na twarzach Jacques’a, Benedykta, Williama, Thurstanai Jaspera. Ale nie płaczą Aleksander ani Niels. Twarz Aleksandra przypomina wyrzeźbioną w kamieniu. Ja też nie płaczę. Dlaczego? W pierwszej chwili myślę, że powodem braku łez w moich oczach jest to, że dobrze nie znałam żadnego z zaginionych, ale potem dochodzę do wniosku, iż poniosłam znacznie cięższe straty.

Dlaczego, w imię bogów, Eamon musiał podjąć to głupie wyzwanie wspięcia się na szczyt Pierścienia i zostawił mnie z tym wszystkim samą?

Zamiast łez rozpala się we mnie gniew. Ci młodzi ludzie należą do ostatnich, którzy pozostali na tej ziemi, i ryzykują swoje życie, angażując się w Próby.

Ludzkość tak rozpaczliwie trzyma się powierzchni świata; dlaczego przywódcy Nowej Północy poświęcają najlepszych i najbardziej bystrych w rywalizacji, która co roku bezwzględnie zabija? Dlaczego Wawrzyny Archona muszą być opłacane tak drogą daniną?

Wiem: Prawo powiada, iż by zasłużyć na honor Archona, musimy ryzykować życie, jak robili to nasi Przodkowie. By pamięć o Uzdrawieniu nigdy nie umarła; ostatecznie jesteśmy ostatnią nadzieją ludzkości na przetrwanie. Ale wydaje mi się, że nasze życie – a w istocie to życie wszystkich ludzi – powinno być troskliwiej chronione.

Czy nie o tym właśnie myślał mój brat, gdy pytał: „Istotnie musimy ryzykować życie podczas Prób, żeby zdobyć Wawrzyn Archona? Nasze życie

jest tak cenne i jesteśmy tak nieliczni... Czy pokochają mnie, gdy zrobię, co będę musiał?”.

Co on musiał? Czyżby zamierzał zmienić Próby?

Wracając do mojego igloo, obiecuję sobie, że gdy ponownie znajdę się w Gnieździe, rozwiążę zagadkę słów Eamona. Klękam przed moim dyptykiem i modłę się do bogów, by uwolnili mnie od wątpliwości i dali mi zasnąć, ale sen nie nadchodzi.

Wyobrażam sobie, jak bym wyglądała w okrągłym wawrzynowym wieńcu – tak jak to narysował Eamon – i co pomyślałby, gdyby mnie teraz zobaczył. Założyłam opończę Prób, ponieważ wierzyłam, iż było to jego marzeniem. Ale czy doprawdy tego chciał? Czy chciał, abym znalazła się tutaj?

Zapisuję w dzienniku wszystkie moje sekretne myśli. Nie mogę zasnąć. Nawiedzają mnie widma Tristana i Andersa. Wyobrażam sobie ich pełne zapału i nadziei twarze, gdy stają na przełęczy w saniach i ruszają pomiędzy śnieżne zasy. W mojej głowie ponownie odtwarzają się wspomnienia Eamona. I wszystkie tragiczne wypadki, jakie zdarzyły się podczas Prób.

W końcu zapadam w drzemkę i choć następnego ranka budzę się nie za bardzo odświeżona, ogarnia mnie determinacja. Będę naśladować strategię Johansena. Nie zgubię się wśród tych rytuałów.

Z pierwszym rogiem pędzę do oznakowanego przez siebie miejsca i zaczynam robić wszystko, co możliwe, żeby wydobyć relikwiarz spod lodu.

Odnajdę cel poświęceń Tristana, Andersa i Eamona. Nawet jeśli mój brat miał rację, kwestionując sens Prób – i nie tylko ich.

Dotrzymuję przysięgi, ale moje artefakty nie są łatwe do wydobycia z ich lodowego grobu.

Nie bez bolesnego wysiłku wbijam się w ścianę, by wznieść mocniejszą konstrukcję, stopić warstwę lodu i wygrzebać syfon poniżej tak, aby woda wylewała się do rozpadliny i nie zamarzała podczas nocy na rusztowaniu. Tak jak to zrobił Johansen.

Do pierwszego wieczornego rogu wszystko, czego dokonałam, to wycięcie niewielkiej dziury w ścianie rozpadliny.

I tak spędziłam większą część sześciu *siników*, wkopując się w lodową ścianę na ten ogłupiający sposób. Ale artefakt nie chciał się ujawnić.

Za każdym razem, gdy myślę, że jestem już prawie u celu – i że ten niewyraźny cień przybiera konkretną formę – stwierdzam, że mam przed sobą kolejną warstwę lodu. Za każdym razem wracam do igloo z pustymi rękami po to, by stanąć w obliczu kolejnej bezsennej nocy pełnej wizji Eamona, Tristana i Andersa.

W południe szóstego *sinika* – wyczerpana, ale przynajmniej najedzona – zaczynam wątpić w moją strategię. Mroźne i duszne powietrze wokół mnie pełne jest okrzyków Kandydatów wzywających Pogranicznych Wspinaczy, by poświadczyli ich relikty. Protokoły Prawa wymagają, żeby Wspinacz poświadczył wydobyte zastrzeżonego artefaktu, który następnie może być uznany za relikwot godny Prób.

Ściana rozpadliny zaczyna się roić od Kandydatów i Pogranicznych Wspinaczy, a także nowych lin i wielokrążków mających wynieść relikty na powierzchnię.

Podchwytuję szeptane rozmowy pomiędzy Kandydatami i Wspinaczami. Zabawne jest to, iż struktura rozpadliny pozwala mi słyszeć dyskusje z przeciwległej ściany, choć rozmowy toczony tuż nade mną nie są dla mnie zrozumiałe. Choć może jednak nie jest to zabawne. Dziwny ten fenomen nie pozwala mi domyśleć się, co znalazł Jasper, choć wisi wprost nade mną, ale doskonale słyszę rozmowę toczoną pomiędzy Nielsem, Aleksandrem i Wspinaczem, która dotyczy odkrycia przez nich sporej jamy wypełnionej bronią – Techowie nazywają to „karabinami”; ludzie przed Uzdrawieniem używali ich do swoich morderczych wojen. Relikty „karabinowe” są częstymi znaleziskami i choć mocno różnią się pomiędzy sobą, to często dają znajaczy Wawrzyn Archona. Ta informacja nie poprawia mi nastroju.

Z każdym podsłuchanym szeptem, z każdym posiłkiem pochłoniętym przy wspólnym ognisku, z każdym Kandydatem, który pędzi do swojego igloo, by badać swój relikwot pod baczynym okiem Tropicielela działającego jako Relikwot, coraz bardziej się denerwuję.

Tropiciele Relikwoni są Strażnikami Relikwotów. Wyobrażam sobie, jak na miejskim rynku Gniazda lądują gołębie pocztowe niosące w maleńkich paczkach przymocowanych do szyi początkowe doniesienia o znalezionych relikwotach, potem o uaktualnieniach kronik. Wyobrażam sobie reakcje ludzi podczas codziennych zebrań. Mogę też sobie wyobrazić rozczarowane miny moich rodziców, kiedy dzień po dniu nie ma wieści od Ewy. Ale nie ma też doniesień o relikwotach znalezionych przez Aleksandra i Nielsa.

Późnym popołudniem szóstego *sinika*, gdy patrząc w górę, dostrzegam z mojej półki srebrne niebo, lodowa ściana nabiera barwy szafiru. Mam może jeden dzwon do pierwszego wieczornego rogu i Słońce opada w dół na swej drodze. Po raz milionowy przybliżam *naneq* do lodowej ściany. Wydaje się, iż szary cień przybliży się do powierzchni, ale podczas kilku minionych *siników* wielokrotnie już tak myślałam.

Potrząsając głową, by odzyskać jasność myśli, ponownie przyglądam się lodowi. Istotnie wygląda ciemniej, jakby ten uchwytny cień wreszcie wyłaniał się spod powierzchni.

Chwytam czekan i dziobię ukazujący się coraz wyraźniej kształt. Po kilku chwilach natykam się na opór nieco większy niż stawiany przez śnieg czy lód. Mocuję *naneq* do zgłoszeniowego palika i razem z czekanem używam kielni. Serce wali mi jak młotem. Widzę! Przedmiot jest podłużny i ma rozmiar mojej sakwy. Nie mogę jednak jeszcze zobaczyć go wyraźnie. Uparta warstwa lodu przywiera do artefaktu jak zimowy szron, oddzielam ją tak szybko, jak tylko się ośmielam.

Przedmiot... przedmiot materializuje się w świetle mojej latarni. W białobłękitnej ścianie rozpadliny lśni jak drogocenny kamień. Kolorem nie przypomina niczego, co widziałam w Gnieździe. Najbliższą mu barwę widziałam w Arce – to były hodowane jesienią pod górą rzodkiewki albo rzadkie poziomki rosnące latem na delikatnych krzaczkach. Lub coś, co możecie zobaczyć w zanikających promieniach zmierzchu.

Jak się nazywa ten kolor? Lukas chyba mi kiedyś powiedział.

A, tak. To kolor różowy.

Relikt! – wołam.

Mój zdyszany głos odbija się echami od ścian rozpadliny – w istocie zbyt głośnymi – ale się tym nie przejmuję. Nadeszła wreszcie moja kolej.

Choć oczekiwanie trwa nieznośnie długo, szczególnie w niknących promieniach Słońca, już po kilku chwilach zsuwa się do mnie po ścianie Wspinacz. Mam przygotowany czekan oraz kielnię i umieram z niecierpliwości, by wydobyć skarb z jego lodowego grobu. Gdy już sądzę, że nie dam rady czekać dłużej, Pogranicznik jest przy mnie. To ten Wspinacz, którego spotkałam podczas pierwszego *sinika* przy rozpadlinie, człowiek z pasmem bieli we włosach. Pod jego baczny spojrzeniem czuję się dość niepewnie, ale oboje rozpoczynamy rytualną wymianę zdań.

– Kandydatko, czy jesteś gotowa wydobyć relikw z lodu? – pyta.

Mam ochotę odpowiedzieć krzykiem, ale zamiast tego wypowiadam spokojnie uświęcone zdania:

– Tak. Jest blisko powierzchni, ale nie na powietrzu.

– Mam już sakwę na relikty. Możesz zaczynać, Kandydatko.

Zaczynam wydobywać artefakt. Tak mi się spieszy, by usunąć ostatnią upartą warstwę szronu, że wywijam czekanem zbyt żwawo.

– Uważaj, Ewo, uważaj – szepcze Wspinacz.

Jego łagodne ostrzeżenie i to, że zwraca się do mnie po imieniu, zdumiewa mnie tak, iż odwracam się od mojego łupu, by na niego spojrzeć. Wspinacz spokojnie patrzy mi wprost w oczy. Jego niewzruszone spojrzenie sprawia, że czuję się niezręcznie z moją reakcją. Dlaczego jego słowa tak mnie zaskoczyły? Chodzi o radę czy o użycie mojego imienia? Niewątpliwie w obu wypadkach nie spodobałoby się to Strażnikom Prawa. Jako Wspinacz dowiedział się wszystkiego o Kandydatach – poznał ich imiona, pochodzenie rodzinne, ich umiejętności – więc oczywiście poznał i moje Wodne Imię. Czy on naprawdę jest Pogranicznikiem? Pogranicznik nie zwróciłby się z taką swobodą do Panny z Gniazda po imieniu, choć nigdy nie miałam nic przeciwko temu, by Lukas nazywał mnie Ewą. Co prawda musiałam go o to prosić. Nie wiem, czemu uważam tego Wspinacza za

osobę zabawną.

Wracam do mojej zdobyczy i zwalniam nieco tempo pracy. I dość szybko ujawnia mi się relik. Okrywający go materiał nie przypomina w dotyku zwierzęcej skóry ani żadnej tkaniny, jaką widziałam w Gnieździe. Ma stały wzór i fakturę oraz jest jednocześnie gładki i sprężysty. Jakie zwierzę dostarczyło taką skórę? Nie, to nie jest materiał pochodzenia zwierzęcego. Żyjący przed Uzdrawieniem ludzie potrafili wytwarzać wszelkiego rodzaju sztuczne materiały nienaturalnymi sposobami.

Skuwam szron wzdłuż brzegów. Uwięziony w miejscu podczas minionych dwustu pięćdziesięciu lat przedmiot w końcu uwalnia się nieoczekiwanie, co odrzuca mnie w tył. Przez chwilę kołyszę się nad szczeliną, trzymając w zaciśniętych dłoniach relik. Wiem, że powinnam zatrzymać bujanie, by nie zostać nadzianą na jeden z lodowych szpikulców wystających z przeciwległej ściany, ale nie chcę ryzykować wypuszczenia reliktu z rąk.

Bez jednego słowa Wspinacz kieruje mnie ku mojej ścianie. Serce zaczyna bić mi szybciej. To zabronione. Dlaczego ponownie mi pomaga? Czy nakłonił go do tego Jasper? Może zrobili to moi rodzice? Nie umiem sobie wyobrazić, żeby dla mojej ochrony dopuścili się aż tak wielkiego naruszenia Prawa niezależnie od tego, jak by się o mnie troszczyli.

Skinieniem głowy dziękuję mieszkańcowi Pogranicza, choć ten oczywiście nie odpowiada. Jakby nic szczególnego się nie zdarzyło, ruchem dłoni nakazuje mi wsunąć relik w specjalną sakwę, którą mi właśnie podaje. I nagle znów wykonujemy przepisany przez Prawo rytuał. Ostrożnie wkładam relik do sakwy. Potem przejmuję ją od Wspinacza i wkładam do mojego plecaka.

Po kilku słowach dziękczynnej modlitwy do bogów zaczynam wspinać się ku wylotowi rozpadliny. Z subtelnie mnie popychającym i wspierającym Wspinaczem docieram na górę z kilkoma chwilami zapasu. Mam wielką ochotę otworzyć sakwę i zobaczyć, co znalazłam, ale muszę dopełnić rytuałów – w przeciwnym razie utracę prawo do zdobyczy. Gdy tylko docieramy na górę, Wspinacz zostawia mnie, bym mogła zameldować o znalezisku Tropicielom, którzy z kolei powinni je odnotować w Księdze Kandydatur.

Nie wierzę, że Tropiciel Okpik pozwoli mi ujawnić odkrycie bez jakiegoś sprzeciwu. Czekam więc, obserwując dopełnianie się rytuału. Okpik słucha uważnie, podczas gdy Wspinacz opisuje moje znalezisko.

– Różowy? – słyszę, jak pyta tak głośno, że słyhać go chyba na całym polu Prób.

Okpik krzywi się, rzuca mi spojrzenie i krzywy uśmiezek, ale już bez sprzeciwów wpisuje moje znalezisko do księgi. Zgaduję, iż myśli, że jest bezwartościowe – szczególnie wobec tego, co odkryli Aleksander i Niels.

Wcale się tym nie przejmuję. Mam szansę. Może nie na zdobycie Wawrzynów Archona, ale na przeżycie, które tu jest wartością nadrzędną. Przyciskam sakwę do siebie tak mocno, jak tylko się ośmielam. Na zbadanie jej zawartości muszę poczekać, aż wrócę do igloo – a i tam będę mogła to zrobić pod baczny spojrzeniem Tropiciele Relikwona. Rozglądam się więc po polu wykopalisk. Inni Kandydaci też wyłazą już na powierzchnię.

W końcu rozbrzmiewa ostatni róg wieczorny. Rozglądam się, czy ktoś zwrócił uwagę na trzymany przeze mnie relik. Nikt nie patrzy w moją stronę – poza Jasperem, który pozdrawia mnie nikłym uśmiechem. Wiem, że obserwował, jak wpływają na mnie kolejne dni bez żadnych odkryć; widziałam, jak patrzył na mnie spod oka. Im częściej nań spoglądałam, tym mniej podejrzewałam go o ukryte motywy. Ufam, że tamtego pierwszego *sinika* rozglądał się za mną w szczelinie po prostu jako Kawaler. Myślę, że mógł jakimś podstępem zyskać dojdzie do tajnej mapy, może należącej do jego dziadka Magnusa, by się upewnić, że mnie wyprzedzi w Próbach. By mieć na mnie oko. Nie po to, żeby wygrać. Może zresztą chciał osiągnąć jedno i drugie. Co mi się nawet w pewien szczególny sposób bardzo podoba.

Odpowiadam mu uśmiechem.

Wspólny posiłek przy ogniu mija szybko – wszyscy pospiesznie jedzą i zanoszą modły do bogów. Mnie zależy tylko na tym, by znaleźć się samej w igloo.

I oto wreszcie nadchodzi upragniona chwila. W niewielkiej przestrzeni mojego lodowego domku zostajemy tylko ja, mój relik i krzepki Tropiciel Relikwon, którego nie znam. Czuję niepokój. Co będzie, jeżeli zajmę się tym przedmiotem w sposób niewłaściwy? Niektóre relikty są tak delikatne, że ulegają rozpadowi, gdy tylko stopi się otulająca je lodowa trumienka.

Co roku nawet po dotarciu aż tak daleko co najmniej jeden z Kandydatów traci wszystko z tego powodu. Nie chciałam, żeby tego roku padło na mnie. Przypominam sobie, co Eamon pisał o ochronie artefaktów przed topieniem się.

Niezależnie od stopnia twojej niecierpliwości zawsze działaj powoli: relik jest delikatny i może się rozpaść pod naporem pospiesznego, nieostrożnego dotyku. Łagodnie powiększaj przestrzeń, w której zamierzasz pracować, i upewnij się, że trzymasz daleko ciepło płomienia. Ogrzewaj powietrze powoli i pamiętaj, że roztopienie reliktu może potrwać dłużej niż jeden

wieczór. Używaj czekana bardzo ostrożnie – tylko wtedy, gdy musisz – delikatnie zdrapując i otrząsając lód otaczający znalezisko, i cierpliwie poczekaj z ponownym ogrzewaniem powietrza wokół twego skarbu.

Na oznaczającej roboczą przestrzeń w moim igloo macie z foczej skóry ustawiam dwie lampy *naneq*. Świadoma baczności spojrzenia Tropiciele Relikwona wydobywam z sakwy sporą garść zebranego w tajdze mchu. Wydaje mi się, że Tropiciel się lekko uśmiecha.

Może wie, czego w kwestii chronienia przed gniciem nauczyłam się podczas mojego szkolenia w Arce? Zastanawiam się, co jeszcze wie. Wysuwam z sakwy różowy obiekt. Jego żywe kolory na środku czarnej maty w śnieżnobiałym igloo zaskakują intensywnością. Zamykam oczy, usiłując na chwilę wyobrazić sobie świat, w którym tak jaskrawe kolory były powszechne. Świat, w którym Prawo nie uświęcało bieli, czerni ani szarości. Lub danego przez bogów błękitu czy krwistej czerwieni zwierzęcej posoki. To jest Nowa Północ. Po prostu nie umiem sobie wyobrazić niczego innego.

Zewnętrzna warstwa reliktu stopniała. Całość ma rozmiar mojej sakwy, choć jest nieco lżejsza. Odwracam przedmiot na drugą stronę i widzę, że choć nie jest ozdobny z frontu, ma z tyłu przymocowane dwa szerokie pasma łukowato wygiętego materiału. Nie umiem się domyślić, w jakim celu to zrobiono. Nawet w zapiskach dotyczących dawnych Prób Eamon nie przedstawił niczego podobnego.

Ostrożnie, żeby nie wywołać zbyt dużego nacisku na materiał, obracam relik w jedną i drugą stronę. Im bardziej go badam, tym bardziej narasta we mnie przekonanie, że kawałki materiału wyglądają jak pasy do zapięcia mojego plecaka. Nie chcę naciągać materiału, bo boję się go rozedrzeć, więc tylko przykładam taśmy do pleców. Pasują, więc to jakiś plecak. Czyżby więc zawierał coś wewnątrz? Może nawet coś ważniejszego czy bardziej znaczącego niż sam przedmiot?

Serce znów zaczyna mi bić mocniej. Jeżeli prawdą jest, iż ten relik to coś w rodzaju opakowania, jak w imię bogów się go otwiera? Na żadnym boku nie widzę otwarcia. Jedna z jego krawędzi jest obramowana metalem, który po bliższym badaniu okazuje się jakby podwójnym szeregiem zamkniętych ząbków. Przypuszczam, że to ozdoba – jak wiele rzeczy wytworzonych przed Uzdrowieniem – ale potem dostrzegam niewielką płytkę na jednym końcu szeregu. Pociągam, wstrzymując oddech.

Relikt otwiera się z dziwnym dźwiękiem, jakby ktoś przeciągle wymówił „bzz...”.

Na foczą skórę wypadają cztery przedmioty. Każdy jest otoczony cienką, przezroczystą powłoką, którą początkowo uznaję za warstwę lodu. Co innego mogłoby tak ciasno przylegać do przedmiotu i być tak przezroczyste? A jednak, gdy dokładnie przyglądam się reliktom – nie dotykam ich, żeby nie rozgrzać – przekonuję się o swojej pomyłce. Przedmioty są zamknięte w przezroczystych powłokach.

Niewiarygodne! Z czegoż jeszcze mogłyby być zrobione te opakowania? I – co ważniejsze – jak mam wyjąć z nich chronione przedmioty? W notatkach Eamona nie ma nic o czymkolwiek podobnym, nigdy też nie słyszałam, by z czymś takim zetknął się którykolwiek z Kandydatów.

Czytałam jednak, że niektóre z wytwarzanych przed Uzdrawieniem materiałów topią się, gdy są bliskie temperatury zapłonu. Nie chciałabym zniszczyć znaleziska z powodu swojej nieuwagi. Z szeroko otwartymi oczami badam przedmioty ani nie dotykając ich, ani nie zbliżając do nich *naneqów*. Widzę, że Tropiciel Relikwon też wstrzymuje oddech.

Nachylając się tak, jak tylko się ośmielam, badam woreczek zawierający czarny prostokąt ozdobiony trójkątem i słowem „Prada”. Co to znaczy „Prada”? Nigdy nie słyszałam tego słowa w angielskim, łacinie, pogranicznym czy tej dziwnej mieszaninie francuskiego, fińskiego, szwedzkiego i rosyjskiego, którą posługują się w codziennych rozmowach mieszkańcy Gniazda.

„Prada” nie brzmi jak żaden ze złych czarów czy talizmanów związanych z Apple'em bądź jego demonami. Nie jest też żadnym z imion ujawnianych przez Prawo w jednej z modlitw, jakie recytujemy w Bazylice. Patrząc na czarny trójkąt, nie umiem sobie wyobrazić, czym może być Prada.

Moje serce zaczyna uderzać szybciej. To prawdziwe odkrycie. Nic podobnego wcześniej nie znaleziono! Moja ciekawość zwycięża i wbrew zaleceniom prawdopodobnie każdego Archona i Kandydata Nowej Północy ściskam sakiewkę. Tropiciel Relikwon niemal stęka, ale tak jestem zafascynowana słowem „Prada”, że prawie go nie słyszę. Spodziewam się, że przedmiot będzie sztywny, ale okazuje się, że przezroczysta pokrywa jest giętka jak wełniane okrycia, które wytwarzamy w Gnieździe. W sumie jest tak miękka, że wypuszczam przedmiot z dłoni.

Sakiewka pada na foczą skórę i niespodziewanie się otwiera. Z Prady wypada wiele niewielkich prostokątów. Mają kolorowe wzory i klękam, by lepiej się im przyjrzeć. Wszystkie mają wydrukowane dziwne słowa: Visa, American Express, Nordea Bank Finland i Kirow Ballet. Jedno z nich natychmiast rozpoznaję: MasterCard, fałszywe pieniądze promowane przez

Apple'a i jego demony. Mimo woli wzdrygam się przejęta bliskością tak złej rzeczy. Zwierciadło było w moim domu od czasów mojego dzieciństwa i się do niego przyzwyczaiłam. Ale tu mam do czynienia z czymś innym. Przebywanie w pobliżu złej rzeczy nieuświęconej rytuałami napętnia mnie przestraczem. Może te inne prostokąty są służalcami MasterCarda?

Ze stosu prostokątów wystaje jeden biały. Jego prostota wśród tych wszystkich barw przykuwa moją uwagę. Przypatruję mu się z bliska. Na jego powierzchni jest w jakiś sposób wprasowany niewielki wizerunek dziewczęcej twarzy. Podobieństwo jest tak uderzające, iż odskakuję i zderzam się z Tropicielem Relikwonem. Karcąc się w duchu za ośmieszenie się, mamroczę jakieś przeprosiny i ponownie schylam się nad wizerunkiem.

Wyglądam fałdkę na przejrzystej pokrywie, by móc lepiej się przyjrzeć dziewczęcej twarzy. Jasne włosy i błękitne oczy czynią z niej piękność – oczywiście, jeśli zignoruje się farbę na jej obliczu. Wygląda na to, że ma tyle lat co ja.

Jak ludziom przed Uzdrawieniem udawało się robić tak zaskakująco podobne wizerunki? Nigdy w Gnieździe czegoś takiego nie widziałam. Pigmenty są tak rzadkie. Nawet te święte kobierce tkane z farbowanych nici dla Bazyliki lub do dyptyków w porównaniu z tym wyglądają prymitywnie. I dopiero w tej chwili dostrzegam drobne pismo pod wizerunkiem. Jest tam słowo *nimi*, rozpoznaję fiński wyraz oznaczający nazwisko; wciąż jeszcze używają go niektóre rody Założycieli mające fińskie korzenie. Pod napisem są dwa słowa: Elizabet Laine. I nagle pojmuję. Dziewczyna na obrazku – do której należała Prada i te wszystkie artefakty – nazywała się Elizabet Laine.

Elizabet Laine. Te dwa słowa jakby ożywiły właścicielkę mojego reliktu, czego właściwie się nie spodziewałam. Nie przypominam sobie, żeby którykolwiek z Kandydatów wspominał kiedykolwiek o właścicielu ich relikatów.

Może nie znaleźli niczego łączącego ich artefakty z konkretnymi osobami, a może uznali, że sam artefakt jest bardziej pouczający niż osoba, która kiedyś była jego właścicielem, używała go lub może nawet kochała coś, co było w jej posiadaniu. Ale nie mogę zignorować obecności Elizabet Laine w tych reliktach. Jest wszędzie.

Ignorując gniewne spojrzenia Tropiciele Relikwona, nachyliłam się na odległość kilku cali od przejrzystych pojemników. Wiem, że dotykając przedmiotów i lekko nimi potrząsając, sporo ryzykuję, ale nic mnie to nie obchodzi. Muszę poznać bliżej tę Elizabet Laine.

– Ostrożnie! – szepcze Tropiciele Relikwon.

Nie powinien podsuwać rad czy ostrzeżeń, gdy Kandydaci pracują, może jedynie chronić relikty tym jednym słowem. Znowu go ignoruję.

Druga sakwa ma w sobie niewielkie otwarte woreczki naznaczone jaskrawymi żółto-różowymi paskami. Potrząsam nimi łagodnie i zawartość niewielkich woreczków wypada na zewnątrz: są to niewielkie tubki, fiołki i buteleczki. Zwracam uwagę na dwie buteleczki oznakowane napisami – „przeciwno depresji” i trzecią z napisem: „przeciwno bólowi”. Słyszałam już o tych częstych przed Uzdrawieniem chorobach, ale wiem o nich niezbyt wiele. Później, kiedy Tropiciele Relikwon zabierze je na przechowanie w nocy, poszukam o nich czegoś w moich *Opowieściach sprzed Uzdrawienia*. Zaraz potem dostrzegam na jednej z nich słowo: „Prozac”. Odruchowo przestraszona opuszczam woreczek na matę. Znam to słowo. Prozac to jeden z najcenniejszych i najbardziej przewrotnych leków Apple’a.

Odkładając woreczek na matę, zwracam uwagę na trzecią sakwę. W pierwszej chwili zawarte w niej przedmioty wydają się łatwiejsze w rozpoznaniu. Dostrzegam nóż, nie za bardzo różniący się od mojego *ulu*, i coś, co przypomina mój pojemnik na wodę, choć wykonany z nieznanego

mi materiału. Dostrzegam kawałek metalu i kamień – są podobne do przedmiotów, jakich używamy do krzesania ognia – a także kilka świeczek. Znajduję też okrągły przedmiot ze skalą i strzałką, jak magnetyczne kamienie, dzięki którym odnajdujemy kierunki. Jeden z przedmiotów jest mi zupełnie nieznanymi: to czarna, długa rura. Nie umiem się domyślić, do czego mogłaby służyć. Ogólnie jednak rzecz biorąc, te przedmioty mogłyby mi się przydać, gdybym się wybierała na polowanie w dziczy.

Sięgam po czwarty woreczek zawierający jeden prostokątny przedmiot. W pierwszej chwili, dopóki nie przyjrzę mu się dokładniej, wygląda nijako. Potem dostrzegam słowa „Kirow Ballet” wypisane złotymi literami na pokrywie, a obok nich widzę niewielki, bardzo wyraźny wizerunek tancerki odzianej w bardzo nikiłe szmatki. Dziewczyna jest niemal naga.

Teraz moja kolej, by sapnąć z zaskoczenia, ale gdy to robię, u mojego boku zjawia się Tropicielek Relikwion. Podsuwa lampę niebezpiecznie blisko do czwartego woreczka. Zanim zdołam wykonać choć jeden ruch, ostrożnie podnosi różowy pakunek i wsuwa go do sakwy przeznaczonej na przechowywanie relikwionów.

– Myślę, Kandydatko, że na dziś dość już masz ekscytacji. Będziesz mogła ponownie zbadać swoje relikwionki po jutrzejszych wieczornych wykopaliskach.

Po tych słowach opuszcza moje igloo, zostawiając mnie samą z nieskończoną liczbą dręczących mnie pytań. Bo prawie nagą dziewczyną na tym wyraźnym, niewielkim wizerunku jest Elizabet Laine.

Wszystkim, czego teraz chcę, jest pozostanie w igloo i możliwość zastanawiania się nad należącymi do Elizabet Laine przedmiotami i jej dziwnym życiem w dniach poprzedzających Uzdrawienie.

Jej kronika zaczyna się formować w moich myślach i gotowa jestem do dzieła. Mam nadzieję, iż to odkrycie da mi szansę na zdobycie Wawrzynów Archona, choć bardzo różni się od wszystkiego, co spodziewałam się znaleźć.

Nie mogę jednak zacząć. Jeszcze nie. Na wiosenne roztopy przyjdzie nam jeszcze poczekać, więc wszyscy Kandydaci muszą kontynuować wykopaliska, dopóki teren nie zostanie uznany za niebezpieczny i zamknięty. Strażnicy Prawa, Archonowie, Tropiciele i Relikwonowie oraz wszyscy ci, którzy czekają na nas w Gnieździe, chcą, abyśmy znaleźli jak najwięcej. Zrobię, co do mnie należy. Ale cokolwiek wygrzebię spod lodu – czy to może być bardziej zaskakujące niż zawartość sakwy Elizabet Laine?

Każdego z tych sześciu poranków moi towarzysze Kandydaci chętnie opuszczają się w rozpadlinę. Nawet Aleksander i Niels. Gdy tylko zajęczy róg, biegną do miejsca wykopalisk, by zacząć pracę – jakby był to pierwszy dzień wydobycia. Skąd bierze im się ta chęć? Aleksander i Niels znaleźli już kluczowe przedmioty. Z szeptanych w rozpadlinie nowinek wiem, że wszyscy inni Kandydaci odkryli relikty edukacyjnej wartości. Jacques znalazł pudełko z lekami – włącznie z Tylenolami – co na rynku Gniazda spowodowało większe poruszenie niż odkrycie Prozaców.

Benedykt, Petr i Thurstan znaleźli kartony zawierające opakowane w srebrną folię pakiety żywnościowe w niczym nieprzypominające naszego jedzenia.

William odkrył metaliczną sieć do rybackiej łodzi, a Jasper wykopał urządzenie sprawiające, aby łódź płynęła szybciej po morzach. Żyjący przed Uzdrawieniem ludzie nienawidzili ryb i wody.

Nie mogłam odkryć, co znalazł Knud – być może nic, bo od wiadomości o Tristanie prześladował go pech.

Każdy z tych relikwów zapewnia Kandydatowi poważną szansę na

zdobycie Wawrzynów Archona. Mógłby je pobić tylko artefakt służący bezpośrednio fałszywemu bogu Apple'owi. Taki skarb nie został znaleziony podczas minionych dwu setek lat.

A jednak, choć wszyscy człapali wieczorami do swoich igloo, ani jeden z Kandydatów nie zabierał się do wysyłania kroniki do Gniazda za pośrednictwem gołębia pocztowego. Niewątpliwie ich relikty związane były z ostrzegawczymi opowieściami wartymi kronik, a pierwszy, który wysłałby gołębia, zyskałby przewagę nad innymi. Ale co dziwne, wszyscy jakby skupiali się na szukaniu czegoś innego, rzadszego i bardziej interesującego.

Czyżby usiłowali znaleźć coś lepszego niż ja?

Nie ma mowy, żeby mogli się dowiedzieć o moim znalezisku. W Księdze Prób zanotowano jedynie informację o różowej sakwie; jak do tej pory nie polecałam Tropicielowi Relikwonowi wprowadzenia tam informacji o zawartości woreczka. Chcę się w niej lepiej zorientować. I nie ma mowy, żeby inni Kandydaci znaleźli za dnia dostęp do mojego reliktu; wszystkie są pod strażą Tropicieli Relikwonów. No, chyba że Tropiciel Okpik konspiruje z przydzielonym mi Relikwonem i z innymi przeciwko mnie. Ale nie bardzo w to wierzę.

Nie chcę, żeby inni Kandydaci węszyli wokół zastrzeżonego przeze mnie miejsca wykopalisk, i wciąż nie ufam Aleksandrowi i Nielsowi, choć jak do tej pory nie zrobili niczego, co wskazywałoby, iż mają na to ochotę. Udaję więc, że wciąż szukam wartościowego reliktu.

O pierwszym rogu pojawiając się na linii, jakbym zdrowo przespała całą noc, zamiast w krótkim czasie za pozwoleniem Relikwona z zapalem badać należące do Elizabet przedmioty. Zsuwam się w głąb rozpadliny, jakbym desperacko chciała zlokalizować pouczający artefakt. Wkopuję się w ścianę i topię lód, który wypływa z niej strumieniem stopionej wody, jakbym musiała zgłosić nowe znalezisko.

Gdy Jasper patrzy z góry, by zobaczyć, jak sobie radzę, obdarzam go żalonym półuśmiechem. Chcę, by i on uwierzył w mizериę mojego dotychczasowego znaleziska, choć czuję się trochę winna, oszukując go.

Kopiąc machinalnie, myślę o należących do Elizabet przedmiotach i o tym, czego się o nich dowiedziałam podczas minionych sześciu wieczorów. Rozważam wygląd pierwszej sakwy z napisem „Prada” i wielokolorowymi prostokątami w wąskich wkładkach. Wierzę, że były swoistą formą pieniędzy – jak Eurosy – które ludzie żyjący przed Uzdrowieniem musieli zarabiać, by płacić za wszystko, co niezbędne do życia; jestem niemal pewna, że taka jest prawda o MasterCard.

Co niewiarygodne, przywódcy kierujący ludzkością przed Uzdrawieniem nie uważali, że ich powinnością jest rozdział żywności lub zapewnienie ludziom bezpiecznych domów. Nadawali pieniądzom fałszywą wartość i zmuszali ludzi do rozmaitych wymian na bezwartościowe MasterCard. Strażnik Arki nigdy by nie pomyślał o tym, żeby komukolwiek odmówić owoców żniw. „Wszystkim równo” – tak zawsze powtarzali Strażnicy, oczywiście przywołując Prawo. Członkowie Triady zgadzali się z tym poglądem w słowach i w czynach.

Myślę o Elizabet używającej wzorzystej sakwy z drugim, przezroczystym woreczkiem. Okazuje się, że barwne fiolki i buteleczki są Maybelline’ami i Chanelami – czyli rodzajem farb do twarzy, które świadczą o wartościach uznawanych przed Uzdrawieniem.

Trzy brązowe buteleczki – łącznie z tą, która zawierała Prozac – są lekarstwami na tajemnicze dręczące ludzi przed Uzdrawieniem choroby zwane bólem i depresją. A ja wiem, że depresja to rodzaj bólu porażającego mózg. Myślę jednak, że jest rzeczą dziwną to, iż tak bardzo cierpieli, bo przecież nie wiedzieli, że nadciąga Uzdrawienie i są bliscy śmierci. Może jakoś czuli, iż ich życie jest puste i pełne fałszu? Tak czy owak, Założyciele powiedzieli nam, że na te cierpienia nie ma żadnych magicznych leków.

W nocy szóstego *sinika* zrozumiałam, co powinnam zrobić.

Zaczątkiem wszystkiego była chwila, w której nacisnęłam niewielki guzik na tajemniczym czarnym podłużnym przedmiocie, jaki znalazłam w trzeciej sakwie.

Wystrzelił z niego jaskrawy, błękitnawy strumień światła.

Światło przypomina mi to, które lśniło przed moim namiotem tej nocy, kiedy odwiedził mnie Tropiciel Okpik. Niełatwo wyobrazić sobie świat, w którym światło rodzi zwykłe dotknięcie palca zamiast zmudnej pracy z krzemieniem, stałą i zdobytym nie bez trudu drewnem. Ludzie przed Uzdrawieniem żyli w świecie luksusu, nadmiaru i nie cenili tych rzeczy. Co się tyczy noża, kamienia magnetycznego i pojemnika na wodę... cóż, wciąż nie umiem pojąć, do czego mogłaby ich potrzebować dziewczyna żyjąca przed Uzdrawieniem w pełnym ruchu mieście. To są przedmioty potrzebne na polowaniu. Mogę się tylko domyślać, że były to sentymentalne zabawki z przeszłości, zanim świat stał się tak szalony i przeludniony.

Przed zgaśnięciem strumień światła pada na książkę *Kirow Ballet*, którą znalazłam w ostatniej sakwie: niezliczone chwycone w ruchu wizerunki tancerek odzianych praktycznie w nicość i w dość sprośnych pozach. Mają

dokładnie ten sam, bardzo wyraźny rysunek co wizerunek na karcie ze słowem „nimi”. A uwidoczniła na większości z nich tancerka to Elizabet Laine.

Ale wizerunkami poruszającymi mnie najbardziej są nakreślone blaknącym atramentem na krawędziach stron szkice, które wyglądają na robione ręcznie. Są takie, jakby Elizabet kreśliła je dla siebie samej, co podkreślają jej inicjały. Jest na nich samotna tancerka na scenie uchwycona w ciągu niewygodnych ruchów, samotna naprzeciwko morza gapiących się na nią twarzy. I znów skąpo odziana tancerka przypomina Elizabet.

Elizabet wygląda na tak odsłoniętą. I bardzo, bardzo zziębniętą.

Biedna, biedna Elizabet. Chciałabym ukryć jej wstyd. Upokarzana i obnażająca ciało co noc, a ducha co dzień, bez żadnej ochrony, jaką Gniazdo ofiaruje młodym kobietom. Nie miała żadnych uświęconych przez Prawo zasad, z jakich ja codziennie korzystam, choć niekiedy się przeciwko nim jeżę. Może więc moja matka ma jakieś usprawiedliwienie na swoje niezłomne posłuszeństwo wobec Prawa?

Z tego powodu nie chcę z nikim dzielić mojego reliktu, choć odkrycie jest bezprecedensowe. Ukazały mi to żmudne, dotyczące minionych Prób dociekania Eamona. Nie ma nawet plotek dotyczących mojego znaleziska. Musi być niezwykle – a może i legendarne? Jak zwierciadło mojego ojca.

Wierzę jednak, że chodzi o coś więcej.

Nie wiem dlaczego. Może chodzi o śmierć Eamona. Może o mapę Lukasa. Może o ujawniającą się w szeptach i spojrzeniach konspirację przeciwko mnie. Ale czuję, że to znak zesłany mi przez bogów. Elizabet Laine przekazała mi ten dar z dni przed Uzdrawieniem.

Wraz z tym darem pojawia się we mnie powierzona mi przez bogów powinność wobec Elizabet i mieszkańców Nowej Północy – wobec przeszłości i teraźniejszości. Muszę napisać nowy rodzaj kroniki, niebędący zwykłą ostrzegawczą opowieścią o tym, jak przedmiot doprowadził do upadku świata i przywołał konieczność oczyszczenia go wodami Uzdrawienia.

Jak mam to zrobić? Nigdy nie słyszałam – i nie czytałam – kroniki, która nie była zwykłą historią reliktu i strasznych szkód, jakie spowodował.

I wtedy do mnie dociera. Moja kronika nie będzie zwykłą opowieścią o różowej sakwie Elizabet i jej zawartości. Będzie opowieścią o Elizabet. Opowiem historię jej życia... aż do końca, do końca przed Uzdrawieniem. Opowiem historię Elizabet tak, jakbym patrzyła na te ostatnie dni jej

oczami. Jakbym była nią samą, jedną z wielu grzeszników i grzesznic, którzy przywołali Uzdrawienie.

Na samą myśl o napisaniu tak niezwyklej kroniki przyspiesza mi tętno. Spodoba się to moim rodzicom, spodoba się to Lukasowi i Jasperowi, spodobałoby się Eamonowi. I dzięki temu zwyciężę. W taki oto sposób Panna stanie się Archonem.

Kronika Elizabet Laine. Część I

Zgubiłam się. Okropnie się zgubiłam. Myślałam, że po wyjściu z gabinetu doktora skręciłam we właściwą stronę, ale ulice St. Petersburga to gęsta płatanina ślepych zaułków i skrzyżowań. Ulice zaczynają wyglądać podobnie i jestem niemal pewna, że zatoczyłam koło. Zaczyna mnie ogarniać panika. Spóźnię się. Bardzo się spóźnię. Co mi robi Strażnik Baletu?

Mojej obawy nie zmniejsza to, że ulice jakby się rozplývają w miarę, jak się zagłębiam w ten labirynt. Sięgające nieba budynki są coraz mniej ozdobne, przybierają wygląd rozpadających się kamiennych wież, które lada moment runą w stopy śmieci zalegających pobocza ulic. Nie mogę uwierzyć, że w tych chwiejących się wieżach mieszkają jacyś ludzie, ale świadczą o tym zalegające balkony stopy puszek po Coca-Coli i opakowań produktów Hersheya. Są to domy klasy Penny. Ich mieszkańców nie stać nawet na dekoracje w postaci metalowych drzew, które widać przy głównych ulicach St. Petersburga, gdzie mieszkają ludzie klasy Euro. Tu jest bardzo ponuro.

Choć wciąż jeszcze daleko do zmięchu, niebo pokrywają czarne chmury wydobywające się z fabrycznych kominów. Na ulicach nie ma świateł elektrycznych poza neonami, reklamami Coca-Coli, Maybelline i oczywiście boga Apple'a. W tych ciemnościach stwierdzam, że coraz trudniej jest unikać włożenia w stopy śmieci... i na ludzi.

W pewnym sensie ludzie są do siebie dość podobni. W St. Petersburgu mężczyźni noszą ciasne spodnie i pasiaste koszule z jaskrawymi wzorami, a kobiety noszą Mini i Manolo – takie jak ja. Mężczyźni w St. Petersburgu łypią pożądliwie na kobiety, a kobiety patrzą na siebie, porównując swoje kostiumy. I podobnie jak wielu przechodniów na ulicach Euro trzymają przy twarzach małe tabliczki modlitewne boga Apple'a, by mogli szeptem się modlić, co zresztą i sama często ostatnio robię. Choć ci ludzie prawdopodobnie wnoszą o więcej Pennów, ja modlę się o inną pomoc.

Ale ci tutaj wyglądają inaczej niż przechodnie na ulicach Euro, gdzie bywam najczęściej. Różnią się ode mnie. Pokasłują i mają ziemistą,

chorobliwie bladą cerę. W każdej chwili jedno z ich ciał – osłabione pożywieniem i lekarstwami – może stać się źródłem zarazy, więc na wszelkie sposoby próbuję uniknąć dotknięcia któregokolwiek z nich.

Niełatwo jednak uniemożliwić czyjkolwiek dotyk w natłoku ludzi i zwałach śmieci; mój but utyka w puszcze Coca-Coli. Potykam się na popękany, kamiennym bruku – w St. Petersburgu nie ma trawy, która złagodziłaby mój upadek – i zderzam się z bezdomnym.

Jego twarz pokrywa warstwa ulicznego i powietrznego brudu. Bezdomny nie ma ani pensa i nie stać go na zakup żywności, jest więc tak chudy, że jego kości niemal przebijają skórę. Widzę to wyraźnie przez dziury w worku, jaki nosi zamiast ubrania. Przez krótką chwilę jestem niemal zahipnotyzowana niezwykłością sytuacji i nie mogę oderwać od niego oczu ani się odsunąć.

Bezdomny bierze mój chwilowy paraliż za wynik skaleczenia. Mimo własnej cielesnej słabości podnosi się i usiłuje pomóc mi przy wstawaniu. Cofam się przed jego dotykiem – bezdomni znani są z rozpowszechniania rozmaitych zaraz – i wstaję. Sprawdzam, czy wciąż jeszcze mam na plecach moją różową sakwę, i puszczam się biegiem.

Biegnąc pomiędzy ludźmi, wpadając na rozmaite śmiecie i fordy, zaczynam płakać. Bezdomny chciał mi tylko pomóc – choć jemu nikt nigdy nie pomógł. Ale jaki miałam wybór? Czy postąpiłabym inaczej w mojej fińskiej ojczyźnie, gdzie wciąż jeszcze rośnie niezwykle tutaj drzewo? Gdzie nadal można znaleźć spłachetek zieleni? Prawdopodobnie nie. Każdy niech dba o siebie, jak zawsze powtarza mój ojciec. Tego właśnie chce bóg Apple. Ojciec często cytuje słyszane w Panasonicu wypowiedzi kapłanów.

W oddali widzę most nad kanałem i zmierzam w jego stronę. Przypominam sobie, że przez jeden z nich przechodziłam w drodze do gabinetu doktora, i domyślam się, iż to najlepsza droga, żeby się wydostać z tych okropnych pensowych zaułków. Gdy się do niego zbliżam, stwierdzam, że ulice wyglądają tu czyściej, a domy jakby mniej chylały się ku sobie. Modlę się w duchu do Apple'a, żeby ta droga wywiodła mnie na plac Teatralny.

Apple odpowiada na moje błagania. Po przejściu dwóch skrzyżowań dostrzegam wysoką białą kopułę i bladozielone ściany Teatru Maryjskiego, w którym mieści się Balet Kirowa.

Moja tutejsza praca jest błogosławieństwem dla mojej rodziny – mam Eurosy, które mogę im posyłać do Finlandii – ale przekleństwem dla mnie, co czuję w zakątkach mojej duszy, chociaż Apple może zajrzeć nawet i tam.

Rzucam się biegiem. Został niecały dzwon do czasu kurtyny i moja nieobecność spowoduje wściekłość Strażnika Baletu. Zacznie wrzeszczeć na inne tancerki, pytając, gdzie jest jego primabalerina. Wkrótce teatr napelni się bogato odzianymi mężczyznami i kobietami klasy Euro, a przedstawienie nie może się rozpocząć beze mnie. Bez Elizabet Laine, pierwszej baleriny.

Otwieram skrzydła złotych wejściowych wrót do teatru, mijam recepcję i kryształowy przedsionek do teatralnej szatni. Wpadam szybko do mojej garderoby, gdzie czekają już na mnie teatralne garderobiane. Ich twarze są pełne strachu, widzę, że niedawno na skrzydłach furii wpadł tu Strażnik. Najlepszą rzeczą, jaką mogę zrobić dla nich wszystkich, jest szybkie przygotowanie się do przedstawienia.

Rozkładam ramiona, a garderobiane zdejmują ze mnie ubranie. Przez jedną chwilę stoję przed nimi zupełnie naga. Kilka miesięcy temu poczułabym okropne zakłopotanie – do głębi ducha. Ale już nie teraz. Tego żąda moja kariera. Tego wymaga Apple. Moje ciało już do mnie nie należy.

Garderobiane oblekają mnie w przejrzyste, skąpe skrawki materiału i nakładają mi na stopy jedwabne baletki z drewnianymi, twardymi czubami. Moje jasne włosy wiążą w skomplikowany węzeł i mocują w nim lśniące migotliwie klejnoty. Ale twarz zostawiają do mojej dyspozycji.

Przysuwam się do zwierciadła. Otwieram różową sakwę i wyciągam z niej paczkę żółtych i różowych pasemek.

Podczas tej czynności muskam dłonią niedużą paczkę sprzętu, z którego korzystałam w Finlandii, gdy zwiedzałam niewielkie, pozostałe jeszcze obszary dzikiej przyrody. Choć tu w Rosji na nic mi się nie przyda, trzymam go w sakwie, by mi przypominał czasy poprzedzające chwile mojego powołania – kiedy wciąż jeszcze mogłam oddychać puszczańskim powietrzem.

Teraz jednak nie mogę o tym myśleć. Wyjąwszy moje Maybelline'y i Chanele, rozkładam je przed sobą na stoliku. Zaczynam malować na swojej twarzy oblicze innej osoby. Nakreśliwszy ostatnie linie czerni na powiekach i pomalowawszy wargi czerwienią, spoglądam w zwierciadło. Elizabet, jaką byłam – dziewczyna ze strzechą luźnych włosów i twarzą pełną piegów, buszująca po ostatnich zakątkach fińskich lasów – zniknęła. Zastąpiła ją maska baleriny Baletu Kirowa.

Zaczyna do mnie docierać koszmar mojego zawodu. Przelatują mi przez myśl nieskończone obroty, piruety i wygięcia ciała, jakich dziś będzie się po mnie spodziewać publika. W moich myślach pojawiają się wytrzeszczone oczy niemal mnie obmacujące. Ogarnia mnie odraza do nocnego obnażania

się i ofiary ducha dla przyjemności widowni i z polecenia Apple'a.

A potem przypominam sobie. Lekarstwa.

Sięgam do różowej sakwy. Rozejrzawszy się dookoła, by zyskać pewność, że nikt mnie nie obserwuje, kładę na języku dwie pigułki. Jedna przeciwko bólowi, który na moje ciało sprowadza taniec. I Prozac przeciwko depresji, którą taniec napełnia mojego ducha.

Strażnik wzywa mnie gromkim głosem. Zanim odpowiem na jego wołanie, wykorzystuję chwilkę na szeptaną modlitwę do mojego tabletu uwielbienia. Patrząc na jego pustą powierzchnię, błagam Apple'a, by zesłał mi obiecaną przez doktora ulgę. Potem wkraczam na korytarz.

Strażnik patrzy na mnie uważnie i poprawia piórko nad moją prawą pierś, a także zsuwa nieco niżej krótką koszulkę mojego kostiumu. Wiem, że podoba się to publice. Lubią oglądać moje ciało. Strażnik z aprobatą kiwa głową i obraca mnie w stronę sceny.

Inne tancerki rozstępują się i pozwalają mi przejść do czerwonej kurtyny. Staję nieopodal miejsca, w którym rozdzielają się jej ogromne fałdy. Zerkam ostrożnie przez szczelinę na lśniące złotem ściany, jaskrawe lampy i pełne publiki błękitne krzesła widowni, czekając, aż jak zwykle wieczorem ogarnie mnie przerażenie. Ale nic się nie dzieje. Lekarstwa zaczynają działać.

Spowijający moją duszę i ciało mrok się rozwiewa, ja zaś staję się kimś innym na zewnątrz i wewnątrz. Nie czuję wstydu ani upokorzenia. Ja i nie ja. Staję się kimś zdolnym do poświęceń dla Apple'a.

XXVIII
Aprilus 23
Rok 242 p. U.

Kronika rozwija się powoli. Ale dość szybko zaczynają przebijać się przeze mnie, wspomagane przez zakazane opowieści o wrózkach mojej Niani Agi, sekretne mity dzielone z Lukaszem i historyjki, jakie wymyślałam, żeby zabawić Eamona. Kronika spływa z moich palców, jakby spisujące słowa pióro trzymała sama Elizabet. Staję się Elizabet.

Podczas kilku dzwonów pisania Elizabet i jej świat stają się dla mnie tak realne, że o świcie, gdy muszę przestać, witam otaczającą mnie biel śniegu i lodu tak, jakby były snem. A pełen kakofonii świat dni poprzedzających Uzdrawienie staje się moją rzeczywistością.

Ale wtedy zaczynają szczekać moje psy, które desperacko pragną karmienia. W obozie zaczyna się zwykły ruch; służący z Pogranicza przygotowują posiłek, a Kandydaci szykują się do roboty. Wszystko to odrywa mnie od świata sprzed Uzdrawienia, muszę wrócić na Nową Północ i do Prób.

Zanim się zdenerwuję, zwijam kronikę w rolkę tak małą, jak tylko zdołam. Podchodzę do Mistrza Ptaków i podaję mu pierwsze strony historii Elizabet. Nie wolno mu zobaczyć tego, co napisałam, może tylko wysłać kartki. Nie jestem ostatnią osobą, która coś wysyła. Wstrzymuję oddech, gdy wsuwa kronikę w niewielki pojemnik przymocowany do gołębiej szyi. Przez chwilę patrzę, jak ptak zabiera ze sobą część mnie samej i wlatuje w niebo. Kieruje się prosto na południe.

Po upływie jednego dzwonu znów jestem w rozpadlinie i dziobie ścianę, jakby nic się nie stało. Jakbym nigdy nie wchodziła do świata Elizabet. Jakbym nie cofała się w czasie.

A jednak się zmieniłam. Zmieniło mnie otarcie się o tę prawdziwą osobę, która żyła, oddychała, tańczyła i drżała w dniach poprzedzających uniesienie wód i zatopienie wszystkich przewrotności. Uzdrawienie nie jest już tylko czymś, o czym mówili mi rodzice, nauczyciele i Basilikonowie – wydarzeniem tak odległym w miejscu i czasie, że nie da się go ogarnąć rozumem. Jest czymś bardzo realnym, ożywionym przez kogoś, kogo dobrze poznałam.

W pewnym sensie ta wiedza sprawia, że z niechęcią myślę o powrocie do *Kroniki Elizabet*. Wiem, co będzie następane. Nie chcę doświadczać przerażenia tych ostatnich dni. I myślę, że ludziom Nowej Północy nie będzie łatwo doświadczać tego ze mną. Nie mogę jednak nic na to poradzić; gdy moje ciało balansuje na krawędzi rozpadliny, mój umysł wraca w przeszłość. Gdy wrócę dziś w nocy do mojego igloo, będę pisała.

Kronika Elizabet Laine. Część II

Scenę Teatru Maryjskiego pokonuję w kilku piruetach. Napełniona lekami czuję się tak lekko, że wykonuję obroty nawet szybciej niż normalnie. Audytorium przyjmuje mój popis z entuzjazmem, zasypując mnie bukietami i deszczem MasterCardów.

Lekarstwa spisały się magicznie. Usunęły wstyd wywołany przez tak liczne spojrzenia gapiących się na mnie pożądliwie nieznanym. Pozwalają mi na uśmiech zamiast na niechętny grymas – w momencie, gdy po balecie zabiera mnie ze sobą grupa Kawalerów. Lekarstwa pozwalają mi tolerować ich sprośne uwagi i także same pieśczęty.

W dniach, które nastąpiły potem, Strażnik był zadowolony z mojej pokory. Im lepiej się spisuję – na scenie i na przyjęciach – tym więcej Eurosov zarabia balet i tym liczniejsi sponsorzy gromadzą się wokół Kirowa. Oznacza to więcej Eurosov i dla mnie. Posyłam te Eurosy do desperacko ich potrzebującej rodziny w Finlandii. Za sprawą władcy ich MasterCarda stały się bezwartościowe. Zresztą nie tylko ich.

Powinam być szczęśliwa. Wmawiam sobie, że postępuję właściwie, tańcząc. To konieczne. Tego właśnie żąda ode mnie Apple.

Ale w samotności mojego pokoju stłoczonego z innymi w wieży o wysokości przyprawiającej o zawrót głowy niełatwo mi znieść tak niewdzięczny los. Gdyby moi rodzice naprawdę wiedzieli, co robię w zamian za te Eurosy, z pewnością poprosiliby mnie o powrót do domu. Mówię sobie, że nie chcieliby tak zbrukanych pieniędzy.

A może nie? Czy to nie mój ojciec namawiał mnie, bym przyjęła tę propozycję? Czy nie on mówił, że Apple chce, bym zrobiła karierę? Czy moja matka nie potakiwała wtedy skinieniami głowy? Czy nie popierała go milczeniem?

Myśl o tym, że moja rodzina może przyjmować Eurosy niezależnie od moich kosztów, sprawia, iż czuję się jeszcze bardziej samotna. Dla zmiany nastroju włączam Panasonica. Ale trafiam na coś znacznie gorszego od każdego bólu.

Na ekranie pojawiają się kolejne obrazy coraz wyżej wznoszących się

fal. Media informują, że na całym świecie wybrzeża zaczynają tonąć pod wodą. Topi się lód. Media nakłaniają ludzi, żeby się strzegli i poszukali schronienia na terenach położonych wyżej.

– Nie, to nie może być prawda – szepczę sama do siebie.

Czuję zawrót głowy od tych okropnych wieści i serii przerażających obrazów. Klękając przed moim ołtarzykiem, zaczynam modlitwę:

– O Apple'u, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje...

Pomimo moich suplikacji pusty ekran nie daje odpowiedzi ani pocieszenia. Czuję, że mojego ducha ogarniają ciemności i jakby we śnie sięgam do mojego pojemnika z lekami. Rezerwowałam je tylko na dni przedstawień, ale czy zażycie ich dziś w nocy komukolwiek zaszkodzi? Tylko ten jeden raz. Kładę na języku Prozac i po kilku chwilach czuję ulgę, jaką tylko może mi zapewnić Apple.

Wyobrażam sobie ostatnie dni Elizabet, gdy słyszę okrzyk „Relikt!”. Natychmiast się otrzeźwiam. Myślałam, że ta rozpadlina była już wyczyszczona, co się często zdarza pod koniec dni Prób. Myliłam się.

– Relikt! – słyszę ponownie i dociera do mnie, że woła ktoś znajdujący się nade mną i po prawej. Tam gdzie utknął Jasper. Woła podnieconym głosem, więc na moment przestaję kuć w lodowej ścianie, żeby go posłuchać. Nie krzyczał tak nawet wtedy, gdy odkrył maszynę do łodzi, którą nazwał silnikiem. Co on znalazł, na miłość bogów?

Kopiąc spokojnie, jak tylko mogę, czekam na to, by do Jaspiera dotarł Pograniczny Wspinacz. Słyszę, jak zsuwa się na dół, i błagam bogów, żeby struktura rozpadliny pozwoliła mi podsłuchać szeptaną rozmowę Jaspiera i Wspinacza. O ostatnim znalezisku Jaspiera musiałam się dowiadywać z przypadkowych rozmów pomiędzy Tropicielami.

– Kandydacie, czy jesteś gotów na wydobycie reliktu z lodu? – Wspinacz zadaje rytualne pytanie.

– Tak. Jest blisko powierzchni, ale nie styka się z powietrzem – odpowiada równie rytualnie Jasper.

– Mam już gotową sakwę na relikty. Możesz zaczynać, Kandydacie.

Powietrze napełnia deszcz odłamków lodu, a po chwili słyszę znajome cmoknięcie towarzyszące wydobywaniu reliktu z lodowego grobu. Bardziej niezwykły jest odgłos sapnięcia, jakie wydaje Wspinacz.

– Jest na nim znak Apple’a! – W głosie Wspinacza brzmi zdumienie, stracił zwykły spokój rytualnej wymiany zdań.

– Wiem. Możecie w to uwierzyć? – odpowiada Jasper drżącym głosem.

Nieruchomieję. Symbol Apple’a. Czyżby Jasper wygrał drugi i trzeci zestaw etapów? Czyżbym straciła Wawrzyny, zanim nawet zbliżyły się do mojej głowy?

W oczach zaczynają mi się zbierać łzy.

Kronika Elizabet zasługuje na zwycięstwo. Jeżeli ludzie Nowej Północy i Triady wysłuchaliby historii zawartej w reliktach Elizabet, dowiedzieliby się czegoś znacznie ważniejszego od wyświechtanej starej bajdy, jaką

opowie im relikty Apple'a.

Mam nadzieję, że nie jestem chciwa i małostkowa. Wiem, że powinnam się cieszyć z tego, iż Jasper dokonał tak znacznego odkrycia, szczególnie że plany naszych rodziców mogą się powieść i zostaniemy zaręczeni. Ale chcę zwyciężyć; nie chcę zostać tylko żoną Wielkiego Archona, tak jak moja matka.

Nawet jeżeli nie zostaniemy małżeństwem, może zdołam zawrzeć z Jasperem umowę – taką, o jakiej niekiedy się słyszało, na przykład pod postacią plotek dotyczących jego stryja i mojego ojca. W pewien sposób byłoby to właściwe. Ale czego miałabym zażądać w zamian za swoje poparcie? Jedyna rzecz, na której mi zależy, to Wawrzyny Archona.

Mniej więcej jeden dzwon przed wieczornym rogiem wciąż wykonuję ruchy udające, że pracuję na ścianie rozpadliny. Nawet jeżeli coś znajdę, nikt się tym nie przejmie w świetle wieści o zdumiewającym odkryciu Jaspera. Nawet nie Aleksander czy Niels, o ile w ogóle interesuje ich to, co robię. Drapiąc upartą lodową ścianę, wracam myślami do *Kroniki Elizabet*.

Wiem, że z końcem *sinika* wrócę do pióra i papieru. Elizabet zasługuje na to, by zamiast utonąć w wodach Uzdrawienia, jej ostatnie chwile zostały uwiecznione.

Czuję, iż jestem to niemal winna Elizabet; powinnam spisać jej kronikę najlepiej, jak zdołam. Czy do tego nie skłania mnie i śmierć Eamona? A czy ma to jakieś znaczenie? Skończę tę pracę. A potem wyślę moje kroniki do Gniazda i zostawię decyzję bogom.

Kronika Elizabet Laine. Część III

Stoję na scenie Teatru Maryjskiego i czekam na pierwsze dźwięki orkiestry. Wszystkie tancerki Baletu Kirowa mają ćwiczyć preludium baletu *Bajadera* i scena powinna być pełna. Jestem jednak sama. Przepędziły je wiadomości nadawane przez Panasonica. Od czterech godzin media radzą ludziom, żeby ewakuowali miasta portowe. Tancerki z *corps de ballet* jedna po drugiej opuszczały scenę, gdy w teatrze pojawiali się zalani łzami członkowie ich rodzin. Potem odeszły baleriny, gdy u wejścia na scenę stawali ich ukochani, błagając, by uchodziły wraz z nimi. Po mnie nikt nie przyszedł – moja rodzina jest daleko w Finlandii – więc zostałam. A co miałam zrobić?

Zresztą, choć na wszelki wypadek modłę się do Apple'a, nie bardzo wierzę w rozpowszechniane przez media wiadomości. Nie wydaje mi się możliwe, żeby stare ulice St. Petersburga pogrążyły się w wodach, jak grożą. Podczas minionych stuleci miasto tyle razy cierpiało z powodu

rozmaitych klęsk, dlaczegóż więc miałoby zginąć właśnie teraz? A zresztą, czy Strażnik kontynuowałby przedstawienie, gdyby miał nadejść koniec świata?

Pozostali w kanale orkiestry skrzypkowie zaczynają grać, a ja szykuję ciało do nużącego preludium *Bajadery*. I właśnie wtedy, gdy przygotowuję nogi i ramiona do arabeski, Strażnik woła:

– Elizabet! Wróć za kulisy!

Biegnę na tyły sceny. Co ja znowu zmalowałam? Strażnik nigdy nie wtrąca się do przebiegu próby generalnej, chyba że dzieje się coś zupełnie strasznego. A ja zaledwie zaczynałam.

Strażnik czeka na mnie tuż za kurtyną.

– Zbierz swoje rzeczy. Jest tu pewien Sponsor, który chce ci zapewnić bezpieczeństwo na swojej łodzi. Mnie też zabierze.

– Sponsor?

O czym, w imię Apple'a, mówi ten Strażnik?

– Tak.

Strażnik szepcze mi do ucha nazwisko Sponsora. Znam go. Jest jednym z moich najbardziej zagorzałych wielbicieli. Każdego wieczoru przysyła mi kwiaty i siedzi samotnie w prywatnej łoży, skąd obrzuca mnie lubieżnymi spojrzeniami. Tym, którego pieśszoty z każdym przyjęciem dla Sponsorów stają się coraz bardziej zaborcze. Mówi się o nim, że jest jednym z najbogatszych ludzi St. Petersburga. I najbardziej skorumpowanym. Na samą myśl o nim zaczynam drżeć ze strachu.

Tak czy owak polecenie Strażnika zbija mnie z tropu.

– Czy to znaczy, że weźmie nas dziś wieczorem? Po przedstawieniu?

– Nie, Elizabet. Musimy iść teraz.

Po raz pierwszy od chwili, w której go poznałam, Strażnik wygląda na przestraszonego.

Wyraz jego twarzy sprawia, że zamieram w bezruchu. Jeżeli Strażnik się boi, to czy wiadomości mediów mogą być prawdziwe? Media to kłamca: czasami są po stronie Apple'a, a czasami nie.

– Elizabet, teraz! To może być nasza jedyna szansa! – krzyczy Strażnik, przywołując mnie do rzeczywistości.

Biegnę z powrotem do garderoby. Zrzucając kostium, szukam czegoś bardziej odpowiedniego do łodzi. Moje Mini i Manolo się nie nadadzą. Wtykam głowę do innych szafek i chwytam spodnie Levi's i buty zostawione przez opuszczającego pospiesznie teatr tancerza. Wdziewam jego ubranie i sięgam po moją różową sakwę.

Gdy tylko wybiegam z garderoby, Strażnik chwyta mnie za rękę.

– Biegiem!

Nie ma potrzeby, żeby przedzierać się bocznymi korytarzami Teatru Maryjskiego. Zwykle pełne ruchu przejścia główne są puste i w rekordowym czasie docieramy do złożonych drzwi wyjściowych. Gdy otwieramy ciężkie skrzydła, nie poznaję ulic na zewnątrz.

Plac Teatralny – zwykle tak elegancki i uporządkowany – rozpada się. Ulice pełne są wody. Zalewają je też tysięczne tłumy ludzi – Euro, Penny i Bezdomnych – zbitych w jedną niezliczoną gromadę. Trzymają w ramionach dzieci i garbiąc się pod ciężarem przeładowanych plecaków, usiłują dokąś uciec.

Wtedy odkrywam powód zbiorowej paniki. Poprzez wrzaski usiłujących uciec ludzi słyszę szum napływającej szybko wody. Plac Teatralny otwiera się na port nad rzeką Newą, która uchodzi do Zatoki Fińskiej i Bałtyku. Ponieważ ludzie nie mają szansy na znalezienie schronienia w głębi lądu, usiłują schronić się przed wodą w łodziach.

Tłuszcza jest bezlitosna. Wdeptuje w bruk słabszych. Nie mogę sobie pozwolić, by na to patrzeć. Nie mogę okazać słabości, bo padnę razem z nimi. Strażnik trzyma mnie za rękę, jakby to było gwarancją jego życia, bo chyba właśnie tym dla niego jest. Zdaje sobie sprawę z tego, że beze mnie nie dostanie się na pokład łodzi Sponsora.

– Gdzie są Wartownicy?! – wołam do Strażnika, przekrzykując wrzaski tłumu.

– Oni ewakuowali się pierwsi. Nie zapominaj, że kontrolują łodzie.

Mieszkańców St. Petersburga zostawiono samym sobie. Opuścili nas Wartownicy, którzy przysięgali, że będą nas strzegli przed wrogami zewnętrznymi i wewnętrznymi. Obywatele St. Petersburga będą musieli stawić czoło katastrofie bez żadnego wsparcia.

Słyszę dobiegający gdzieś z daleka krzyk. Pojmuję nagle, że dźwięk dolatuje od strony portu, i po kilku chwilach ulicę zalewa fala wody. Niesie ze sobą rozmaite śmieci i martwe ciała, z chwili na chwilę przybliża moją śmierć. Teraz wrzask wydobywa się z mojej krtani. Zdezorientowana i mokra wczepiam się w dłoń Strażnika. W tej chwili potrzebuję go tak samo jak on mnie. Nie powiedział mi, gdzie znajduje się łódź. Chcę wierzyć, że on to wie.

Ku mojemu zaskoczeniu to ja biorę na siebie przewodzenie w tej sytuacji. Ciągnąc za sobą Strażnika, przebiegam szybko ostatni odcinek drogi. Przemykam w szalonych zwrotach i unikach między ludźmi. W końcu

docieramy do portu.

Ludzie wpadają w histerię, by dotrzeć do kilku pozostających jeszcze przy nabrzeżu łodzi. Porzucają przy tym starych i słabych. Nie mogę patrzeć na leżące bezładnie trupy. Co się stało ze wszystkimi? A ze mną?

– Tam! Łódź jest tam! – słyszę okrzyk Strażnika.

Łódź Sponsora – wielki, luksusowy jacht – jest jedną z ostatnich, jakie zostały w porcie. Czekał na mnie do ostatniej chwili. Gdy Strażnik i ja zbliżamy się do burty, drogę zamykają nam rośli ludzie uzbrojeni we włócznie, noże i karabiny.

Strażnik unosi dłoń w pojednawczym geście i woła:

– Jestem Strażnikiem Baletu Kirowa. Zgodnie z życzeniem Sponsora przyprowadziłem Elizabet Laine.

Popycha mnie ku nim, jakbym była prezentem.

Ochroniarze opuszczają broń i sięgają po moją rękę. Przekazują mnie Sponsorowi, temu tłustemu, pożądliwie patrzącemu mężczyźnie z Eurosów, który wyłania się spod pokładu. Gdy tylko znajduję się bezpiecznie w jego łapach, ochroniarze odpychają Strażnika wstecz, ku nabrzeżu.

Gdy zaczyna się szarpać, wrzucają go wprost w przybierające wody Newy.

Wydaję okrzyk zgrozy, a Sponsor usiłuje mnie uspokoić w dość osobliwy sposób:

– Przepraszam, skarbie. Mam miejsce jeszcze tylko dla jednej osoby.

XXX
Aprilus 25
Rok 242 p. U.

Patrzę, jak gołąb pocztowy odlatuje na południe. Ptak unosi ze sobą ostatnie strony *Kroniki Elizabet*. Jestem niemal pewna, że z powodu znaleziska Jaspera to przesłanie nie zdobędzie dla mnie Wawrzynu Archona. Ale czuję się osobliwie usatysfakcjonowana, jakbym naprawdę spełniła swoją powinność względem Eamona i Elizabet.

Czuję też niepokój. Nikt nigdy przedtem nie spisał kroniki takiej jak ja.

Do tej pory tak byłam zajęta pisaniem i składaniem dokumentu, że nie pomyślałam o możliwych reperkusjach. Czy nie zostanę oskarżona o naruszenie Prawa za spisywanie nie swojej wypowiedzi?

Nie umiem sobie przypomnieć szczególnej zasady Prawa odnoszącej się do formatu mojej kroniki, ale choć wiem, że to, co spisałam, jest prawdą, jest też czymś niespotykanym.

Nie mogę się doczekać chwili, kiedy skończę Próby i ruszę do domu, w którym zobaczę Lukasa, ojca i nawet moją matkę. Ale czuję już znużenie.

Zwycięstwo Jaspera powinno mi ułatwić pogodzenie się z losem, choć byłoby to przykrym jego figlem.

Ostatecznie ojciec chce tylko, żebym wróciła do domu cała i zdrowa. Lukas nie będzie zbyt rozczarowany tym, że nie zawsze postępowałam zgodnie z jego radami. Spróbuję zdławić moje troski i skupić się na czekających mnie przyjemnościach.

Nastrój w obozie jest lepszy i nie tylko ja tak uważam. Wszyscy Kandydaci odesłali już swoje kroniki do Gniazda. Poligon Prób zostanie otwarty tylko na ten ostatni *sinik*. Wiosna zbliża się szybkimi krokami i ocieplenie spowoduje niestabilność ścian rozpadliny. Koniec ze wspinaczką i kopaniem w lodzie. Wszyscy jesteśmy radzi, że wracamy do domu. Oczywiście wszyscy oprócz Tristana i Andersa, ale podejrzewam, iż usiłujemy usilnie o nich nie myśleć.

Popołudniowe dzwony naszego ostatniego *sinika* spędziłam na pakowaniu i przygotowywaniu psów do drogi. Po obiedzie zwlekaliśmy trochę, zamiast szybko wracać do swoich igloo, jak to robiliśmy w minionych *sinikach*.

Prawo nadal zabrania prowadzenia rozmów pomiędzy Kandydatami, dziś jednak Tropiciele przymknęli oczy na ciche pogawędki. Domyślam się, że doszli do wniosku, iż ta wymiana informacji nie przyniesie nikomu za wiele pożytku. Ale i w tych okolicznościach nikt nie zadaje sobie trudu, żeby ze mną porozmawiać, siedzę więc tylko i podsłuchuję głosy innych. Jak do tej pory prawie wszyscy się chwala, ale i to jest zajmujące po tak długim milczeniu.

Tylko Jasper jest równie milczący jak ja. Ale w pewnej chwili, wracając do swojego igloo, rzuca mi szeptem:

– Może spotkajmy się nad rozpadliną po kolacji?

Przez chwilę zastanawiam się, czy ryzykować sprzeciw wobec zasad Prawa. Chcę jednak wiedzieć, jak wyglądają nasze stosunki, zanim ruszymy do domu i Jasper pograży się w celebracji przygotowań do przyjęcia tytułu Wielkiego Archona. Usiłuję przekonać samą siebie, że ucieszy mnie zajęcie przez niego miejsca mojego ojca po zakończeniu kadencji. W oczach mojej rodziny jest prawie tak dobry jak Eamon. Może nawet sama tak uważam. Kiwam więc głową i odczekawszy odpowiednio długo, wstaję, a potem ruszam w stronę rozpadliny niby to obojętnym krokiem.

– Kandydatko, dokąd idziesz? – woła do mnie jeden z Tropicieli.

Skąd mi przyszło do głowy, że będę mogła się wymknąć? Nawet teraz?

– Sir, chcę zabrać swój sprzęt.

Tropiciel milknie; prawdopodobnie sądzi, że na tym etapie nie mogę wyrządzić zbyt wielu szkód. No, chyba że samej sobie, przeciwko czemu Okpik i być może kilku innych nie będą przeciwni. Co prawda Okpik od kilku *siników* łaskawie mnie ignoruje. W istocie ignoruje mnie od znaleziska Nielsa i Aleksandra.

– Nie powinnaś była zrobić tego wcześniej?

– Tak, sir.

Tropiciel wzdycha.

– No, dobrze. Ale wróć przed zmrokiem.

– Tak, sir.

Światło jest wystarczająco jasne, żeby zabarwić krajobraz błękitem i czerwienią, zamiast pograżyć go w nieprzeniknionej czerni, i dość łatwo docieram do rozpadliny. Granicę terenu wciąż patrolują dwaj Pogranicznicy Wspinacze. Mają chronić wykopaliska przed Kandydatami albo odwrotnie. Nie jestem pewna, która z przyczyn jest prawdziwa. Jednym z dwóch patrolujących jest białowłosy Wspinacz, zajmuję się więc zbieraniem sprzętu, by nie musieć zaglądać mu w oczy.

Minęło nieco ponad ćwierć dzwonu i pojawia się Jasper. Klękając nieopodal, udaje, że też pakuje swój sprzęt do kopania. Nie chcę powiedzieć czegoś niewłaściwego, więc pozwalam, żeby przemówił pierwszy.

– Sytuacja jest niemal taka, jakbyśmy dawno temu byli poza Pierścieniem, prawda? – szepcze nie odrywając wzroku od swojego stanowiska.

– Gniazdo wydaje się niemal snem – również odpowiadam szeptem.

Nie mówię mu, jak zmieniły się moje uczucia. Nie mówię, że Elizabet zmieniła mnie tak bardzo, jak nigdy bym tego nie podejrzewała. Siedząc obok Jaspera – w charakterze bezpłciowej Kandydatki o niepewnej przyszłości zamiast strzeżonej przez Prawo Panny – czuję się obnażona, tak jak musiała się czuć Elizabet na scenie. Naga – tak, jak mogłabym się czuć w przeddzień ślubu. Elizabet sprawiła, iż moja chęć zdobycia Wawrzynów Archona, którą odczuwa każdy Kawaler zgłaszający się do Prób, się wzmogła. Napisałam kronikę, jakbym była samą Elizabet.

Jasper zbliża się do mnie. Otaczające nas powietrze robi się cieplejsze. Gdy zaczyna mówić, czuję na twarzy jego oddech. To przyprawia mnie o osobliwe zmieszanie, prawie nie mogę się skupić na tym, co mówi.

– Ewo, gdy wrócimy, wszystko się zmieni. Mogą się mną zająć na poważnie. – Waha się przez chwilę, jakby nie wiedział, co powiedzieć. – Wiesz, że znalazłem niewielki modlitewny tablet Apple'a?

– Wiem – odpowiadam szeptem.

Parska cichym śmiechem:

– Myślę, że tu nie ma tajemnic. Tak czy owak na wypadek, gdyby mnie porwała ceremonia, chcę, żebyś wiedziała, iż uczucia, jakie żywię do ciebie, się nie zmieniły. Jeżeli już, to się pogłębiły. Obserwacja, jak bardzo ryzykujesz, sprawiła, że...

Gdy mówi, uderza mnie, że jego słowa brzmią, jakby były ćwiczone, a nie płynęły prosto z serca. Moje ciepłe uczucia zaczynają się rozpląwać. Złoszczę się na jego założenie, że już wygrał – choć sama myślę podobnie – i że jestem nikim więcej niż Panną, którą powinna zadowolić odrobina mowy Kawalera.

Może potrzebował lekcji. Albo, co lepsze, umowy: moje wsparcie jego zwycięstwa we współzawodnictwie o miano Archona w zamian za miejsce Strażnika Praw. Takiej umowy, jaką wedle plotek zawarli mój ojciec i jego stryj. Czemu nie? Znam Prawo na wyrywki, a zostanie jedyną kobietą o tytule Wielkiej w Triadzie z pewnością napełniłoby mnie satysfakcją. Wtedy byłoby lepiej, gdybyśmy się z Jasperem w końcu zaręczyli.

Biorę głęboki oddech, ale gdy jeden ze Wspinaczy podczas obchodu przechodzi nieopodal nas, waha się.

Jasper milknie i zaczyna zwijać swoje liny z focznej skóry oraz pakować lodowe śruby. Żeby wyglądać na zajętą, i ja biorę się do zwijania liny, choć nie należy do mnie.

Wspinacz podchodzi bliżej.

– Widzę, że twoja kronika jest bardzo popularna – stwierdza.

Oboje z Jasperem patrzymy w jego stronę; to ten białowłosy Starszy. Jasper nieco się nadyma i mówi:

– No, reliktu Apple’a nie znaleziono już od dość dawna.

– Nie mówiłem do ciebie, Kandydacie. Mówiłem do niej.

– Do mnie? – pytam z niedowierzaniem.

Modliłam się do bogów o pozytywną reakcję mieszkańców Nowej Północy, ale dziwię się, że ją otrzymałam. Niby dlaczego mieszkańcy Gniazda mieliby wyrazić uznanie dla mojego znaleziska? I to bardziej niż dla reliktu Jaspera? Szczególnie że moja kronika nie odpowiada zwyczajowej formie?

– Owszem. – Wspinacz uśmiecha się lekko; w gromadzącym się mroku jego zęby błyskają bielą. – Niektórzy mówią, że to najbardziej popularna kronika, jaka kiedykolwiek się pojawiła.

Potem odchodzi.

Jasper opada ponownie w śnieg. Jego wargi wykrzywia grymas. Wrzę gniewem.

– Coś ty znalazła, Ewo? – pyta, nawet nie patrząc na mnie.

Mówię mu wszystko o różowej sakwie i zawartych w niej małych cudach. Opisuję mu mój związek z ich posiadaczką. I opowiadam mu kronikę, jaką spisałam o Elizabet i jej ostatnich dniach. Myślę, że zrozumiał.

– Więc twoja kronika jest opowieścią?

– Niezupełnie...

– Czy jest podobna do fikcji, jaką zwykle pisano w dniach przed Uzdrawieniem?

Usiłuje mi dokuczyć. Lepiej od innych wiem, że „fikcja” jest w Gnieździe nieprzyzwoitym słowem. I jest zabroniona przez Prawo. Od czasów Uzdrawienia zakazane są bajki i opowieści. Moje awanturnicze wyszywanki zostały uznane przez niektórych za „fikcje” i skazały mnie na pracę w Arce.

– Jasperze, to nie fikcja. To rekonstrukcja jej życia oparta na znalezionych przeze mnie reliktach – mówię i brzmia w tym bardziej obronne nutki, niż zamierzałam.

– Ewo, jak mogłaś to zrobić?

– Co masz na myśli?

Wstaje i wymierza we mnie palec.

– Mam na myśli to, że nie rozumiem, jak mogłaś tak podejść do Kandydatury? Prawo powiada nam, iż kroniki są sposobem uświadomienia mieszkańców Nowej Północy o niebezpieczeństwach świata przed Uzdrawieniem i umocnienia przekonania naszego ludu o słuszności powszechnej decyzji życia w Ciemnych Wiekach. Kroniki nie służą zabawie.

– Wypluwa ostatnie słowo, jakby było bluźnierstwem.

Może podniósł głos, żeby ponownie ściągnąć na nas uwagę wspinaczy. Ale nie obchodzi mnie już, czy ktoś nas podsłucha, czy nie; i nie czuję się jak bezbronna Panna czekająca na werdykt swego Kawalera. Wstaję i patrzę mu prosto w oczy.

– Nawet nie czytałeś mojej kroniki.

– Nie mogę uwierzyć, że popierałem twój udział w Próbach. Tym numerem naraziłaś mnie na przegraną w Próbach i zniszczyłaś cały nasz przyszły związek.

– Mówisz tak, jakby jednym z głównych powodów twojej złości było to, że mam szansę na wygraną. Doprawdy, to zachowanie godne Kawalera.

Patrzy na mnie w milczeniu przez długą chwilę, a potem niczym burza rusza w gęstniejący mrok.

Po części miałam ochotę pobiec za nim i zbesztać go za to, że mówił do mnie w taki sposób. Z drugiej strony pragnęłam trzymać się z daleka od obozu skażonego teraz przez Jaspersa i jego słowa. Jasne było, że skoro chcę wygrać, muszę zrezygnować z jakiegokolwiek szansy na dogadanie się z nim. Zdałam sobie też sprawę z tego, że cokolwiek mówił o mojej kronice Wspinacz, wielu innych w Gnieździe może zareagować jak Jasper.

Biorę głęboki wdech i postanawiam zrobić coś zupełnie innego. Coś zakazanego.

Wyjęłam osprzet z mojego plecaka, przeciągnęłam linę przez karabińczyki i wsunęłam ją w uchwyt lodowej śruby. Potem opuściłam się w rozpadlinę, by po raz ostatni odwiedzić Elizabet.

Prawie niczego nie widzę. Nie jestem pewna, czy to przez spływające mi po twarzy łzy, czy przez opadającą w dół Słońce. Ale nic mnie to nie obchodzi. Nie zamierzam pozwolić Jasperowi – czy komukolwiek innemu – na zniszczenie otwierających się przede mną perspektyw. Wierzę w moją kronikę. Jeśli miałabym wybór, wolałabym wciąż wydłubywać należące do Elizabet przedmioty dotyczące reliktu Apple’a, ponieważ miałabym większe szanse na zwycięstwo w Próbach. Nawet gdybym musiała stawić czoło konsekwencjom, nie zamierzam pozwolić nikomu okraść mnie z ostatniego pożegnania z Elizabet ani porzucić walki o zwycięstwo w imię honoru Lukasa i Eamona.

Dzięki bogom znam już rozpadlinę tak dobrze, że mogę zsuwać się w dół z zamkniętymi oczami. I to właśnie robię. Opierając się instynktownemu skupianiu na czymś wzroku – co i tak byłoby daremnym wysiłkiem – pozwalam, żeby do mojego znaleziska prowadziły mnie dłonie i stopy. Po kilku chwilach odnajduję moje paliki wciąż tkwiące w lodowej ścianie. I dopiero wtedy rozwieram powieki.

Zapalam wciąż wiszącą na kołku *naneq*. Zaglądam do dziury, w której znalazłam różową sakwę Elizabet. Przesuwam obleczoną w rękawicę dłonią nad miejscem, w którym wydobyłam z lodu należący do niej skarb, i szepczę słowa pożegnania.

– *Vale in aeternam*, Elizabet.

Lód wydaje się bardziej miękki, niż pamiętam, prawdopodobnie rozluźniło go ciepłe, wiosenne powietrze. Moja rękawica zaczepia o niewielkie pęknięcie w lodowej ścianie, jakiego wcześniej nie widziałam. Może pokazało się po stopieniu wierzchnich warstw. Usiłując uwolnić rękawicę z upartej szczeliny, dostrzegam jakiś błysk, zapewne metalu. Ale ta ściana tyle już razy podstępnie mnie zwiodła w czasie kilku ostatnich *siników*, że nauczyłam się jej nie ufać.

Szczelina nie puszcza, a z każdą chwilą robi się coraz ciemniej. Czuję się prawie tak, jakby ktoś trzymał moją dłoń. Choć w zasadzie nie powinniśmy tykać miejsca wykopalisk teraz, gdy jest zamknięte, nie mam innego

wyjścia, jak chwycić wolną ręką niewielki czekanik z mojego plecaka i zabrać się do rąbania lodu, który uwięził moją rękawicę. Odrąbawszy kawałek, uwalniam dłoń. Wydaję głębokie westchnienie ulgi; dotarłszy tak daleko, naprawdę nie mam ochoty na umieranie podczas ostatniego *sinika* Prób.

Już mam zacząć powrotną wspinaczkę, kiedy ten błysk znów przyciąga mój wzrok. Wiem, że powinnam go zignorować, ale nie potrafię.

Wspiąwszy się ponownie do znajomego miejsca, podsuwam *naneq* do pokancerowanego lodu. Nie muszę nawet wyjmować narzędzia, by wydobyć obiekt. Widzę go jasno jak za dnia. Sercem targa mi skurcz. To amulet Apple'a. Ale jest coś jeszcze. Amulet wisi na szyi szkieletu.

Czy to Elizabet? W głębi serca wiem, że tak. Znalazła się zbyt blisko swej pięknej różowej sakwy, by szkielet należał do kogoś innego. Ponownie zaczynam płakać. Co, w imię bogów, powinnam zrobić? To nie jest zwykły szkielet, to moja Elizabet.

Zdrapuję ostatnią warstwę lodu i pieścotliwie gładzę kościsty policzek. Biedna, biedna Elizabet. Nie mogę jej tu zostawić. Nie mogę jej porzucić.

Ale nie ma sposobu, żebym wyciągnęła ją z rozpadliny samodzielnie. A ponieważ Prawo powiada, że skoro wykopaliska zostały zamknięte i żaden Kandydat nie może wkraczać na ich teren, nikomu też nie wolno wydobywać reliktyw, jak mam ją wyciągnąć z jej lodowego grobowca? Nie mogę.

Przekłete Prawo! Będę musiała ją tu zostawić.

I nagle dociera do mnie, że nie muszę zostawiać jej tu wszystkiego, prawda?

Ponownie chwytam czekan i usuwam cienką, wilgotną pokrywę lodu otulającego ciało Elizabet.

Dotykając ostrożnie twarzy szkieletu, zsuwam amulet Apple'a i wkładam go do mojej sakwy. Choć nikt nie widział amuletu oprócz mnie – tylko bogowie wiedzą, co stałoby się ze mną, gdyby mnie tu znaleziono po zamknięciu wykopalisk – mam to, żeby na zawsze ją zapamiętać.

Po oczyszczeniu powłoki lodu widzę więcej. Elizabet trzyma w złożonych dłoniach płaski, metalowy przedmiot. Podsuwając bliżej *naneq*, dostrzegam, co to jest. Dyptyk Apple'a. Relikt przewyższający wszystkie inne. Ostatni znaleziono przed dwustu laty. Żyjący przed Uzdrowieniem ludzie patrzyli w jego czystą, szklaną powierzchnię, gdy się modlili. I gdy się modlili z wielką desperacją. Liczyli na to, że Apple prześle im jakąś wiadomość, jakiś znak.

Odsuwając na bok obawy – ostatecznie dyptyk należał do mojej Elizabet – najdelikatniej, jak tylko mogę, uwalniam go z uścisku jej dłoni. Zbyt przestraszona, by zrobić cokolwiek więcej niż wsunąć go do sakwy, powiedziałam sobie, że przyjrzę mu się później w bezpiecznym schronieniu mojego igloo. Na razie muszę się wydostać z rozpadliny, zanim ogarną mnie ciemności nocy.

– Żegnaj, Elizabet – mówię i po raz ostatni muskam dłonią jej policzek.

Jej oczy już mnie nie widzą, ale czuję obecność jej ducha, który mnie obserwuje.

Przesuwam się na pozycję do wspinaczki pod mocowaniem mojej liny. Wbijam czekan w lód nad głową, a kolce butów wciskam w ścianę. Ale czuję, że lina trzyma się niepewnie. Lodowa śruba trzymająca ją na miejscu lekko się poluzowała w coraz bardziej miękkim lodzie. Mam tylko chwilę, zanim będzie za późno. Wyjmując zza pasa nóż *ulu*, odcinam linę, zanim ta zniknie w głębi rozpadliny, bo nawet najłżejsze szarpnięcie mogłoby mnie pociągnąć w dół. Lina i śruba przelatują obok mnie. Patrzę na nie z chorobliwą fascynacją i czekam na dźwięk uderzenia obu o dno. Ale z dołu nie dochodzi żaden hałas.

Sparaliżowana strachem gapię się w bezdenną czerń. To ja mogłam polecieć w tę nieskończoność. Ruszaj się, Ewo, ruszaj, mówię sobie, albo też runiesz w dół. Przylegam do ściany, wbijając w nią czekan i kolce moich butów; to jedyne narzędzia, jakie mi zostały. Nie mam wyboru, muszę cał po calu wspiać się z powrotem.

Posuwam się powoli, przeszkadza mi mrok. Mam aż za wiele czasu na rozmyślanie o mojej głupocie. I po co mi to było? To ostatnie zejście do rozpadliny. Dla Elizabet? Z gniewu na Jaspera? Czy nie zasłużył na wygraną? A co z Próbami? Czy zrobiłam to wyłącznie ze względu na Eamona? Czy on w ogóle, umierając, wierzył w Próby? Czy ja wierzę w nie teraz?

Eamon.

Pierścień.

Śmierć mojego brata.

On i ja stanowimy jedność – złączeni ponad czasem, jednakowo kochający szalone ryzyko. Tylko że on zginął.

Nie mogę tego zrobić moim rodzicom. Nie mogę dopuścić, żeby kolejny Strażnik Pierścienia zostawił pod ich drzwiami zmasakrowane ciało następnego ich dziecka.

Przypominam sobie, jak bardzo byli rozbici, jak wiele czasu zajęło im

przywrócenie postawy Archona i jego Damy. I jak wątpiłam, czy mogliby to zrobić jeszcze raz. Zdaję sobie sprawę z tego, że niezależnie od kosztów muszę wrócić do Gniazda. Tak jak to obiecałam ojcu, gdy odchodziłam, żeby stanąć do Prób.

Nie pozwolę się pokonać tej rozpadlinie, Próbom, mojej rodzinie czy nawet Prawu. Nie wątpię w siebie, tak jak w ostatnich chwilach zrobił to Eamon, zadając sobie pytanie: „Czy moja rodzina będzie mnie kochała, gdy zrobię to, co muszę?”. Przeżyję. Dla Lukasa, Eamona, Elizabet i samej siebie. Będę się modliła, by ta miłość przetrwała w obliczu konieczności przeżycia.

Powoli podciągam się ku krawędzi rozpadliny. Do chwili, w której spostrzegam wbitą w lód śrubę Jaspera, nie mam pewności, jak przerwucić wyczerpane ciało na zewnątrz. W końcu jednak wbijam dziób mojego czekana w otwór lodowej śruby, sprawdzam siłę udźwigu i wciągam się na górę. I przez długą chwilę leżę na brzegu. Jestem zbyt wyczerpana, aby dbać o to, czy nie zostanę schwytana.

Słyszę zbliżające się kroki.

– Dobrze się czujesz?

– Teraz już tak – odpowiadam, nie patrząc, kto pyta.

Ten zaś chwyta mnie pod pachę i podciąga do pozycji stojącej. Białowłosa Wspinacz. Znowu on. Wygląda na to, iż jest wszechobecny.

– Nie powinnaś tu być. To zbyt niebezpieczne! – prawie na mnie krzyczy.

– Wiem. Zabrania tego Prawo i jestem pewna, że Tropiciele będą wstrząśnięci, gdy się dowiedzą, jak dalece je złamałam. – Jestem tak wyczerpana, że drżę, ale odczuwam nowy przypływ energii. – Czekali na to od chwili, gdy zaczęły się Próby.

– To nie tak, Ewo. – Wspinacz rozgląda się dookoła, oceniając moje stanowisko. – Chodzi mi o to, że tam na dole jest zupełnie ciemno, a twoja śruba wysunęła się z *masaku*. Mogłaś zginąć. Gdyby coś ci się stało, on by mnie zabił.

– Kto, kto by cię zabił?

Strach i smutek rozpływają się w nicość. Zastanawiam się, kto mógłby zawrzeć ze Wspinaczami umowę grożącą im śmiercią, gdyby mnie nie ochronili. Jeszcze przed kilkoma chwilami stawiałabym na Jaspera. Teraz przychodzi mi na myśl tylko jedna osoba. I nagle wszystko okazuje się sensowne: zazdrosne spojrzenia, stłumione rozmowy, niechęć. Nigdy tak naprawdę nie byłam w niebezpieczeństwie.

– Mój ojciec?

Wspinacz ucieka spojrzeniem w bok.

– Nie mogę... Miałbym nie lada kłopoty, gdybyś zginęła w tej

rozpadlinie. Moją pracą jest dbanie o to, żeby nikt nie spadł tam na dół, prawda?

Nie wierzę mu, ale teraz jestem zbyt wyczerpana, by się spierać. A zresztą sądzę, że i tak by mi nie powiedział, nawet gdybym nalegała.

– No dobrze. Myślę, że teraz możesz mnie zabrać z powrotem do Tropicieli, bym została ukarana.

– Nie tylko ty zostałąbyś ukarana, Ewo.

– Więc nie zamierzasz mnie wydać?

– O ile ty mnie nie wydasz.

– Umowa stoi. – Dochodzę do wniosku, że warto spróbować szczęścia jeszcze raz. – Mogę zadać jeszcze jedno ostatnie pytanie?

– Zależy, o co zapytasz.

– Czy mówiliście prawdę o tym, że moja kronika spodobała się wielu ludziom w Gnieździe?

– Zawsze mówię prawdę.

Kłania mi się lekko i odchodzi, by kontynuować swój obchód. Na chwiejnych nogach wracam do niedalekiego obozu. Okrążam go bokiem tak, że wartownicy mnie nie dostrzegają. Potem wsuwam się do mojego igloo, by zbadać moje nowe relikty.

Zrzucam z siebie opończę z foczej skóry i kładę się na macie. Otworzywszy sakwę, wydaję amulet Apple'a. Talizman ma kształt czarnego prostokąta z niewielkim metalicznym otworkiem na dnie. Dostrzegam, że ten otworek jest pusty, jakby przeznaczony do tego, by weń coś wsuwać. Sam amulet wisi na długiej, czarnej taśmie, więc Elizabet mogła go nosić niemal na sercu.

Wracam do mojej sakwy i wydaję z niej dyptyk. Przesuwam palcami po jego gładkiej srebrnej powierzchni i muskam wizerunek Apple'a na szczycie. Zwlekam przez chwilę, dotykając odjętego kawałka. Denerwuję się. Dyptyk Apple'a jest najbardziej bluźnierczym i niebezpiecznym z przedmiotów wykonanych przez człowieka. Chroniąca ludzi Nowej Północy przed mrocznymi mocami Triada szuka tych dyptyków bardziej niż innych reliktyw. Muskam palcami szczelinę dzielącą dwie jego części. Jestem pewna, że gdzieś tu musi być jakieś otwarcie; nasze dyptyki mają niewielki guziczek pozwalający na podniesienie górnej części. Wyczuwam niezbyt głęboką szczelinę i wbijam w nią paznokiec. Złamałam już tyle zasad, że czuję się jak we śnie. Nie mam wyboru, muszę otworzyć ten ołtarzyk.

No i jest. Osławiona czarna powierzchnia, do której modlili się ludzie żyjący przed Uzdrawieniem. Na przeciwległej płaszczyźnie są małe

kwadraciki z cyframi i literami. Czy tak zapisywano supliki do Apple'a? Nikt tego naprawdę nie wie. Zastanawiam się, czy Elizabet wierzyła, że Apple jej odpowiada? Smuci mnie myśl, iż ostatnie chwile poświęciła na modły do fałszywego boga.

Myśl o tym, żeby zatrzymać relikw i nie wydać go Triadzie, wydaje mi się niesłuszna. Ale jaki mam wybór? Nie mogę ujawnić mojego odkrycia, nie zdradzając się z tym, że złamałam Prawo i chyłkiem wróciłam na stanowisko. Nie tylko zostanę pozbawiona prawa do udziału w Próbach, ryzykuję też poważną karę dla Wspinacza, siebie samej i mojej rodziny.

Jedyny z Kandydatów, który w przeszłości wkroczył do zamkniętego wykopaliska i usiłował zatrzymać odkryty artefakt, został wraz z rodziną wygnany na Pogranicze. Nie mogłam tego zrobić moim bliskim; musieliby zrezygnować ze statusu Założycieli, którym szczycili się od czasów Uzdrawienia, i z tytułu Archona, na który tak ciężko pracował mój ojciec. Przeszli już zbyt wiele. I tylko bogowie wiedzą, co Triada zrobiłaby ze Wspinaczem.

Postanawiam, że na razie ukryję ołtarzyk.

Może w najbliższych dniach znajdę jakiś sposób, żeby ujawnić moje odkrycie, nie szkodząc sobie samej. Ale nawet jeżeli tak się nie stanie, teraz odczuwam osobliwy spokój. Tak czy owak, te przedmioty są częścią Elizabet. Chcę ją na zawsze zachować dla siebie.

XXXIII
Aprilus 26 i 27
Rok 242 p. U.

Noc przed naszym powrotem do Gniazda Jasper siada obok mnie podczas kolacji, a ja nie protestuję. Podczas ostatnich dwóch *siników* – gdy wracając, porzuciliśmy miejsce Prób – unikałam go. Było to łatwe, bo każdy dzwon po przebudzeniu spędzaliśmy na pokonywaniu dziczy w drodze powrotnej. Ale mój gniew na Jaspera nieco zelżał. Wzrosła za to moja ciekawość, choć powtarzałam sobie, że to nie ma znaczenia. Czego Jasper jeszcze ode mnie chce? Jasne jest, że rzadko o mnie myśli. Czy zmienił swój początkowo surowy sąd o mojej kronice? Ten sąd, który – jak się obawiam – podzielią mieszkańcy Gniazda i członkowie Triady?

Z początku niczego nie mówi. Niczego też nie je i nawet nie udaje.

Myślami wracam do nieco niepokojących obserwacji, jakie poczyniłam od czasu, gdy opuściliśmy miejsce Prób. Podróż powrotna jest zaskakująco krótka. Wszystko, co musimy robić, to prowadzenie naszych zaprzęgów po ustalonej i dobrze już przetartej ścieżce w oczywisty sposób znanej Tropicielom, Pogranicznym Rybakom i Łowcom.

Tej niekonsekwencji nie dostrzega oprócz mnie żaden z Kandydatów, nie widzi jej i Jasper. To surrealistyczne.

To, że podróż mogła być tak łatwa – nie musieliśmy podejmować ryzyka i ponosić takich strat – wkurza mnie i w inny sposób. Próby coraz bardziej przypominają okrutny hermetyczny żart zrozumiałe dla bardzo nielicznych. Nieważne, że uświęca je Prawo, a co za tym idzie, i bogowie. Czy nie to odkrył Eamon? To, że świętość została zbrukana? Może rodzaj ludzki wcale się tak bardzo nie zmienił po Uzdrawieniu.

Jasper chrząka i przerywa moje mroczne rozmyślenia.

– Ewo – szepcze. – Przepraszam.

Nie odpowiadam. Jest w błędzie, jeżeli myśli, że dam się nabrać i natychmiast mu przebaczę. Zbyt głęboko mnie zranił. Nie przerywam jedzenia.

– Wszystko zepsułem. Nie powinienem był tak do ciebie mówić.

Mówi chyba szczerze, ale jego przeprosinom czegoś brakuje. Nie słyszę w nich wiary w to, że się mylił. Muszę zrozumieć, w co on naprawdę

wierzy.

– Wiesz, że nie miałeś racji w tym, co o mnie mówiłeś, czy może uważasz, iż miałeś rację, i tylko żałujesz, ponieważ mi to powiedziałeś? Bo jestem Panną lub z innego równie głupiego powodu?

Jasper milczy przez chwilę. Wygląda tak, jakby moje pytanie zbiło go z tropu. A potem zaczyna:

– Niełatwo na to odpowiedzieć, Ewo. Chcę rzec, iż Prawo stwierdza, że powinniśmy używać relikwów do nauki, a nie dla tworzenia opowieści. Ale wiem też, że jesteś dobra i oddana wypełnieniu celu Prób – tak samo jak Eamon. Myślę, że niełatwo mi będzie zrozumieć, jak słowa Prawa mogą pasować do naszych działań. Gubię się w tym i właściwie nie wiem, co sądzić o Próbach.

Z trudem opieram się chęci wyciągnięcia do niego dłoni. Większość Kawalerów po prostu uciekłaby się do wypowiedzenia kilku kwiecistych słów, żeby mi pochlebić. Nie wspomnę już o tym, że ryzykuje tym wyznaniem – kwestionowanie Prawa jest równoznaczne z jego złamaniem. Co więcej, dzielę z nim jego opinię o Prawie, Próbach, jego roli, łączącym nas związek i tak dalej. Czy przez cały czas myślał o mnie tak samo?

– Dzięki, Jasperze.

Odpowiedział mi nieco zdziwionym spojrzeniem.

– Za co? Wiem, że nie przeprosiłem cię w należyty, godny Kawalera sposób.

– Za to, że jesteś szczery.

Przez kilka długich chwil siedzi w milczeniu. Zamiast rozmawiać, wsłuchujemy się w trzeszczenie ognia i szum obozu. Nie wiem, co powiedzieć. I boję się tego, co mógłby powiedzieć on.

I nagle Jasper obdarza mnie błyskiem tego swojego uśmiechu. Potem pochyla się ku mnie i szepcze:

– Tytuł Archona przyniesie honor naszej rodzinie. Kimkolwiek on będzie.

XXXIV
Aprilus 28
Rok 242 p. U.

Powrót do Gniazda wygląda inaczej niż wyjazd z niego. Teraz to wielka ceremonialna procesja z powiewającymi czerwonymi flagami i falangą Tropicieli i Sług Pogranicza: podróżujemy wszyscy razem. Nie jesteśmy już bandą przestraszonych nastolatków wysłanych przez bogów chcących wybrać Archona; jesteśmy grupą powracających, którzy przetrwali. Albo przynajmniej gramy takie role.

Moje serce z każdym krokiem uderza coraz szybciej. Amulet i ołtarzyk zaczynają mi ciążyć w plecaku. Z zewnątrz Pierścień wygląda na ogromny. Wprawdzie wizerunek łągodzą nieco lodowe i kamienne budowle Gniazda, ale wznosi się ponad lodowym pustkowiem ziem Pogranicza niczym sięgająca nieba wieża. Dokładnie tak, jak określa to Prawo. Czuję się, jakby Pierścień osądzał mnie z wysokości, prawie jak jeden z bogów. Modłę się w duchu, żeby mieszkańcy Nowej Północy sądzili mnie łągodniej niż on i by nie zechcieli zrobić ze mnie odstraszającego przykładu za próbę zrobienia z kroniką czegoś ryzykownego.

Cała nasza procesja zatrzymuje się w prowizorycznie rozbitym obozie tuż przed Pierścieniem. Kandydaci i Tropiciele czynią przygotowania do Przejścia i omawiają między sobą Próby i swoje szanse. Słyszę liczne wzmianki o Jasperze i ani jednej dotyczącej mnie.

Wspinacz musiał skłamać, mówiąc o reakcji ludzi na moją kronikę. Prawdopodobnie bawił się moim kosztem; może nawet wiedział, że zostanę za nią ukarana, i sobie ze mnie kpił.

Jak mogłam w ogóle myśleć, iż Aleksander i Niels widzieli we mnie zagrożenie? I dlaczego wyobrażałam sobie, że Tropiciel Okpik żywi ku mnie utajoną nienawiść? Od dawna już mnie ignoruje. Wszystko to działo się za sprawą mojego ojca, który pociągał za różne sznurki, żebym przeżyła. Musiało tak być.

Obserwując tę grupę – szczególnie doświadczonych Tropicieli takich jak Okpik – wściekle zajętych oczyszczaniem brudnych opończy z foczej skóry i zmywaniem twarzy po raz pierwszy od wielu *siników*, mam ochotę wybuchnąć głośnym śmiechem.

Przypominam sobie jednak o tym, co czeka po drugiej stronie Pierścienia, i przestaję się śmiać. Domyślam się, że aby stanąć przed Triadą i zgromadzeniem, powinnam się lepiej prezentować – nawet, o ile tylko zdołam, bardziej... panieńsko. Potajemnie wyciągam zwierciadlany relikwiarz i patrzę na swoje odbicie. Koniecznie muszę umyć twarz i uczesać splątane ptasie gniazdo moich włosów.

Zaczynają się gromadzić ludzie Nowej Północy. Nasze nadejście zwiastował im wysłany przodem jeden z Tropicieli, a ja z poprzednich lat Prób wiem, że porzucają codzienne zajęcia, by zająć najlepszy punkt obserwacyjny, z którego będą mogli oglądać nasz triumfalny powrót. Potem zacznie się oczywiście Ceremonia Wyboru, podczas której jedynie bogowie wiedzą, co się może wydarzyć.

Mój żołądek wywija kozła, gdy myślę o tych wszystkich twarzach gapiących się na mnie natarczywie. Oczywiście będą wśród nich mój ojciec i matka. Moi nauczyciele i przyjaciele ze szkoły; przynajmniej tych kilku, którzy się mnie trzymali. I ludzie, których nie poznam poza ich profesją – Budowniczy, Kowal, Krawiec, Piekarz i tak dalej. Będzie też może i moja Niania Aga, której nie widziałam od wielu lat.

Co ci wszyscy ludzie pomyślą sobie, patrząc na mnie? Co pomyśli Lukas? Lukas, którego być może potrafię odróżnić w tłumie ludzi Pogranicza patrzących wespół ze Służącymi. Czy zirytuje się na mnie za to, że niezbyt dokładnie przestrzegałam jego instrukcji? Poczuje urazę z powodu mojej kroniki? Będzie zdenerwowany, jeśli przegram z Jasperem?

Jak mnie osądzi Nowa Północ?

Rozlega się ryk rogu. Żegnajmy się z ukochanymi psami i przekazuję je Sługom Pogranicza. Będzie mi ich brakowało podczas najbliższych *siników*. Były jedyną stałą w Próbach, szczególnie Indica. Ale upewniam się, że wciąż mam przytroczony do grzbietu plecak. Jedynie bogom wiadomo, co ludzie by mi zrobili, gdyby się dowiedzieli, co ukrywam. Byłoby to coś znacznie gorszego niż ocena, jaką mogłabym dostać za spisanie swojej kroniki.

Zbieramy się tuż za bramą Gniazda. Jaspera ode mnie oddziela dwóch Kandydatów – Thurstan i Benedykt. Stoi na przodzie i celowo z uśmiechem ogląda się w moją stronę. Poprawia mi to humor. Nieważne, co jeszcze stanie się podczas tego *sinika* i w następnych – wierzę, że Jasper jest i pozostanie moim przyjacielem.

W tejże samej chwili zaczynamy Przejście. Gdy przechodzimy pod kamiennym łukiem oddzielającym ziemię Pogranicza od miejskiego rynku

Gniazda, uderza mnie widok zgromadzonych tłumów. Po tak wielu *sinikach* spędzonych samotnie wśród lodów ciżba mnie przytłacza; przypomina mi napór ludzi, na których natknęła się Elizabet, gdy usiłowała uciec na przystań. Rozglądam się dookoła za znajomymi twarzami, ale są zbyt liczne, żeby je odróżnić.

Kontynuujemy podejście do podwyższenia. Za mniej więcej dzwon odbędzie się tam Ceremonia Wyboru. Idąc, zwracam uwagę na pomruki tłumu. Są coraz głośniejsze i – na bogów! – brzmią tak, jakby ludzie śpiewali.

– Ewa... Ewa... Ewa...

Ale to nie może być prawda. Dlaczego ludzie mieliby wołać moje imię?

Mój żołądek wywija kozła. Czy ten zaśpiew jest w jakiś sposób powiązany z oceną, jaką o mojej kronice wydała Triada? Nie brzmi tak surowo jak Pieśni Kary, ale może właśnie dlatego tak się boję? Niespodziewanie scena przestaje wyglądać jak miejsce, gdzie dostanę Wawrzyn Archona, a zaczyna mi przypominać miejsce, gdzie zostanę skazana.

Kolejno wchodzimy na prostą, drewnianą platformę. Lustrując spojrzeniem miejski rynek, odkrywam ze zdziwieniem, że jest zatłoczony i bardzo mały w porównaniu z rozległymi śnieżnymi polami i bezkresem poza Pierścieniem. Dlaczego się tak tu gnieciemy, skoro tyle jest przestrzeni i miejsca tuż za naszym progiem? Mam ochotę stąd uciec.

Drżą mi kolana. Prawie na czele tłumu dostrzegam moich rodziców. Po zwykle zachowującej stoicki wyraz twarzy ojca spływają łzy. Podnosi do ust dwa palce, jakby chciał mi przesłać pocałunek. Czy to ma być pożegnanie? Patrzę na matkę, chcąc zobaczyć jakiś znak pozwalający mi odczytać wyraz twarzy ojca. Ale jej oblicze zastygło w przeznaczonym dla publiki uśmiechu – w wyrazie mogącym znaczyć wszystko i nic.

Gdzie jest Lukas? Muszę go zobaczyć. Miałam nadzieję, że rodzice pozwolą mu stanąć przy nich, choć jest urodzonym Pogranicznikiem, i wiem, że po ukończeniu nauk Kandydata powinien zostać odesłany tam, skąd pochodzi. Wreszcie go dostrzegam. Stoi na tyłach tłumu otoczony morzem ciemnowłosych Pograniczników dokładnie tam, gdzie stał, gdy wyruszałam. Jego twarz też nie daje się odczytać. Otwieram usta w niemym pytaniu, żeby się dowiedzieć, co, na bogów, się dzieje, on jednak tylko kręci głową.

Co ze mną będzie?

Rozlega się głos pojedynczego uderzenia rynkowego dzwonu. Tłum

cichnie. Wszyscy stoimy w pełnym szacunku milczeniu, dopóki nie zamiera dźwięk ostatniego, dwunastego uderzenia – po jednym dla każdego Kandydata: tych, którzy wrócili, i tych, którzy padli. W tym czasie zapalają się pochodnie – tysiąc płomieni otacza kręgiem miejski rynek.

Na podium dołączają do nas Wielcy – Strażnik Prawa, Basilikon i Archon – z symbolami Triad wyszytymi na piersiach. Kandydaci powinni klęknąć w oczekiwaniu na błogosławieństwo Wielkiego Basilikona i skropienie ich wodami Uzdrawienia, ale moje ciało zeszywniało ze strachu. Żeby mnie uwolnić z tej psychicznej blokady, asystent Basilikona kładzie mi dłoń na ramieniu.

Wstajemy po przyjęciu błogosławieństwa. Przemawia Wielki Strażnik Prawa. Jest nim Ian, stryj Jaspera. Zastanawiam się, czy zamierza wypowiedzieć słowa używane podczas każdej widzianej przeze mnie Ceremonii Wyboru, czy też zajmie się oceną mojej osoby. Liczę na to ostatnie, bo nie mogę już czekać ani chwili dłużej.

– Zebraliśmy się dziś na *Salve*: powitanie wracających Kandydatów.

Słowa są te co zwykle, ale tłum wybucha wrzawą. Niezwykła reakcja. Niezależnie od tego, co ludzie czuli do wracających Kandydatów, szanowali jak dotąd powagę sytuacji. Ostatecznie to Kandydaci ginęli poza Pierścieniem. Jak Tristan i Anders.

Ian podnosi dłoń, żeby uspokoić krzykaczy, ale z tyłu dobiegają jeszcze wrzaski: „Ewa!”. Dlaczego wołają moje imię? Czy wołający domagają się mojej kary? Podejrzewają, że mój ojciec tak ustawił Próby, bym przeżyła? Inni Kandydaci są tak samo jak ja zbici z tropu; wciąż spoglądają w moją stronę. Mam niemal pewność, że moje podejrzania stają się rzeczywistością.

– Ci dzielni Kandydaci wrócili do bezpiecznego Gniazda z podróży w najbardziej niebezpieczną część Nowej Północy, do Zamarzniętych Brzegów. Ta niebezpieczna ekspedycja zabrała życie dwóm Kandydatom, Tristanowi i Andersowi – Powtarza słowo w słowo święty tekst, który słyszałam w dziczy. – Płacząc nad stratą naszych braci, wiemy, że bogowie powitają Tristana i Andersa w swoim królestwie. Obaj stracili życie w uświęconych Próbach, które dla dobra ludzkości po Uzdrawieniu ustanowili Prawem sami bogowie. Unieśmy ręce we wspólnej modlitwie za Tristana i Andersa.

Podnosi z pokorą dłonie ku niebu. Ludzie także podnoszą ręce, jak tego wymaga Prawo, choć po wielu twarzach spływają łzy. Jestem pewna, że zmarłych Kandydatów znało wielu mieszkańców Gniazda i Pogranicza; ich smutek przypomina mi o braku jakiegokolwiek sensu w śmierci Tristana

i Andersa. Ku Zamarzniętym Brzegom mogliśmy podążać bezpieczniejszą trasą i nie musieliśmy tego robić samotnie – gdyby nie, jak myślę, błędna interpretacja Prawa przez kilku przywódców. Podejrzewam, iż te same myśli krążyły w głowie Eamona.

Ian odwraca się do nas:

– Bogowie uznali, że powinni nam zwrócić tych pięknych, młodych Kandydatów. Chcąc zostać Archonami, narazili się dla nas na największe niebezpieczeństwa. My, ludzie Nowej Północy, potrzebujemy Archonów, by nam pokazywali niebezpieczeństwa sposobu życia przed Uzdrawieniem. Wszyscy razem ponownie wyrzekamy się uwielbiania fałszywego boga Apple'a. Wyrzekamy się Tylenoli, Coca-Coli i MasterCardów. Wyrzekamy się wszystkich reliktyw odkrytych przez Kandydatów. Wyrzekamy się też tych, które dopiero odkryją. Stojący przed nami wydobyli spod lodu przedmioty, jakich nie widziano od dnia Uzdrawienia – relikty, które wskażą nam słuszność życia na Nowej Północy. I stworzyli o tych reliktach kroniki, które uświęcą nasze drogi w Prawie.

Stoimy.

Na środku sceny staje Wielki Archon – mój ojciec. Teraz jego kolej na przemówienie.

Kiwa głową Ianowi i zaczyna:

– W tym roku nasi Kandydaci odkryli jedne z najlepszych i najrzadszych reliktyw w historii. Jak wielu, których znacie z naszego miejskiego rynku zgromadzeń, wydobyli spod ziemi przeciwne naturze leki, niszczące ziemię silniki, rażące podstępnie sztuki broni, a nawet niewielki tablet poświęcony fałszywemu bogu Apple'owi rządzącemu ludzkością przed Uzdrawieniem. Jak wszyscy wiecie ze zgromadzeń, niektórzy z naszych Kandydatów utworzyli pełne mocy kroniki swoich reliktyw. Będziemy oddzielnie świętować odkrycia każdego z nich.

Głos ojca jednocześnie przeraża i uspokaja. Po tak długim pobycie poza Pierścieniem słucham go znów z dawnym uwielbieniem, obawiam się jednak tego, co może powie za chwilę. Nie wspomniał o herezji mojej kroniki. Na razie nie. Czy wesprze mój osąd, gdy zgodnie z kolejną padnie moje imię? Czekanie jest samo w sobie okrutną karą. Szczególnie że musi ją wymierzyć mój ojciec.

Wzywa każdego Kandydata.

Jak każdy z pozostałych dziewięciu Kandydatów słuchających opisu swoich reliktyw i podsumowania kronik stoję na drżących nogach. Słyszymy o znalezionym przez Jacques'a pudełku z lekarstwami,

opakowanych w srebrną folię zestawach żywnościowych, które znaleźli Benedykt, Petr i Thurstan, metalicznej sieci Williama, karabinach wygrzebanych przez Aleksandra i Nielsa oraz sporej paczce przynęt na ryby Knuda. I oczywiście o odkrytym przez Jaspiera relikcie Apple'a, który zbiera największe uznanie.

A co ze mną? Poruszam ustami w niemej modlitwie do bogów. Kieruję ją głównie do Słońca, bo ta znana jest z miłosierdzia.

Kronik nie odczytuje się ponownie, ponieważ większość ludzi nie żywi potrzeby ponownego ich wysłuchania. Gdybym nie była tak przestraszona, chciałabym usłyszeć każde słowo, by się przekonać, jak wypadają historie innych Kandydatów porównane z moją.

Jak moje relikty i kronika będą wyglądały w porównaniu z innymi? Teraz jednak mam na głowie większe troski niż myślenie o wygranej. Jestem ostatnia. I wydaje mi się, że mija wieczność, zanim mnie wzywają.

– Kandydatko Ewo, wystąp przed szereg.

Pomruk tłumu się wzmacnia, aż w końcu brzmi niemal jak ryk.

Ten dźwięk nieco mnie irytuje, gdy kroczę po scenie w moich mocno już znoszonych kamiksach. Gdy stoję u boku ojca, musi mnie podtrzymywać. Przez chwilę dotyka dłońmi mojego plecaka i mrużę oczy na myśl o jego zawartości: amulecie i ołtarzu. Mogę się tylko domyślać jego reakcji, gdy zostanę przekazana do ukarania Wartownikom po odkryciu mojej kontrabandy.

Uśmiecha się do mnie blado, czego – jestem pewna – nie dostrzega żaden inny z mieszkańców Nowej Północy. Potem znów przybiera maskę Wielkiego Archona, a nad placem grzmi jego głos:

– Kandydatko Ewo, dokonałaś niezwykłego odkrycia.

Niezwykłe odkrycie. Nie brzmi to jak potępiający wyrok. Jeszcze nie. Wstrzymuję oddech.

– Znalazłaś różową sakwę pełną reliktyw poświadczającą smutne zepsucie życia przed Uzdrowieniem. – Wylicza przedmioty znalezione w sakwie Elizabet. Gdy je opisuje rytualnym tonem, brzmi to zupełnie bezdusznie; nie słyszę niczego z życia, które przedtem z nich tryskało. – Ale twoja kronika tych reliktyw – ciągnie dalej – okazała się... hm... bardziej znacząca niż same przedmioty. Gdybyś stała na tej scenie, gdy głośno czytano twoją kronikę, nie słyszałabyś ani słowa z ust zgromadzonych.

Na bogów! Moja kronika tak zaszokowała mieszkańców Nowej Północy, że skwitowali ją milczeniem! Z pewnością jest to czas na wydanie sądu o mnie. Przedtem chciałam tylko, by ojciec zmniejszył moje cierpienia przez

natychmiastowe ogłoszenie wyroku, teraz jednak wolałabym mieć więcej czasu na ucieczkę. Mierzę spojrzeniem tłum i ściany Pierścienia, szukając drogi na zewnątrz. Jestem pewna, że gdybym tylko przedarła się przez Bramę do miejsca, gdzie trzymają mój psi zaprzęg, zdołałabym przetrwać poza Pierścieniem...

Niemal nie słucham tego, co mówi ojciec:

– Ewo, doświadczyłaś milczenia zebranych, po którym nastąpiły wiwaty. Milczenie towarzyszyło wspomnieniom Elizabet Laine i przepadłego w Uzdrawieniu życia, wiwatami zaś skwitowano twoje rozpoznanie jej historii w reliktach i upamiętnienie zmarłej tak, abyśmy mogli ją zrozumieć.

Odwracam się na pięcie od tłumu i patrzę na ojca. Czy on naprawdę właśnie powiedział to, co myślę, że powiedział? Czy pochlebił mi za moją prymitywną kronikę? Jako Wielki Archon, a nie mój ojciec?

– Już czas! – woła.

Nagle gaśnie tysiące pochodni. Choć wciąż jest dzień, rynek Gniazda staje się mrocznym miejscem pod chmurnym niebem późnego popołudnia. Ojciec zapala na scenie pojedynczą pochodnię, a potem rozwija zwój pergaminu, który trzymał w dłoni od chwili wejścia na scenę.

– Bogowie podjęli decyzję! Nowym Archonem zostaje Ewa!

XXXV
Aprilus 28
Rok 242 p. U.

Zmieniam osobowość jak dziecko w dniu nadania mu Wodnego Imienia. Niemal nie czuję dłoni, ramion i warg muskających mój policzek. Jednocześnie czuję się otępiała i oszołomiona. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek jeszcze będę się czuła normalnie. W istocie zdobyłam Wawrzyny Archona?

Wydaje się to niemożliwe. Owszem, pragnęłam zwycięstwa i nawet wierzyłam, że mam szansę. Ale po odkryciu Jaspera i po tym, jak zdałam sobie sprawę z tego, iż nowatorstwo mojej kroniki może się na mnie zemścić, przestałam snuć zwycięskie fantazje i zaczęłam się martwić bardzo realną możliwością kary. A zresztą nawet gdybym nie napisała tak ryzykownej kroniki, kimże byłam, by pragnąć Wawrzynów? Pierwszą od półtora wieku Panną, która stanęła do Prób? Dziewczyną, która zaczęła treningi zaledwie trzy miesiące wcześniej? Matka zupełnie słusznie odnosiła się do mnie lekceważąco.

Coś jednak przeważało szalę na moją korzyść. Co to było?

Gdy tylko udaje mi się wyrwać z dławiącego oddech uścisku ciotki ojca, podchodzą do mnie Jasper i jego rodzice.

Nie jestem pewna, czego się mam spodziewać, niezależnie od jego uwagi: „Rad jestem, że mam w rodzinie Archona”. Wszystko się zmieniło. Patrząc, jak moi rodzice wygładzają swoje odświętne ubrania; najwyraźniej i oni żywią pewne obawy.

Prawo żąda, by moi rodzice przemówili pierwsi, co sprawia, iż czuję ulgę. Choć Jasper uśmiecha się do mnie, nie chciałabym w tej dwuznacznej sytuacji palnąć czegoś krańcowo głupiego.

Ojciec kłania się rodzicom Jaspera.

– Dziękujemy bogom, że bezpiecznie przywrócili nam Jaspera i Ewę. Jesteśmy błogosławieni, choć dwóch Kandydatów zginęło, stając do uświęconych przez Prawo Prób.

Matka Jaspera kiwa głową, a próbując te słowa przebiegle podkreślające wartość naszego bezpiecznego powrotu do domu. Była to jedyna modlitwa, jaką ojciec wymówił podczas naszej ostatniej spędzonej w Gnieździe nocy,

gdy obie rodziny zebrały się razem.

Chłód matki Jaspera był dość oczywisty, wiedziała jednak dobrze, że powinna ukrywać swoje myśli. Irytowało ją to, że obrabowałam jej syna z tytułu, który od czasów Uzdrawienia nosił zawsze jeden z członków jej rodziny. Ja zaś na niego nie zasługiwałam. Przede wszystkim Triada nigdy nie powinna była dopuścić kobiety do współzawodnictwa. Ale nie ośmieliła się wyrzec tego przed Wielkim Archonem. Ani – w obecnej sytuacji – przede mną.

– Po tym wszystkim zajrzesz do nas? Na biesiadę? – pyta ojciec.

Matka Jaspera nie może odmówić. Odmowa byłaby obrazą wobec mnie jako nowego Archona i mojego ojca, który jest Wielkim Archonem. Nie mówiąc o tym, że ojciec nie znieważył jej zaproszeniem na świętowanie mojej wygranej. Po prostu zaprosił ją na ucztę z okazji naszego powrotu.

Jasper wciąż się do mnie promiennie uśmiecha. Zachowuje się tak, jakby moje zwycięstwo prawdziwie go ucieszyło i jakby nie przejął się własną przegraną, tak jak wielu otaczających nas Kandydatów. Chciałabym wierzyć, że tak jak dawniej pozostał moim przyjacielem. Ale zastanawiam się, co naprawdę ukrywa ten jego uśmiech.

Nasze spotkanie przerywa wizyta Iana i Wielkiego Basilikona. Jasper i członkowie jego rodziny kłaniają się nisko krewnemu i odchodzą, a ja i matka składamy głęboki dworski ukłon. Wykonując odruchowy dawniej gest, czuję się dość osobliwie w moim brudnym uniformie Kandydata. Plecak przygniata mnie do ziemi, ale staram się okazać panięńską grację.

– Powinnaś być z siebie bardzo dumna, Ewo. – W ustach Iana, który używa przy tym w pełni głosu Wielkiego Strażnika Prawa, brzmi to bardziej jak rozkaz niż zwykła uwaga.

– W obliczu bogów przyniosła zaszczyt sobie i swojej rodzinie – odpowiada ojciec, a ja po jego słowach z dumą wypinam pierś.

– Jej kronika była najbardziej znacząca – mówi Wielki Basilikon, powtarzając słowa, jakie wypowiedział mój ojciec na scenie.

Nie umiałabym rzec, czy mnie chwali, niechętnie godzi się z moim zwycięstwem, czy łże. Może świerzbiła go chętka ukarania mnie zamiast zwieńczenia Wawrzynami, miał jednak jakiś ukryty powód, żeby publicznie darować mi mój niewłaściwy postępek. Być może powstrzymywała go pozycja mojego ojca. Nie mogłam się oprzeć myślom o słowach, jakie zapisał w swoim dzienniku Eamon – i nie mogę już ignorować odkrytej przez siebie prawdy. Czy Eamon dowiedział się czegoś o Wielkim Basilikonie? Czegoś, co zmusiłoby Basilikona do wybaczenia mi spisania

nietypowej kroniki? Może w ten sposób utrzyma mnie w ryzach?

– Nacieszcie się swoimi trzydziestoma dniami w jej towarzystwie. Potem was opuści, by się wyszkolić na Archona – poleca Ian, jakby mógł rozkazywać szczęściu.

Ojciec obejmuje mnie ramieniem.

– Poczyniliśmy już plany. Będziemy się cieszyć każdą chwilą.

Pozostali dwaj wodzowie Triady odwracają się, by odejść. Moi rodzice i ja przyklekamy w ukłonie. Potem ruszamy ku domowi, trzymając się za ręce.

Przechadzka, która kiedyś wydawała mi się dość długa, zajmuje tylko kilka kroków. Parę chwil i już przechodzimy przez drzwi. Po kilku dniach spędzonych na saniach i w rozpadlinach, po tylu nocach w namiotach i igloo wszystko tu wydaje mi się luksusowe. Szczególnie że stoły w pokoju dziennym i jadalni – zastawione stosami owoców, pięknie ułożonego chleba i ciast, pieczonych ryb i dziczyzny – przybrano już na wielką biesiadę.

– Skąd wiedzieliście? – pytam.

– Co masz na myśli, Ewo? – odbija pytanie ojciec.

– Skąd wiedziałeś, że wygram? Stwierdziłeś, że wszystko miało zaplanowane. Nawet jako Wielki Archon nie mogłeś wiedzieć, że zostanę Archonem, i nie przygotowałeś na dzień dzisiejszy biesiady takiego kalibru. A gdyby wygrał Jasper, to ucztę szykowałaby jego rodzina.

Rodzice spoglądają na siebie z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Odpowiada matka:

– Ewo, wydawało się niemożliwe, żebyś przegrała. Nie możesz sobie wyobrazić, jak twoja kronika poruszała ludzi Nowej Północy na Zgromadzeniach. Nigdy nie słyszeliśmy tak wstrząsającego zakończenia opowieści. Biedna dziewczyna.

Przemycana w plecaku kontrabanda coś mi przypomina. Ostrożnie wyjmuję ojcowski relikwiarz: zwierciadło, dzięki któremu zdobył tytuł Wielkiego Archona.

– Gdyby nie ono, wszystko mogłoby się dla mnie źle skończyć – mówię ochrypłym głosem. – Dzięki, że pozwoliłeś mi to wziąć.

Ojciec kiwa poważnie głową i umieszcza zwierciadło w jego miejscu na opończy, zwracając je ku Słońcu.

– Ewo, bogowie pobłogosławili cię szczególnym darem. Możesz widzieć prawdę ukrytą w każdym relikwie i z wielką mocą ją ujawnić. W całej historii Prób żaden z Kandydatów nigdy nie miał tego talentu.

W moich oczach ukazują się łzy. Mówi prawdę, bo ma na myśli moje

opowieści. Przypominam sobie Nianię Agę, u stóp której uczyłam się ich tkania. Podchodzę bliżej do rodziców. Ich komplementy zrobiły na mnie spore wrażenie.

– Naprawdę?

– Naprawdę – odpowiada ojciec.

– Naprawdę – wtóruje mu matka, pociągając nosem.

Wydaje mi się, że wstrzymuje łzy. Ale widzę na jej twarzy grymas. Zaznacza w ten sposób, że spędziłam zbyt wiele czasu, nie zmieniając ubrań. W cieple i w pobliżu kamiennych budowli rozumiem ją: nie pachnę zbyt panięsko.

– Ewo, naprawdę trzeba ci wziąć kąpiel, zanim nasi goście pojawią się na biesiadzie – szepcze matka swoim głosem Damy.

Jak do tej pory udawało jej się ukrywać te dworne maniery.

Ojciec spogląda na mnie i kiwa głową.

– Nie byłoby to głupie, Ewo. Zwróciłem uwagę na twój... hm... aromat jeszcze na miejskim rynku. Nie chciałem ci tego wytykać przed powrotem do domu.

Parskam śmiechem. Po tym wszystkim, czemu musiałam stawiać czoło podczas ostatnich dwudziestu ośmiu *siników* – przeszywającemu chładowi, głodowi, podejrzaney konspiracji i grożącym śmiercią upadkom – ostatnią rzeczą, o jakiej mogłabym myśleć, był miły zapach. Ale tu w Gnieździe to jedna z pierwszych spraw, o jakie trzeba mi zadbać. Rozluźniam ramiona. Wróciłam do domu.

– Ojczy, jestem bardzo zakłopotana. Niczego bardziej nie pragnę niż długiej kąpieli w gorącej wodzie.

Z chęcią skorzystałabym z tej wymówki, żeby się zamknąć w sypialni, gdzie mogłabym ukryć amulet i ołtarzyk.

Matka obdarza mnie uśmiechem. Nie tylko wkroczyłam na jej teren, ale radośnie zgadzam się z jej sugestiami. Chociaż raz.

– Poleciałam już twojej Towarzyszce Katji, by przygotowała ci kąpiel.

Katja? Prawie o niej zapomniałam.

Odwracam się, by mocno uściskać rodziców przed wbiegnięciem na schody, ale coś mnie powstrzymuje. Na ich widok odczuwam ulgę i podniecenie, ale wszystko jest jakby za łatwe. Ich przygotowania, Wawrzyny Archona, spokojna reakcja Jaspera. Uśmiecham się więc tylko do nich i macham ręką. Ale mój smród przypomina mi, że znów jestem Panną. Muszę też wytrzymać smród moich sekretów.

XXXVI
Aprilus 28
Rok 242 p. U.

Jedną chwilę – odpowiadam, słysząc pukanie do drzwi.

To chyba Katja. Odesłałam ją wcześniej, żeby móc w wannie cieszyć się samotnością; nauczyły mnie tego *siniki* spędzone poza Pierścieniem. Teraz jednak, gdy schodzą się goście na biesiadę, prawdopodobnie chce sprawdzić, czy przed zejściem na dół nie potrzebuję pomocy.

Muszę się pospieszyć i ukryć ołtarzyk oraz amulet; gdy zostałam sama, nie mogłam się oprzeć chęci popatrzenia na moją zdobycz. Pragnienie ponownego uczynienia Elizabet osobą realną było aż zbyt wielkie. Wsuwam jej ołtarzyk ponownie do plecaka i zakopuję pod stosem mojej śmierdzącej Próbami bielizny. Wyobrażam sobie, że wystarczą smród i brud, by zabezpieczyć tablet na dzisiejszą noc przed wszystkimi włącznie z Katją, której wydam polecenie, by ich nie tykała. Później znajdzie się coś lepszego.

Wieszam amulet na szyi i kryję go pod suknią biesiadną. Chcę mieć Elizabet blisko – w końcu to także jej noc. Spojrzawszy w dół, cieszę się, że pretensjonalne wzory, jakie matka wyszyła mi na przodzie sukni, maskują amulet. Muszę pamiętać o tym, żeby podziękować matce za ozdobną suknię, musiała nad nią pracować podczas całej mojej nieobecności.

– Wejść! – wołam.

Drzwi się otwierają, ale zamiast Katji wchodzi Lukas.

Wstaję i uśmiecham się dość głupio. Chwytając go za dłonie, mówię bez zastanowienia:

– Od chwili, w której zobaczyłam cię na miejskim rynku, nie mogę się doczekać rozmowy z tobą. Jak mogę ci podziękować za to, czego mnie nauczyłeś? Gdyby nie twoje szkolenie, nie przetrwałabym tam, a cóż dopiero mówić o zwycięstwie. Byłeś ze mną poza Pierścieniem, Lukasi... W każdej chwili.

Odpowiada mi uśmiechem, a uścisk jego dłoni jest mocny i pełen ciepła.

– Dziękuję, Ewo, ale to ty sama tego dokonałaś. Jestem ogromnie rad, że zdobyłaś Wawrzyny, ale jeszcze bardziej cieszy mnie twój powrót.

– Mnie też – odpowiadam.

Milknijemy na chwilę. Wiele jest do powiedzenia, ale nie bardzo wiem,

od czego zacząć. Może on czuje to samo. A może to sprawa tkwiącego w nim od zawsze spokoju Pogranicza.

– Przyszedłem się pożegnać, Ewo.

– Pożegnać? Przecież dopiero wróciłam. Mam teraz trzydzieści dni na cieszenie się domem, zanim będę musiała odejść, by uczyć się z Archonami. Chciałam omówić z tobą każdy szczegół tych Prób.

Odsuwa się nieco ode mnie.

– Nie chodzi o ciebie, Ewo. To ja odchodzę. Twój rodzice uprzejmie pozwolili mi z tym poczekać do twojego powrotu. Jutro wracam na ziemię Pogranicza. No, przynajmniej nie dostanę nowego skierowania.

– Nie! Mam ci tak wiele do powiedzenia! Jak oni mogli mi to zrobić?

– Wszystko zgodnie z Prawem. Dobrze o tym wiesz. Zrobili mi uprzejmość, pozwalając mi tu zostać tak długo. Mogłem każdego dnia brać udział w Zgromadzeniach i dowiadywać się, jak sobie radzisz.

Wiem, że ma rację, choć wydaje mi się to niesprawiedliwe.

Powodowana impulsem obejmuję go i ściskam. W pierwszej chwili sztywnieje, ale potem rozluźnia się i oddaje mi uścisk. Rozdzielamy się i w tejże chwili spostrzegam, że z mojego plecaka spod stosu foczych skór wystaje róg ołtarzyka Apple'a. Musiałam dość niedbale zamknąć worek. Ukradkowo próbuję wkopać go pod stos.

– Co to jest, Ewo?

– A, to resztki mojego wyposażenia do Prób.

Próbuje podejść bliżej, ale stoję pomiędzy nim a stosem.

– Nie zbliżałabym się. Moja używana przeze mnie podczas Prób odzież nie pachnie zbyt przyjemnie. – Próbuję żartem odwrócić jego uwagę.

Gdy się pochyła, by dotknąć ołtarzyka, odsuwam jego dłoń.

– Przestań, Lukasiu – ostrzegam go.

To dopiero trzeci raz, gdy cokolwiek mu kazałam, a przecież jest moim służącym. Spod zwykłej dla niego maski obojętności błyska niedowierzająco oczami.

Próbuje jeszcze raz, a ja wtedy sięgam po ołtarzyk i zamykam go w ramionach. Czuję, że rozbłyska w świetle mojej nocnej lampki, surrealistycznym i niemal magicznym lśnieniem w skutym lodami Gnieździe.

– To ołtarz Apple'a, prawda? – szepcze Lukas.

– A ty skąd wiesz? – Bardzo niewielu ludzi widziało taki ołtarzyk nawet jako rysunki w książkach. A Lukas nie umie czytać po łacinie.

– Wiem więcej o ołtarzach Apple'a, niż myślisz.

Mierzę go gniewnym wzrokiem. Nagle staje mi się jakby obcym człowiekiem. Ale bardziej jestem na niego wściekła niż przestraszona jego przerażającą przechwałką.

– Niby co wiesz?

– Jeśli ci powiem, znajdziesz się w niebezpieczeństwie. Proszę, Ewo, oddaj to.

– Nie. To jest moje. Mam na myśli... to należy do Elizabet. I nie mogę tego wydać Triadzie, bo natrafiłam na to znalezisko, gdy Próby już się skończyły. Wiesz, co oni mogliby mi zrobić.

Odwraca się do mnie i mierzy mnie ostrym wzrokiem.

– Nie mam na myśli tego, żebyś wydała to Triadzie. Daj to mi, Ewo. Proszę. – Używa słowa „proszę”, ale nie jest to prośba. To rozkaz.

Cofam się o krok. Dlaczego on tak do mnie mówi?

– Tobie? Dlaczego miałabym oddać to tobie? Jeżeli już, to powinnam oddać tablet Triadzie.

Podchodzi do mnie blisko, bardzo blisko. Jego pierś i raniona są jak lodowa ściana.

– Czy nie rozumiesz, że działam dla twojego bezpieczeństwa? Czy kiedykolwiek prosiłem cię o coś, co nie miałooby na celu zapewnienia ci ochrony?

Kręcę głową, bo nie mogę nic takiego powiedzieć.

– Więc zaufaj mi, proszę.

– Lukasiu, nie jestem tą samą naiwną Panną, która wyruszyła, by poddać się Próbom – szepczę. – Jestem mocniejsza, niż byłam, i bardziej przebiegła. Nie zamierzam oddać tego Apple'a tylko dlatego, że chroniłeś mnie w przeszłości. Podaj mi jakiś ważny powód.

Przez chwilę widać, że Lukas się waha.

– Ewo, ten ołtarz nie jest tym, za co go uważasz. Jeżeli pozwolisz mi go zatrzymać aż do pierwszego dzwonu po świcie, obiecuję, że ujawnię ci jego sekrety. Sekrety Elizabet.

Sekrety Elizabet? O czym on mówi, na bogów?

Słyszę okrzyk ojca ze schodów:

– Ewo, twoi goście czekają.

Nie wiem, co robić. Muszę zrozumieć, o czym mówi Lukas, wiem jednak, że jeśli teraz nie zejdem na dół, ktoś tu po mnie przyjdzie. I odkryją tak liczne pogwałcenia Prawa, że odbiorą mi Wawrzyn i skazą na śmierć. Chcę zaufać Lukasowi. Eamon ufał mu bezwzględnie. Podczas Prób i ja polegałam bez reszty na Lukasiu.

Ufałam też Jasperowi, on zaś okazał się wobec mnie nie do końca uczciwy. A teraz stwierdzam, że Lukas, jedyna osoba w moim życiu, na której zawsze mogłam polegać, nagle ma sekret i bluźnierczą wiedzę. Bardziej jednak niepokoiło mnie to, że wydawał się niezwykle martwić o mnie – w znacznie większym stopniu niż wtedy, gdy przygotowaliśmy się do Prób. A stawka jest niezwykle wysoka: mówimy o Elizabet i jej ołtarzu Apple'a. Zadaję mu więc jedno pytanie, na które wciąż jeszcze mam czas:

- Sugerujesz, że moja kronika jest fałszywa?
- Chciałbym, Ewo, żeby tylko o to chodziło.

Z ciężkim sercem schodzę do wielkiej sali. Choćby na tę jedną noc chciałam czuć radość i mieć dobry humor, ale uniemożliwia mi to świadomość, że ołtarzyk Apple'a ma Lukas. Może i na zawsze. Niestety, czeka mnie udział w biesiadzie i szybko wchodzę w rolę Panny, jakbym nigdy nie wykraczała poza Pierścień. Nieśmiałym uśmiechem kwituję komplementy ciotek i wujów. Klękam przed Basilikonem, który błogosławi mnie świętą wodą Uzdrawienia. Stoję cierpliwie, gdy w toastach wznoszonych za moje zwycięstwo biesiadnicy opróżniają jedną po drugiej szklanice miodu. Patrzę, jak nasi goście pakują w siebie ogromne ilości świętej żywności. Stoję też i słucham, jak moje relikty i kronika stają się legendą.

Brzmi to tak, jakby wszyscy wierzyli, iż znają moją Elizabet. Rozmawiają o jej życiu tak zaborczo, jakby była ich odkryciem, a nie moim. Irytuje mnie to i podświadomie dotykam amuletu ukrytego pod koszulką.

– Węzełek na szwie, moja droga? – pyta matka.

Nic nie uchodzi jej badawczemu spojrzeniu. Moje starcie z Lukaszem tak mnie rozproszyło, że zapomniałam podziękować matce za suknię.

– Och nie, mamo. Jest wspaniała. Nie wiem, jak ci dziękować.

– Wystarczy, że jesteś tutaj i wyglądasz tak pięknie i zdrowo; innych podziękowań mi nie trzeba – odpowiada bardzo uprzejmie i łagodnie. Zupełnie nie jak dawniej.

Czuję nagły przypływ sympatii do matki i mocno ściskam jej dłoń.

– Tak czy inaczej, dziękuję. Czuję się jak prawdziwa Dama.

Uśmiecha się i odpowiada mi równie ciepłym uściskiem.

– I tak też wyglądasz.

Biesiadna konwersacja szybko się rozwija, a ja z matką odwracamy się do bardzo ożywionego Jaspera. Cieszy gości opowieściami z Prób, wtrącając beztrąsko opisy momentów, które zapamiętałam jako bardziej ponure. Wykorzystuję chwilę, by zerknąć na Lukasa. Stoi pod ścianą z innymi Służącymi, jakby nic między nami nie zaszło. Czekają, by nam usłużyć, jak każdego innego dnia. Jak może zachować taką obojętność, gdy na myśl

o sekretach Elizabet mój własny żołądek wywija kozła, a serce wali niczym młot?

Czy w istocie powinnam zaufać mu na tyle, żeby powierzyć mu mój ołtarzyk Apple'a? Nie mogę się już wycofać.

Zwracają moją uwagę powtarzane wokół słowa „piżmowy wół”. Schwytawszy moje spojrzenie, Jasper uśmiecha się i kontynuuje swoją opowieść:

– Więc tak, widziałem, jak Ewa sama wyciągnęła to zwierzę z tajgi. Wytaszczyła piżmowego wołu!

Jedna z ciotek sapie z wrażenia. Pozostali goście wybuchają śmiechem na myśl o Pannie Ewie ciągnącej samej przez knieję jedno z najcięższych leśnych stworzeń. Śmieję się razem z nimi, ale czuję się dość dziwnie. Czyżby Próby zostały ufundowane wyłącznie po to, by zabawić mieszkańców Nowej Północy? Zastanawiam się, co teraz robią rodziny Tristana i Andersa. Z pewnością się nie śmieją.

Służący podają miód, owoce i moje ulubione ciasta. Jestem pewna, że specjalnie zamówiła je dla mnie matka, ale mają zbyt słodki smak. Jakoś niezbyt mi pasują. Przesuwam je po krawędzi talerza, dopóki nie zabrzmie dzwon na Wieczorną Pieśń.

Wszyscy goście wstają, nawet Strażnicy Prawa, Archonowie i Basilikonowie, którzy nie muszą odchodzić z dzwonami. Zgaduję, że każdy na Nowej Północy przywykł do rytmu dni określanego przez Campanę.

Zajmując miejsce przy drzwiach wejściowych, by wypowiedzieć słowa pożegnania, zdaję sobie nagle sprawę z tego, iż wszyscy czekają w kolejce, by otrzymać moje błogosławieństwo *Vale* – nie mojego ojca. W ciągu jednego dnia władza przeszła z rąk ojca w moje. Moje: Ewy! To niesłychane!

Gdy drzwi wreszcie się zamykają, padam w czekające na to ramiona ojca.

– Moja najdroższa, musisz być skonana. Dlaczego nie miałabyś się położyć do łóżka? Jutro i tak będziemy mieli dość czasu, żeby porozmawiać o przyszłości.

– O przyszłości? Myślałam, że moja jest już ustalona. Wiesz, Wawrzyn Archona i tak dalej...

– No... Teraz trzeba pomyśleć o Jasperze – odpowiada.

Zaledwie zdobyłam Wawrzyn, a oni już mówią o moich perspektywach małżeńskich. Nie jestem bardzo zaskoczona. Ale w tej chwili jest to nieco trudne. Szczególnie że nie bardzo wiem, co sądzić o Jasperze poza tym, iż

jest dobrym kompanem.

– Jasperze? Nie miałam czasu o tym pomyśleć.

– Oczywiście, że nie, Ewo – wtrąca moja matka. – Będzie jeszcze mnóstwo czasu na rozpatrzenie oferty Jaspera.

Oferta. Od tego słowa zakreśliło mi się w głowie. Czy została już złożona? Nie ośmieliłam się zapytać. Nie jestem gotowa na to, żeby usłyszeć szczegóły.

Matka przekazuje mnie Katji, mówiąc:

– Połóż Ewę do łóżka. Musi odpocząć przed tym, co ją czeka w najbliższych dniach.

Gdy ruszam schodami w górę, woła mnie ojciec.

– Jeden ostatni uścisk, Ewo?

Może i on zdaje sobie sprawę z tego, że zmienił się ośrodek władzy? Może chce choć przez chwilę myśleć o mnie jak o małej dziewczynce. Podbiegam po schodach i wtulam się w ojcowskie ramiona. Dopiero wtedy zdaję sobie sprawę z tego, że przez cały czas pod ścianą stał Lukas przysłuchujący się naszej rozmowie.

XXXVIII
Aprilus 28 i 29
Rok 242 p. U.

Jak mogłabym zasnąć? Jestem śmiertelnie zmęczona, ale mój umysł nie może odpocząć. Co Lukas chciał mi powiedzieć? Że Próby to lipa i że Eamon zamierzał to ujawnić? Sama już zaczynam w to wierzyć. A może chodziło mu o coś zupełnie innego?

Przez wiele chwil siedzę w tej ciasnej sypialni, niczego nie robiąc. Nie znoszę już gorąca; moje ciało przywykło do głębokiego zimna. Zzuwam z nóg kamiksy i nakładam foczą opończę na nocną koszulę. Ostrożnie uchylam drzwi sypialni i wyglądam na korytarz. Nie dostrzegłszy żadnego ruchu, na czubkach palców schodzę korytarzem wiodącym do wyjścia z wieżyczki.

Ciężkie drewniane drzwi skrzypią głośno, gdy na nie napieram. Nieruchomieję na chwilę pewna, że ktoś się obudzi i mnie przyłapie. Ale niczego nie słyszę, więc pcham dalej. Moje kamiksy ślizgają się na dobrze mi znanych spiralnych schodach, więc siadam na twardej, kamiennej ławie przylegającej do ściany wieżyczki.

Noc jest zimna, błękitna i cicha, ale daleko jej do śmiertelnego chłodu, jakiego doświadczałam na zewnątrz Gniazda.

Owijam się jak kocem moją opończę z foczej skóry i po kilku chwilach czuję się dość wygodnie. Przez kilka dzwonów zapisuję minione dni w dzienniku.

Czekam aż do nadejścia świtu, gdy pierwsze promienie ukazują się nad krenelażem krawędzi wieżyczki.

Na mój widok Lukas podskakuje w miejscu.

– Jak długo tu siedzisz, Ewo?

– Nie tak znów długo. Od kilku dzwonów – kłamię, wstając, żeby spojrzeć mu w twarz.

– To jednak dość długo w tak mroźną noc jak ta.

– Nie dla kogoś, kto był poza Pierścieniem, Lukasiu.

– Masz rację. Czasem zapominam, że naprawdę tam byłaś.

Ma nieco smutną minę. Jakby to było jego winą, iż podeszłam do Prób. Ale nie mam już cierpliwości do jego tak zwanych sekretów.

– Co chcesz mi powiedzieć? Będiesz mówił o moim ołtarzu Apple’a?

– Myślę, że lepiej byłoby pokazać niż opowiedzieć.

Wciąż odpowiadał niejasno, co mnie irytowało.

– Rozmyślnie chcesz mnie zbić z tropu? Wiesz, czym ryzykuję?

– Oczywiście. Trzeba ci jednak zrozumieć: to nie jest tym, co myślisz.

Nauczono cię w szkole, że to dyptyk, składany ołtarzyk podobny do tych, jakie wielu mieszkańców Nowej Północy trzyma w domach, by modlić się do swoich bogów. Z tym, że oczywiście ludzie żyjący przed Uzdrawieniem korzystali z nich, żeby się modlić do fałszywego boga Apple’a. Tak?

– Tak.

Dlaczego mówi rzeczy oczywiste? Przecież to wie każdy uczeń mieszkający w Gnieździe.

– To jest coś, co nazywano komputerem.

– Komputerem?

Nigdy przedtem nie słyszałam tego terminu. Teraz mówił bzdury.

– To urządzenie techniczne, dzięki któremu ludzie żyjący przed Uzdrawieniem otrzymywali obrazy i informację.

– Otrzymywali informację od fałszywego boga Apple’a?

Trzymając w dłoni ołtarz, Lukas podchodzi bliżej.

– Nie, Ewo. To urządzenie pozwalało odbierać informację przekazywaną przez innych żyjących przed Uzdrawieniem ludzi. Nie używali go do modlitw. Używali go do komunikacji. Tak jak my używamy gołębi pocztowych. Niełatwo to wyjaśnić, może po prostu ci pokażę. – Zaczął otwierać ołtarz i naciskać jego krawędzie.

– Co ty wyprawiasz? – wołam.

Instynktownie sięgam po relikw. Nie chcę, by obchodził się z nim tak szorstko.

Lukas delikatnie odsuwa moją dłoń.

– Włączam to. – Odrywa wzrok od ołtarza i spogląda na mnie. – Ewo, to urządzenie czerpie energię ze słońca. Ładuje się od świtu. Popatrz tylko.

Staję obok niego, by lepiej móc widzieć powierzchnię ołtarzyka. Nadal nie mam zupełnie pojęcia, co on ma na myśli, mówiąc o „włączaniu”, domyślałam się jednak, że powinnam poczekać i zobaczyć, co się stanie. Po kilku chwilach powierzchnia ołtarzyka ożywa plataniną barw. Tłumię okrzyk zaskoczenia i odskakuję. To zło, tak jak mnie uczono. Czerpie moc nie od bogów – od Ziemi, Słońca czy Księżycy – ani nie z Prawa. To Tech. Mam okropne przeczucie, że obserwując tę moc, muszę umrzeć.

Lukas wyciąga dłoń i mnie wspiera.

– Ewo, nie ma się czego bać. To właśnie miałem na myśli, mówiąc o włączeniu komputera. Za kilka chwil zobaczymy, jakie zawiera w sobie obrazy.

Mogę jedynie patrzeć. Jestem sparaliżowana strachem. Powierzchnia ołtarza powleka się błękitem. Zaczynają się na niej pokazywać wizerunki konstelacji. Jak może się na tym odbijać nocne niebo? Nieświadoma, co czynię, wyciągam dłoń, by ich dotknąć. Sprawdzić, czy są prawdziwe.

Lukas chwyta mnie za dłoń, zanim ta dotknie powierzchni.

– Wstrzymaj się. Po tak długim leżeniu w lodzie rzecz jest bardzo delikatna. Nie chcemy jej zepsuć, zanim zobaczymy, co jest w środku.

– Zamierzamy to otworzyć?

– Nie. Nie chcę tego otwierać. Popatrzmy na ekran.

– Ekran?

Od wszystkich tych nowych terminów zaczyna mi się kręcić w głowie. Skąd zna je Lukas? I dlaczego nigdy przedtem mi o nich nawet nie wspomniał?

– Chodzi o to, co nazywasz obliczem ołtarza – wyjaśnia.

Zaczyna naciskać jakieś niewielkie kwadraciki po drugiej stronie artefaktu i po chwili na powierzchni pojawia się prostokąt. Lukas ponownie muska ołtarzyk i wyłania się twarz Elizabet.

– Na bogów! To Elizabet!

Widok jej twarzy wprawia mnie w takie podniecenie, że niemal zapominam o strachu.

Lukas kładzie dłoń na moich ustach, ale nie udaje mu się stłumić mojego głosu.

– Chcę ją zobaczyć – mamroczę.

– A będziesz cicho?

Kiwam głową i Lukas cofa dłoń. Wpatruję się w wizerunek. Jasne włosy, piwne oczy i muskularne członki, dokładnie takie jak wszystkie obrazki z jej różowej sakwy.

– To naprawdę ona. Wygląda jak te wizerunki w książce Baletu Kirowa – mówię.

– A chciałabyś usłyszeć, jak mówi?

– Mówi? Potrafiłbyś sprawić, żeby przemówiła? – Podniecam się jak dziecko. I tak się czuję. Jakby sama moja chęć ożywienia Elizabet miała moc sprawczą.

Zawsze pokorny Lukas nieco się nadyma.

– Tak myślę. Pozwól mi spróbować.

Ponownie naciska „ekran” i Elizabet się porusza. Mówi drżącym głosem i choć jej angielski jest dziwnie akcentowany, brzmi wyraźnie i zrozumiale. Po jej twarzy spływają łzy. Mówi wprost do komputera:

– Robercie, jesteś tam? To ja, Elizabet. Modłę się, żebyś dostał tę wiadomość. Nasze połączenie słabnie, w miarę jak coraz wyżej unoszą się wody oceanu. Czy masz jakąś łączność z internetem? Od ostatniej nocy niczego od ciebie nie otrzymałam...

Wstrzymuję oddech. Świat się skurczył do tej cudownej wizji. Elizabet przerywa, by otrzeć łzy z twarzy. Jej oczy są jasne i bardzo błękitne.

– Mój *kultanen*⁴, zachowałam twoją wiadomość. – Pociera zwisający z jej szyi amulet. – Mam ją tu, blisko serca. Nieważne, co się wydarzy. Kapitan powiedział mi wreszcie, dokąd zmierzamy. Płyniemy prosto na północ, gdy tylko wydostaniemy się z Bałtyku na Morze Północne. Zmierzamy do pewnej samotnej wysepki na Oceanie Arktycznym; kapitan twierdzi, że to miejsce będzie bezpieczne, gdy wody się uniosą. Tam będzie na mnie czekać moja rodzina. – Kręcąc głową, Elizabet mówi: – Wciąż usiłuję wyciągnąć jakiś sens z tego, co mi powiedział. Mam na myśli to, skąd wiedział, że moja rodzina wybierze się na tę arktyczną wysepkę? Skąd wiedzieli, iż tam będą bezpieczni? Stopienie lodowych biegunowych czap nastąpiło tak szybko. Co kazało im opuścić swój bezpieczny fiński pałac prawie tydzień przed początkiem katastrofy? Kapitan powiedział, że mój ojciec i mężczyźni z kilku innych rodzin byli tam, ponieważ pracowali nad wspólnym projektem dotyczącym wydobycia ropy naftowej z pól wokół tej arktycznej wyspy. Ale wciąż nie tłumaczy to czynnika czasowego.

Otworzywszy szeroko oczy, odwracam się do Lukasa, on jednak tylko przykłada palec do ust i marszczy w skupieniu brwi.

Elizabet uśmiecha się nie bez smutku w spojrzeniu.

– Ale wiesz, jaka jestem, nie chciałam opuścić Kirowa aż do ostatniej chwili. Musiałam zatańczyć *Bajaderę* w Teatrze Maryjskim, choćby świat się walił i palił. Musiałam sięgnąć po tę sławę i chwałę, prawda? Głupia dziewczynka, nie? No, przynajmniej uparta. – Przystaje się uśmiechać. – A czy ty dostałeś się na łódź, mój *kultanen*? Wiesz, na tę, która miała cię zabrać do Helsinek? – Muska palcem zwisający z jej szyi amulet i ponownie zaczyna płakać. – Modliłam się, żeby ci się udało. Miałam nadzieję, że twoje milczenie oznacza, iż jesteś bezpieczny na pokładzie tego statku i po prostu nie masz łączności. I wkrótce już będziemy razem. – Mruży powieki, a jej źrenice ciemnieją. – Nigdy nie wybaczę moim rodzicom tego, że nie zabrali cię na swój statek. Zawsze wszystko chcieli kontrolować, a to jest złe.

Nigdy...

W tejże chwili twarz na ołtarzu – na ekranie komputera – ciemnieje i znika.

Lukasie, co się stało?

Chwytam go za ramię. To nie może być koniec. Muszę usłyszeć, co się stało z Elizabet. Co się stało naprawdę; nie chodzi mi o to, co wyśniłam dla mojej kroniki.

– Bateria wysiadła, Ewo. Muszę ją znów naładować ze słońca.

Bateria? Ładowanie ze słońca? Mówi jakimś innym językiem. Prawdopodobnie tak samo się czuje, gdy my – mieszkańcy Gniazda – w jego obecności mówimy i czytamy po łacinie.

– O czym ty mówisz?

– Niełatwo to wyjaśnić. Muszę dziś ruszyć na ziemie Pogranicza. Jeżeli pozwolisz mi wziąć to ze sobą, może uda mi się odtworzyć resztę historii Elizabet.

– Jak, w imię bogów, przeniesienie tego reliktu na ziemie Pogranicza pomoże w odtworzeniu historii Elizabet? – pytam, nie potrafiąc ukryć dzwięczącej w moim głosie irytacji.

Postępuje nieracjonalnie. Próbuje mnie nabrać. Mieszkańcy Pogranicza są urodzeni na Nowej Północy – nie zostali wybrani przez bogów jak Założyciele. To ludzie dzicy i zdesperowani, poza tymi, których wybrano, by służyli w domach Gniazda. Dlatego właśnie potrzebują wsparcia i struktury władzy Gniazda. Nie są tacy jak Lukas.

– Ewo, ziemie Pogranicza nie są takie, jak myślisz. Mieszkańcy tych ziem też są inni, niż sądzisz. – Odrywając wzrok od ołtarza, patrzy na mnie. – Ewo, Tech nie umarła na ziemiach Pogranicza. Po Uzdrawieniu, kiedy została zabroniona, my, ludzie Pogranicza, ukryliśmy ją pod ziemią i zachowaliśmy. Mamy tam narzędzia, dzięki którym naprawimy twój komputer.

Blednę na twarzy.

– G-g-gwałćcie Prawo? – jąkam się.

– Owszem. Moi ziomkowie nauczyli się dochowywania sekretów. To część naszej historii.

– Lukasiu, Tech jest zła! Nie boicie się jej? Nie boicie się Apple'a?

Lukas odejmuje dłonie od ołtarza i zamyka je na moich.

– Ewo, Tech sama w sobie nie jest zła. Zło pochodzi z rąk, które nią kierują. A Apple nie jest bogiem ani demonem, niezależnie od tego, co ci mówiono. Żyjący przed Uzdrawieniem ludzie nigdy nie uważali Apple'a za boga. Apple jest po prostu symbolem ich techniki.

Nie mogę się zmusić, żeby na niego popatrzeć. Spoglądam na jego dłonie. Jeśli żyjący przed Uzdrawieniem ludzie nie uważali Apple'a za boga, to moja kronika jest fałszem. Ale jak mogłaby być prawdziwa? Chcę mu wierzyć, choć sprzeciwia się to wszystkiemu, czego mnie uczono. Jest przeciwko wszystkiemu, czego uczono na Nowej Północy.

– Chcesz powiedzieć, że wszystko, w co wierzyłam, jest fałszem?

– Po części tak.

Zaciskam mocno powieki. Nic już nie ma sensu. Nie mają sensu moje spekulacje dotyczące Elizabet i życia przed Uzdrawieniem. Fałszywa jest moja wiara w Tech i złego boga Apple'a. Fałszywi są Strażnicy Prawa, Basilikonowie i Archonowie. Fałszywe jest samo Prawo.

– Jeżeli pozwolę ci wziąć tę... tę rzecz na ziemi Pogranicza, jak będę mogła znów ją zobaczyć? Nie ma gwarancji, że twoja następna misja ponownie nas ze sobą zetknie.

– Mogłabyś po prostu przyjść do mnie?

Otwieram szeroko oczy.

– Poważnie?

– No nie mów... Panna, która pokonała tajgę, tundrę i Zamarznięte Brzegi, nie da sobie rady na ziemiach Pogranicza?

Zaciskam usta.

– Lukasiu, nie mam nastroju do żartów.

Na jego twarzy nie widać śladu humoru.

– Ja nie żartuję, Ewo. Są drogi wiodące w głąb Pogranicza, które nie wymagają wspinaczki na Pierścień ani przechodzenia pod Bramami. I oprócz tego po tych wszystkich historiach, jakie słyszałem o tobie od stryja, sądzę, że dasz sobie radę ze szlakiem, o którym myślę.

– Twój stryj?

Każde wyjaśnienie, jakie podsuwa mi Lukas, coraz bardziej zbija mnie z tropu.

– Ten Pograniczny Wspinacz z białym pasmem włosów. Prosiłem go, by cię pilnował.

Więc to Lukas kazał mnie chronić, dociera do mnie. Nie mój ojciec.

– Dlaczego mi pomagał?

Lukas się uśmiecha.

– Więc tu przyjdiesz? Na ziemie Pogranicza?

– Mimo że mogę zostać wygnana za samą próbę? – pytam.

Po tych odległościach, jakie pokonałam za Pierścieniem, by zdobyć Wawrzyn Archona i żeby uporać się z żałobą po Eamonie, czy Lukas naprawdę chce, abym naraziła się na niebezpieczeństwo? Mogłabym równie dobrze pożegnać go i odejść.

– Nie sądzisz, że prawda warta jest ryzyka? – pyta.

XL
Maius 20
Rok 242 p. U.

Nad swoją pochyloną głową słyszę słowa Wielkiego Basilikona dźwięczące pomiędzy nietkniętymi dłutem ścianami pieczar Basiliki – najświętszego miejsca w Gnieździe.

Nie da się wejść do jego masywnego, potężnego wewnętrznego sanktuarium, nie wyczuwając, że są tu i bogowie. Słońce – Jej promienie wlewają się przez wysoko nad głowami umieszczone okna. Ziemia: Jego treść zebrana w bryłę brązowego mułu służy za główny ołtarz Wielkiego Basilikona. Księżyc – łukowate wycięcia w ścianach naśladują Jego kształt w czasie nowiu. Nigdy bardziej niż teraz nie czułam obecności bogów.

Ale teraz, po raz pierwszy w życiu, mam ochotę krzykiem domagać się odpowiedzi.

– Tego ranka obdarzymy szczególnym błogosławieństwem naszego nowego Archona, Ewę. Wkrótce zajmie się swoim szkoleniem, a my poprosimy bogów o łaskę, by w trakcie nauki wsparli ją radą. Nowej Północy trzeba przywódcy kierującego się wskazaniem Prawa. – Głos Wielkiego Basilikona jest gorący jak buchająca z wrzątku para. Ogarniają mnie jego fale.

Słyszę, że ludzie stojący na tyłach komnaty zaczynają odpowiadać śpiewem:

– Bogowie, prosimy Was o błogosławieństwo...

– Archonie Ewo, możesz wstać – mówi Basilikon.

Słońce rozgrzewa moje policzki promieniami po przejściu przez wycięte w lodzie szybki. Wiem, że bogini daje mi sygnał, bym przerwała modły i stanęła twarzą w twarz z wiernymi.

Jak należy się spodziewać po Pannie i Archonie, uśmiecham się, licząc, że zostanie to uznane za podziękowanie za modlitwy podczas specjalnie dla mnie przeznaczonych ceremonii. W istocie niezależnie od moich obaw szczerze jestem im wdzięczna.

Na twarzach rodziców, ich przyjaciół i wszystkich innych widzę nadzieję na lepszą przyszłość dla Nowej Północy. A w twarzy Jaspera czytam nadzieję na przyszły związek. Wszędzie widzę prawdę i rozmaite historie.

Ale nie mogę dać im tego, czego po mnie oczekują. Jestem oszustką.

Dziś jest noc, na którą czekałam od dwudziestu jeden dni. Księżyc pokazał się w całej krasie po raz pierwszy od odejścia Lukasa. Mam w końcu dość światła, by potajemnie znaleźć drogę do ukrytego przejścia przez Pierścień.

Wygląda na to, że Lukas ma rację. Prawda warta jest ryzyka.

Minione dwadzieścia jeden dni niemożliwie się ciągnęły. Myślałam, że w życiu grałam już rozmaite role – byłam Panną, Kandydatką i współczującą siostrą. Ale tak naprawdę nie miałam pojęcia, co to znaczy grać jakąś rolę. Nie, aż do chwili, w której zostawiłam Lukasa na wieżyczce z moim reliktem Apple'a i zostałam zmuszona do udawania Ewy Archona, Ewy posłusznej córki i Ewy możliwej przyszłej narzeczonej. Choć wszystko się zupełnie zmieniło.

Dni tak zwanej wolności przed podjęciem przeze mnie szkolenia Archona stały się jakby dniami spędzonymi w więzieniu. Musiałam przestrzegać zasad rządzących domem moich rodziców, dyrektyw społeczności Gniazda i edyktów wydanych dla Panien przed zawarciem związku małżeńskiego. Musiałam udawać, że nie kwestionuję Prawa, zasad mojej społeczności, historii Uzdrawienia i prawdy o moich ludziach.

Podczas tych długich dni dowiedziałam się jeszcze, że nie jestem dobra w maskaradzie. W *sinikach* za Pierścieniem straciłam zdolność do prowadzenia podwójnego życia.

Tak więc obok oczekiwanych ode mnie obowiązków publicznych szukałam ucieczki w tym dzienniku i cichych miejscach Gniazda. Często korzystałam z dyptyku – w mojej sypialni i w przeznaczonych na modlitwy zakamarkach Basiliki. Za każdym razem było tak, jakbym się oczyszczała, szykując do rytuałów Archona. Pomagało mi też unikanie Jaspera. Nie chodziło po prostu o to, że nie umiałam się pogodzić z małżeńskimi planami. Od ostatniego *sinika* Prób czułam więź z Jasperem, której nie umiałabym nawet wyjaśnić. Związek mógł sobą prezentować wszystko, co było dobrego w życiu Gniazda. Od naszego powrotu był mi tak ogromnie pomocny, ukazując się u mojego boku podczas wydarzeń publicznych, posiłków i rozmaitych ceremonii. Ale nie byłabym zdolna przez dłuższy czas ukrywać przed nim zmiany, jaka we mnie zaszła.

Czuję się rozdarta. Wiem jednak, co mam robić, choć znaczy to, iż muszę zostawić wszystko, co znałam i kochałam. Ale mówię sobie, że nie mam wyboru.

Po wieczornym dzwonie wycofuję się do sypialni, pozwalając Katji, by mnie rozebrała i utuliła do snu jak dziecko. Po kilku chwilach ona zamyka za sobą drzwi, ja zaś wymykam się z łóżka i wdziewam mój uniform Kandydata. Będzie mi potrzebne jego ciepło na ziemiach Pogranicza.

Uchylając drzwi sypialni tak cicho, jak tylko się da, ruszam ostrożnie w kamiksach po korytarzu. Na wypadek, gdybym została przyłapana, mam przygotowaną wymówkę – idę na wieżyczkę, żeby odprawić ceremonię żałobną po Eamonie – ale gdy wspinam się po lodowych stopniach, nikt mi nie przeszkadza. Sięgając do kandydackiego plecaka, wyjmuję lodowy wkret i ostrożnie wciskam go pomiędzy kamienie wieżyczki.

Gdy jestem już bezpieczna, przeciągam linę przez uprząż i przez kółko przy wkrecie. Potem przerzucam ją przez krawędź obramowania wieżyczki i zsuwam się w dół.

Wszystko odbywa się zaskakująco łatwo. Jakbym była do tego stworzona.

Korzystając z miejsc pokrytych cieniem, jakim Księżyc osnuwa Gniazdo, przemykam od jednego mrocznego narożnika do drugiego. Na ulicy nie pokazuje się ani jedna dusza – ani mieszkańiec, ani budowniczy, ani nawet Wartownik. Wygląda na to, że Gniazdo jest pogrążone we śnie. Albo przynajmniej postępuje, jak przykazało Prawo.

Po dwóch dzwonach docieram do podstawy Pierścienia. By dojść do opisywanej przez Lukasa niewielkiej w nim przerwy, muszę jeszcze prześlizgnąć się przez rozległą płaszczyznę pokrytą śniegiem i lodem. Gdy obserwuję okolice, czekając na przejście Wartowników patrolujących krawędź Pierścienia, zdaję sobie nagle sprawę z tego, iż jest to miejsce, gdzie spadł Eamon. Oczami wyobraźni widzę pasmo krwi, które plami tę część Pierścienia, choć wiem, że dawno zostało zmyte.

Zatrzymuję się. Nie jestem pewna, czy powinnam iść dalej. Naprawdę mogę przejść po miejscu śmierci brata? Ale jakże nie iść dalej, skoro dotarłam aż tutaj?

Gdy tak rozmyślam, nad płaską krawędzią Pierścienia pojawia się cień pojedynczego Wartownika. Gdy światło jego migającej w miarę kroków latarni znika w mroku, zbieram się w sobie do biegu.

Szacuję, ile czasu potrzebuję, by dotrzeć do szczeliny, którą opisywał Lukas, ale nie widzę otworu wejściowego. Czyżbym go ominęła? Cofam się, ale wciąż nie mogę go znaleźć. Zaczynam panikować i rozważać możliwość powrotu do domu, gdy wreszcie dostrzegam czarny otwór w lodowej ścianie Pierścienia. Przeoczyłam go z rozpędu, ponieważ przypomina jedynie

wiosenną szczelinę w lodzie. Ale gdy przejrzeć się mu lepiej, widać, że można przezeń przeleźć w głąb. Lukas wspominał, iż przejście jest wąskie i niebezpieczne. Gdy się przepycham, stwierdzam, że przejście jest coraz ciaśniejsze. Ściany gniotą mnie w piersi i z trudem zaczerpuję tchu. Każdy zdrowy na umyśle dałby sobie spokój, uznając przedsięwzięcie za daremny wysiłek. Może dlatego mieszkańcom Pogranicza udawało się tak długo utrzymywać rzecz w tajemnicy.

I nagle bez żadnych wcześniejszych oznak przejście otwiera się szerzej. I tam, w podziemnej jaskini podstawy Pierścienia stoi Lukas. Ma krucze włosy, szerokie bary i wygląda mocniej, bardziej krzepko niż kiedykolwiek przedtem w Gnieździe. Stoi i czeka na mnie.

Bez słowa ujmuję moją dłoń i puszczamy się biegiem. Jest ciemno – mrok rozprasza jedynie *naneq* Lukasa. Powinnam się bać, ale nie czuję strachu. W końcu jestem wolna.

Droga jest długa i kręta; idziemy złowieszczo wyglądającą, niekończącą się ścieżką pod Pierścieniem, zamiast przechodzić górą. Powinnam czuć zmęczenie, ale mogłabym tak biec wiecznie – aż nagle i nieoczekiwanie ścieżka się kończy.

Dziwaczny tunel przewiercony przez Pierścień, nie wiedzieć za jaką cenę, kończy się w powietrzu. Lukas i ja stajemy na krawędzi urwiska. Gdyby nie podtrzymująca mnie dłoń Lukasa, runęłabym w dół ze skały. Jak mój brat.

Musimy ostrożnie zejść w dół. Sięgam do mojego plecaka Kandydata, ale okazuje się, że sprzęt jest niepotrzebny. Lukas gestem ręki wskazuje mi uchwyty na dłonie i wytopione w lodzie stopnie. Idąc za nim, opuszczam się na grunt Pogranicza.

Nie przypomina mi to niczego z tego, co mi mówiono. Wtulone w zagłębienie Pierścienia wydaje się miejscem niemal przytulnym. Małe, miłe z wyglądu domki z lodu, kamienia i drewna przylegają do ściany dla maksymalnej ochrony przed kąśliwymi wiatrami. Niezbyt szerokie dróżki łączą rozmaite struktury, a w środku całości umieszczono niewielki miejski rynek – niezbyt różniący się od tego w Gnieździe, oczywiście o innych rozmiarach.

Nigdy przedtem, z wyjątkiem Prób, nie wkraczałam na ziemię Pogranicza – odwiedziłam tylko kilka małych chatek nieopodal Bramy. Tamte domeczki – zaniedbane i prawie zapadające się pod ciężarem dachu – w ogóle nie przypominały widzianego przeze mnie teraz niewielkiego, porządnie utrzymanego miasteczka. Miały ponury, opisywany w podręcznikach niecywilizowany wygląd ziem Pogranicza, jakby zbudowali je prymitywni ludzie niezdolni do tego, by samodzielnie się rządzić. Wymagający pomocy i wsparcia ze strony Gniazda. Nie umiem teraz powstrzymać się od myśli, że może te nędzne chatynki specjalnie

wybudowano przy Bramie, by zrodzić takie właśnie mniemanie. Zastanawiam się, czy w nich w ogóle ktoś mieszkał.

Lukas w ogóle nie stara się ukryć naszego nadejścia. Jego *naneq* zatacza szerokie łuki, daleko rozsiewając światło.

– Nie martwi cię, że ktoś może mnie zobaczyć? – pytam.

– Skoro już tu jesteśmy, to nie. Wartownicy nigdy nie przechodzą na tę stronę Pierścienia. A żaden mieszkaniec Pogranicza nigdy nie powie Wartownikom ani nikomu w Gnieździe, że tu byłeś.

– Nawet mimo iż łamię Prawo?

– Ewo, na Pograniczu nie postępujemy według zasad Prawa.

Zatrzymuję się i przez chwilę po prostu na niego patrzę.

– Nie?

Uśmiecha się niemal z politowaniem.

– Ewo, mieszkańcy Gniazda muszą nam na to pozwolić. Żyjemy, jak chcemy. Nie zapominaj: nasi myśliwi i rybacy dostarczają wam prawie całą żywność, jakiej nie hodujecie w Arce.

Nagle czuję potrzebę obrony Gniazda.

– My też pomagamy Pogranicznikom. Dajemy wam żywność z Arki i ubrania.

– Bierzemy to, co nam dajecie. Ale tak naprawdę tego nie potrzebujemy. Mój lud od tysiącleci żył na tej albo na podobnej ziemi. Uwierz mi, wiemy, jak przetrwać bez Arki albo Strażnic Odzieży.

– To dlaczego nie żyjecie w Gnieździe? Razem z nami?

– A niby dlaczego mielibyśmy to robić? Nie jesteście tam wolni, życie zgodnie z Prawem i tymi wszystkimi idiotycznymi zasadami. – Zanim docieramy na wiejski rynek, milknie na chwilę, przelotnie dotykając mojej dłoni. – Wiem, że trudno ci to zrozumieć.

Mam tak wiele pytań.

– Jeżeli nie chcecie mieć nic wspólnego z Gniazdem, dlaczego twoi ziomkowie rywalizują o przywilej pracowania dla nas w charakterze Towarzyszy Pogranicza i Sług?

Lukas parska śmiechem.

– Tak ci mówiono? Że uważamy to za przywilej? To powinność i obowiązek, które muszą spełniać niektóre z naszych pogranicznych rodzin. Robimy to tylko po to, by zachować pokój, nie dlatego, że chcemy służyć. Mamy broń, ale jedynie mieszkańcy Gniazda posługują się bronią palną. Co prawda często się zastanawiam, czy z karabinami mogliby dotrzymać pola nam, ludziom uzbrojonym w *bola*, dziryty i łuki.

– Karabinami? Mówisz o reliktach, jakie znaleźli Aleksandr i Niels?

– Nie, Ewo. Nie mówię o reliktach, tylko o prawdziwych karabinach. Wartownicy Pierścienia mają prawdziwą broń palną.

Milknie na chwilę, jakby się zastanawiał, ile jeszcze może mi powiedzieć. Ile jeszcze wytrzymam.

– Ewo, uważamy, że Pierścień jest więzieniem mającym zatrzymać mieszkańców Gniazda wewnątrz. Nie może być inaczej.

Zatyka mnie tak, że przez chwilę nie mogę powiedzieć ani jednego słowa. Ziemię Pogranicza i ich mieszkańcy nie są tym, co mi mówiono.

Gniazdo też. I jednocześnie wiem dobrze, co miał na myśli. Użył tego samego słowa, nad którym zastanawiałam się od chwili, w której widziałam go po raz ostatni przed Próbami: więzienie.

Mijają nas idący w przeciwnym kierunku najwyraźniej na polowanie ciemnowłosi i ciemnoocy mężczyźni z *bola* i ostrzami przewieszonymi przez ramię. Biorę się w garść w oczekiwaniu na jakąś niezwykłą reakcję: nie każdego dnia Panny z Gniazda wędrują przez ziemię Pogranicza. Oni jednak kwitują moje przejście jedynie pełnymi szacunku skinieniami głowy.

Lukas spogląda na mnie, unosząc jedną brew.

– Mówiłem ci. – Wskazuje na niewielki, kryty gontami domek. Widok unoszącego się z kamiennego komina dymu sprawia, że robi mi się zimno. Zastanawiam się, jak czułabym się wewnątrz. – To mój dom. Jak ci się podoba?

– Ładny – odpowiadam szczerze.

– Mówisz tak, jakbyś była zaskoczona.

– Bo nie jest taki, jak opisywali te domki nauczyciele, prawda?

– Nie – odpowiada Lukas. – Nie jest.

Lukas pchnięciem dłoni otwiera jasnoniebieskie drzwi koloru ściany rozpadliny. Skąd oni wzięli farbę na pomalowanie drewna tak intensywnym kolorem?

– *Aanak!* – woła. – Jesteśmy!

Na powitanie z chatki wychodzi stara, zgarbiona i pomarszczona kobieta. Jej włosy są niemal całkowicie białe, ona zaś zawiązała je w skomplikowany koński ogon na czubku głowy – nie taki, jaki nosiłam podczas Prób – umocowała je zaś pięknie rzeźbionym grzebieniem z kości wieloryba. Nigdy wcześniej nie widziałam nikogo z taką liczbą zmarszczek na twarzy; mieszkańcy Gniazda nie żyją wystarczająco długo, by się aż tylu dorobić. Staruszka uśmiecha się do mnie, jej twarz rozjaśnia się i nagle robi się piękna. Przypomina mi Nianię Agę. Zastanawiam się, czy i ona tu jest,

w tym małym, miłym pogranicznym miasteczku. Chciałabym ją znów zobaczyć.

– Ewo, tak się cieszę, że cię widzę. Jestem babką Lukasa, matką jego ojca.

– Och... – Gdzie moje panięskie maniery? Dygam pięknie i mówię: – Miło mi panią poznać.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Twoja rodzina dobrze dbała o Lukasa, gdy służył jako Towarzysz twojego brata, a dla mnie to bardzo wiele znaczyło. Widzisz, wychowywałam go od dziecka, od chwili, w której stracił rodziców podczas wypadku na polowaniu.

Kiwam głową, przetykając ślinę. Nie wiedziałam, że jego rodzice nie żyją, chyba nigdy o to nie pytałam. Myślę, że to tylko jedna z bardzo wielu rzeczy, o których nie wiedziałam.

Aanak Lukasa sięga po moje dłonie i oplata powykoślawiane palce wokół moich. Wydaje się, że wyczuwa moje zmieszanie i stara się zmienić temat rozmowy.

– Słyszałam o tobie wiele miłych rzeczy od Lukasa. I oczywiście jestem zaszczycona, mogąc powitać w moim domu *angakkuq*⁵.

– *Angakkuq*?

– Tak, *angakkuq*. No wiesz... szamana – dodaje w formie wyjaśnienia.

Jakbym wiedziała.

Ale słowo „szaman” znaczy dla mnie równie mało jak słowo *angakkuq* – i musi to się odbijać na mojej twarzy. Lukas pochyla się ku mnie i mówi wolno i wyraźnie:

– *Angakkuq* jest pośrednikiem pomiędzy tym światem a światem duchów. Jest poszukiwaczem prawdy. Przez całe jedno pokolenie czekaliśmy na nowego.

Aanak Lukasa musiało się coś pomylić; słyszałam, że zdarza się to ludziom w jej wieku.

Uśmiecham się pobłaźliwie i mówię:

– *Angakkuq*? Och nie, musiała mnie pani pomylić z kimś innym. Przyszłam tu tylko po to, żeby się dowiedzieć czegoś więcej o żyjącej przed Uzdrowieniem osobie, której relikwiarz znalazłam podczas Prób. Jestem nowym Archonem.

Uśmiecha się do mnie, jakby spodziewała się mojego sprzeciwu.

– Wiem, Ewo, że jesteś nowym Archonem. Byłam na miejskim rynku. Nie pomyłę cię z jakąś Panną, która wspina się na Pierścień, szukając poza nim swojego pogranicznego narzeczonego. – Śmiechem kwituje malujące się na

mojej twarzy zaskoczenie. – Nie wiedziałaś, że bywa, iż Panny z Gniazda opuszczają domy, szukając przyszłości na Pograniczu?

Gdy kręcę głową, mówi:

– Wcale mnie to nie dziwi. O takich odejściach zwykle się w Gnieździe nie mówi. Moja matka była jedną z takich Panien, zanim odeszła i została *angakkuq*.

Więc Lukas jest po części Założycielem? Zbieram się w garść i ripostuję:

– Cóż... Ja jestem tylko Archonem, nie *angakkuq*.

– Mogłoby się tak wydawać. Ale często nie rozumiemy naszego prawdziwego *anirniq*, naszego ducha, dopóki do nas nie przemówi. Zrozumienie prawdy o Elizabet Laine i jej życiu jako części twojej pracy w roli Archona jest tylko pierwszym krokiem do zrozumienia wielu innych tajemnic w odgrywanej przez ciebie roli *angakkuq*.

Uśmiecha się enigmatycznie. O czym ona mówi, na miłość bogów? Zerkam na Lukasa, ale ten odpowiada mi jedynie wzruszeniem ramion. Może mam rację. Może jej umysł zmurszał ze starości. Tak właśnie mówili moi rodzice o tym, co zdarzyło się Niani Adze, gdy któregoś dnia po prostu zniknęła.

– Zostawiam was, żebyście dowiedzieli się czegoś więcej o Elizabet Laine
– mówi, wychodząc z pomieszczenia.

Ogień ogrzał moje ciało. Mięśnie bolą mnie po długim biegu, ale nie czuję zmęczenia. Jak we śnie idę za Lukaszem w róg pokoju, gdzie na stole leży mój relikwiarz Apple'a.

Symbol Apple'a emanuje błękitną poświatą, a pasemko bardzo cienkiej czarnej linki łączy relikwiarz z innym, srebrnym pudełkiem. Do czego ono służy? Nie wygląda jak znane mi linki z focznej skóry.

– Potrafię to uruchomić – mówi Lukasz.

– Dzięki bogom – wzdycham. – Cieszę się, że tego nie zepsułeś.

Lukasz zerka na mnie z osobliwym wyrazem twarzy, ale się nie odzywa. Potem przez całą szerokość pokoju przeciąga do stołu dwa krzesła i oboje siadamy przed świetlistą powierzchnią. Lukasz muska palcem kilka kwadracików z boku i twarz Elizabet ponownie ożywa.

– Znalazłem jeszcze jedną wiadomość Elizabet i kilka książek, które przechowywała w komputerze. Pomyślałem, że zechcesz zobaczyć wszystko.

Kiwam głową. Mam gardło suche jak garść pieprzu.

– Mamy dość czasu?

– Sądzę, że zdołamy przejrzeć najważniejsze pliki, zanim będziesz musiała wracać – odpowiada, a ja uśmiecham się z wdzięcznością.

Na widok Elizabet moje serce wywija kózka, jakby była przyjaciółką z wycieczki poza Pierścień. Przyjaciółką, której desperacko potrzebna jest pomoc.

Wygląda gorzej i na bardziej zmęczoną niż wtedy, gdy widziałam ją ostatnio, choć ma na sobie tę samą odzież i znajduje się w tym samym pomieszczeniu.

Po jej twarzy spływają łzy, których nawet nie stara się zetrzeć. I nie próbuje udawać ładnej.

– Robercie, gdzie jesteś?! Dwa dni minęły od twojego ostatniego postu, a potem nie miałam już od ciebie żadnych wieści, *kultanen*. Nic.

W złożonych dłoniach trzyma niewielką oprawną w skórę książeczkę i gładzi ją, jakby była czymś w rodzaju talizmanu.

Książeczka ma na okładce wytłoczoną małą literę „t”. Wstrzymuję

oddech, czekając, aż i ona ujawni mi swoje sekrety.

Przysuwa twarz do samej powierzchni komputera i wyciąga dłoń, jakby chciała nią kogoś dotknąć. Jakby chciała pogłaskać twarz narzeczonego.

– Modlę się. Studiuję Biblię i szukam jakiegoś znaku świadczącego o tym, że wciąż jeszcze jesteś tutaj. Żywy. Podczas gdy tak wielu zginęło. Jesteś, mój *kultanen*? Wciąż jeszcze żyjesz?

Rozlega się głośny trzask. Całe pomieszczenie, w którym stoi Ewa, przechyla się w lewo. Wszystko spada na podłogę. Po ścianach zaczyna spływać woda. Elizabeth gdzieś znika, choć nadal słyszę jej krzyk.

Sama też krzyczę.

Po kilku chwilach twarz Elizabet pojawia się ponownie. Krew spływa po jej czole i dziewczyna ciężko oddycha, ale patrzy spokojnie i pewnie. Rana nie jest groźna.

– Nic mi nie jest. Kapitan mówił, że coś takiego może się zdarzyć. Wczoraj wysiadł pokładowy GPS i płyniemy na oślep przez wody pełne gór lodowych. Jestem pewna, że właśnie z którąś się zderzyliśmy. Co innego mogłoby wyrąbać taką dziurę w tak wielkim statku? – Parska śmiechem szaleńca i ociera krew z oczu. – Robercie, nie wiem, czy złapię połączenie, by napisać kolejnego posta. Ale jeżeli wciąż tam jesteś, mój *kultanen*, wiedz, że cię kocham.

Dotyka palcami warg i przesuwa je ku ekranowi.

– A jeżeli będziesz mógł, gdy to całe szaleństwo się skończy, spróbuj mnie odszukać na tej arktycznej wyspie, o której ci mówiłam. Oczywiście, zakładając, że tam dotrę. Nazywają ją Nowa Północ.

Twarz na ekranie komputera pokrywają plamki zakłóceń. Elizabet mocuje amulet na szyi, poprawia na plecach różową sakwę i zamyka komputer. Ekran powleka się czernią.

Płaczę. Lukas sięga i dotyka mojego ramienia.

– Wiem, Ewo, że niełatwo na to patrzeć. Pamiętaj jednak, iż wszystko to wydarzyło się prawie dwieście pięćdziesiąt lat temu. *Anirniq* Elizabet dawno już zaznał spokoju. Widziałaś jej kości.

Lukas ściska me dłonie, gdy oboje patrzymy na stary komputer. Moją twarz zalewają łzy jak Elizabet na ekranie.

– Elizabet zginęła zaraz po wysłaniu tego posta – mówię. To nie jest pytanie. Wiem, że to się wydarzyło.

– Tak.

– Ten statek nigdy nie dotarł na Nową Północ.

– Nie. Nie z nią żywą na pokładzie.

– Nie znaleźliście innych postów?

– Nie. Tylko ten jeden i ten, który widziałaś wcześniej. Dobrze byłoby, gdybyśmy mieli jej pendrive'a.

– Pendrive'a?

– To urządzenie, na którym można gromadzić dane takie jak jej listy. Miała coś takiego na szyi. Widziałaś to w ostatniej wizji. W innej wiadomości wspomniała, że umieściła na nim ostatni list od Roberta.

– Mówisz o amulecie? – pytam, choć słowo brzmi w moich uszach obco.

Wyciągam naszyjnik Elizabet spod mojej opończy z foczej skóry.

Lukas wytrzeszcza oczy.

– Miałaś to cały czas?

– Nie wiedziałam, co to jest. Myślałam, że używała tego, modląc się do Apple'a.

– Nawet po tym jak ci mówiłem, że oni nie modlili się do Apple'a? Że Apple było tylko głupim symbolem Tech? – W głosie Lukasa brzmi gniew.

Jak on śmie wściekać się na mnie? Po tych wszystkich pytaniach, jakie mi zadawał? Mówiłam, w co wtedy wierzyłam. W co miałam prawo wierzyć.

Lukas rzuca szybkie spojrzenie w stronę mrocznego korytarza, gdzie zniknęła jego *aanak*. Może się martwi, że ona nas usłyszy. Ale jego

spojrzenie łagodnieje i kiwa głową. Nie z szacunkiem – nie traktował mnie z szacunkiem od chwili, gdy ujął mnie za dłoń i zaczęliśmy biec. Traktuje mnie jak osobę równą sobie.

– Przepraszam, Ewo. Masz rację.

Delikatnie ujmuje tajemniczy przedmiocik i wtyka srebrną główkę w bok... komputera. Nie mogę już o nim myśleć jak o ołtarzyku. Wiem, że to, co teraz zobaczę, będzie prawdą, choć słowo „komputer” nie ma dla mnie żadnego znaczenia.

Tak jak myślałam: to rodzaj zagadki układanki – tylko nigdy bym się nie domyśliła, co to za zagadka. Ekran się rozświecila i ponownie ożywa.

Tym razem jednak nie patrzemy na Elizabet. Na ekranie ukazuje się twarz urodziwego młodzieńca – gdyby mieszkał w Gnieździe, niewątpliwie byłby Kawalerem. Jego ciemne włosy i jasne, piegowate policzki są mokre, a zielone oczy mają nieco dziki wyraz. Stoi na smaganym wiatrem zatłoczonym pomoście nad wodą.

To musi być Robert.

– Elizabet, moja *kultanen*. Myślę, że jesteś bezpieczna i dobrze ukryta na lodołamaczu swoich rodziców. I zmierzasz do jakiejś polarnej wyspy, na której twoja rodzina założyła obóz, jakby mogła przetrwać koniec świata. Zawsze wyrzekałaś się ich pieniędzy i wielkich planów, jakie mieli wobec ciebie i twojego życia. Nawet dla twego mizernego angielskiego przyjaciela. Teraz jestem im cholernie wdzięczny za szansę, którą ci stworzyli. Tu w porcie jest bezład i szaleństwo, zdecydowany jestem jednak wdrzeć się na pokład jednego ze statków opuszczających port helsiński. Mój brat Alex ma przyjaciela z uniwersytetu, który szkolił się na morskiego biologa na jednej z naukowych łodzi. On spróbuje załatwić nam przejazd. Statek nazywa się „Kalevala”. Mam nadzieję, że jego nazwa okaże się szczęśliwa. – Odwraca wzrok od komputera i patrzy na tłumy. Znów szybko i cicho mówi, patrząc w ekran: – Pamiętasz swój debiut w roli Julii w Teatrze Maryjskim? Na scenie wyglądałaś wyjątkowo, tak lekkie były twoje skoki i piruety! Czuję, że jestem jedynym, który wiedział, jak długo i ciężko pracowałaś i ile wysiłku kosztowało cię to, by wszystko wyglądało tak płynnie i lekko. Ile poświęciłaś, by urzeczywistnić swój sen. Zostawiłaś Finlandię. Zostawiłaś mnie... Cóż, tak czy owak, wciąż jesteśmy razem, nieprawdaż, *kultanen*? Nawet w tej chwili, gdy topią się biegunowe pokrywy lodowe i zalewają nasz świat. Jak brzmi ten słynny wiersz z Szekspirowskiej sztuki *Romeo i Julia*? Z tego ostatniego baletu, w którym występowałaś? *Smutek rozstania tak bardzo jest miły, że by dobranoc wciąż*

*usta mówiły*⁶? – Jego głos się łamie. – Ale my się nie rozstajemy, nieprawdaż, *kultanen*? Po prostu mówimy sobie dobranoc, do jutra. To właśnie będę szeptał sobie na pokładzie „Kalevali”, gdy będę coraz bliżej ciebie i tego miejsca, Nowej Północy. To jest jednak, myślę, zbyt dobre, żeby było prawdziwe. Oaza jak w micie. Ale spróbuję uwierzyć. Muszę. Aż do tej pory, *kultanen*, dobranoc, dobranoc, dobranoc.

Robert dotyka ekranu i ten ciemnieje.

– Nie sądzę, żebym wytrzymała jeszcze jedną chwilę – przyznaję. – Dzięki bogom, że ekran jest czarny.

Czuję się załamana, otępiała, gniewna i mam poczucie winy. Poczucie winy, że cieszy mnie to, iż jest po wszystkim. I dlatego, że przywiązałam się do Elizabet bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Robert ofiarował jej to samo co Lukas mnie: obietnicę, iż będzie wierzył. Oczywiście miał inne powody, ale to słowo rozgorzało na nowo: „uwierz”.

Nawet Lukas wygląda na wzruszonego.

– Ciężka to sprawa, gdy wiemy o nich to wszystko.

Kręcę głową targana wątpliwościami.

– Elizabet nie jest tą samą osobą, o której pisałam w kronice, prawda? Kochała taniec i wyrzekła się dla niego wielu rzeczy. Nikt jej nie przymuszał. Taniec nie był tą pospolitą sztuką, o jakiej uczono nas w szkole.

Spoglądam na Lukasa. Spuszcza wzrok i patrzy w ziemię.

– Nie, ona nie jest Elizabet z kroniki – konkluduje.

– Wydaje mi się osobą ambitną, nawet bezwzględną. Mam na myśli to, że wyrzekła się swojego chłopaka i najbliższych. Odrzuciła nawet pragnienia swojej rodziny. Wszystko poświęciła dla swego marzenia. – Przerывam na chwilę; niełatwo mi sformułować i wypowiedzieć kolejne słowa. – Zastanawiam się, czy ja w ogóle rozumiem jakąkolwiek część historii poprzedzającą Uzdrawienie.

Prywatnie podziwiam jej hart ducha. I zastanawiam się, czy był powszechny wśród żyjących przed Uzdrawieniem kobiet. Może były twarde i nie potrzebowały ochrony Kawalerów?

– Złoty Wiek – mówi spokojnie Lukas.

Spoglądam na niego i marszczę brwi. Co chciał powiedzieć?

– Okres historii, ten, o którym władcy Gniazda mówią, że korzystają z jego inspiracji dla tworzenia własnych praw...

– Wiem, czym jest Złoty Wiek – szepczę, przerywając mu.

Lukas zaczyna naciskać delikatnie te kwadratowe klawisze.

– Zechciej na to popatrzeć, Ewo. W komputerze Elizabet zapisano mnóstwo książek. – Wskazuje ekran. – Jedna z nich nosi tytuł *Życie w średniowiecznej wiosce*.

Patrzę kątem oka na wspaniałą, intensywnie barwny obraz, pełen wizerunków niezbyt różniących się od Gniazda: kamienne ściany dalekiej warowni oraz mężczyźni i kobiety w prostych szatach. Domki przeważające na pierwszym planie przypominają jednak wioskę Lukasa.

– Sądzę, że to swego rodzaju podręcznik – kontynuuje. – Może Elizabet wciąż się uczyła. Wygląda na dość młodą, żeby być jeszcze w szkole.

– Miała osiemnaście lat – mówię spokojnie. – Dokładnie tyle samo co ja teraz.

Lukas klika i na ekranie ukazują się słowa. Stykając się ramionami, zbliżamy się do komputera. Lukas dotyka ekranu, zwracając moją uwagę na konkretne zdania.

Język jest zwięzły i suchy, ale pojmuję go natychmiast. Napisy dotyczą głodu, zniewolenia, ignorancji. Wszystko, co wartościowe, zgromadzono w rękach garstki nielicznych. To nie był Złoty Wiek. Dlaczego więc Prawo opisuje to inaczej? Lepsza jest już Nowa Północ. Wszyscy – mieszkańcy Pogranicza i Gniazda – mają dostateczną ilość jedzenia, odzieży i dach nad głowami. Wygląda na to, że Założyciele Nowej Północy stworzyli społeczeństwo podobne do mojej *Kroniki Elizabet*. To może być prawda. Ale nie istnieje coś takiego jak prawdziwa rzeczywistość.

Mija mniej więcej jeden dzwon, a w mojej głowie panuje kompletny zamęt.

– Lukasi... – mój głos drży – nie wiem, co jest prawdą.

– To samo czuł Eamon – odpowiada, nie odrywając wzroku od słów płonących na ekranie.

Chwytam go za ramię.

– Eamon wiedział o tym wszystkim?

– Owszem, dowiedział się czegoś o przerwie pomiędzy czasami obecnymi i prawdziwą przeszłością. Ale, Ewo – Lukas odrywa wzrok od ekranu komputera i przykrywa dłonią moją rękę – nie chcę, żebyś skończyła jak Eamon.

Ogarnia mnie panika. Przekręcam szyję, szukając wzrokiem jego babki. Gdzie się podziała? Choć jest dziwaczką i jej obecność zbija mnie z tropu, chcę, żeby tu była; chcę zostać uchroniona przed nowinami, które – jak wyczuwam – zamierza mi przekazać Lukas. Może ona wyszła z tego samego powodu.

Usiłuję uwolnić ramię z jego uścisku.

– Co masz na myśli, mówiąc: „Skończysz jak Eamon”? Zobaczenie tego wszystkiego nie oznacza, że spadnę z Pierścienia i skręcę kark. Te rzeczy nie mają ze sobą nic wspólnego.

Uparcie trzyma mnie za rękę i ujmuje też drugą.

– Ewo, przeciwnie, wszystko się łączy. Eamon wiedział, że Prawo jest fikcją. Wszystko, w co nauczono cię wierzyć, jest fikcją.

Kwituję to słowo ostrym, szybkim westchnieniem:

– Fikcją?

Lukas mówi bardzo spokojnie:

– Owszem. Eamon odkrył coś bardzo niebezpiecznego. Dowiedział się, że opowieść o Uzdrawieniu była taka sama jak stara, zapomniana historia o powodzi, która oczyściła świat w przeszłości. Ta historia została zapisana w księdze zwanej Biblią. Ludzie tacy jak Robert i Elizabet wierzyli w Biblię tak, jak wy wierzycie w Prawo.

Biblia. Czy właśnie usłyszałam to słowo? Lukas kontynuuje:

– Biblia była czymś w rodzaju Prawa sprzed Uzdrawienia. Przynajmniej dla niektórych. Elizabet wspomniała, że modliła się z niej, czekając na wiadomość od Roberta.

– Czy Biblia wspomina o Apple’u? Masz może kopię? – Pytanie pada szybko z moich ust; choć jestem zdezorientowana, mój apetyt na prawdę tylko się zaostrzył i z niecierpliwością czekam na odpowiedź.

Wygląda na zaskoczonego albo po prostu na zmęczonego. Odpowiada z westchnieniem:

– Nie, nie mamy kopii. I ona nie mówi o Apple’u. Biblii szukali Techowie. Tak czy owak, wszystkie egzemplarze zostały zniszczone. Ale my

tu, na ziemiach Pogranicza, nigdy o niej nie zapomnieliśmy.

– Skąd wiesz?

– Przekazujemy sobie słowo po słowie, Ewo. Mój lud ma własną pamięć dotyczącą tego, co się tu wydarzyło po Uzdrawieniu. I pamiętamy, kiedy zostały unicestwione Biblie.

– Dlaczego Założyciele zniszczyli te księgi? Papier jest cenny.

Puścił moje dłonie. Nie mówił już jak człowiek znudzony; w jego głosie dźwięczał gniew:

– Bo chcieli napisać fikcję. Wzięli więc te części Biblii, które im pasowały, i sformułowali z nich Prawo.

Też jestem rozgniewana:

– Lukasie, to herezja. Prawo to święte dzieło, które ludziom Nowej Północy przekazali bogowie.

– I wszystko, czego cię uczono, okazało się prawdą? – odcina się.

Nie odpowiadam. Jak mogłabym? Ta wycieczka na ziemię Pogranicza unicestwiła wszystkie moje dawne wierzenia. Wierzenia o Gnieździe, dniach przed Uzdrawieniem, o samym Uzdrawieniu, o Prawie... A teraz o moim bliźniaczym bracie.

Mimo że milczę, Lukas mówi:

– Ewo, zechciej spojrzeć na to. – Po raz kolejny klika w klawisz i wyławia kolejną księgę zapisaną w pamięci. – Może nie mam kopii Biblii, ale miała ją Elizabet. Jest tu, na jej komputerze.

Odpycham go na bok. Żadne z nas nie chce, by karmił mnie drobnymi informacjami. Chcę sama podjąć decyzję dotyczącą Elizabet, Uzdrawienia, Nowej Północy i Eamona. Nie chcę już patrzeć na teraźniejszość czy przeszłość czyimiś oczami. Naśladując Lukasa, przeglądam tę... Biblię. Słowa i rytm przypominają mi Prawo. Język jest jednocześnie piękny i prosty.

Jego dłoń wysuwa się, by zatrzymać mnie na jednym zdaniu. Czytam te słowa kilkakrotnie, aż w końcu zdaję sobie sprawę z tego, że muszę wypowiedzieć je głośno:

– *Kiedy zaś Pan widział, że wielka jest niegodziwość ludzi na ziemi i że usposobienie ich jest wciąż złe, żałował, że stworzył ludzi na ziemi, i zasmucił się. Wreszcie Pan rzekł: «Zgładzę ludzi, których stworzyłem, z powierzchni ziemi: ludzi, bydło, zwierzęta pełzające i ptaki powietrzne, bo żal mi, że ich stworzyłem».*

Tylko Noego Pan darzył życzliwością.

Noe, człowiek prawy, wyróżniał się nieskazitelnością wśród współczesnych

sobie ludzi; w przyjaźni z Bogiem żył Noe.

A Noe był ojcem trzech synów: Sema, Chama i Jafeta.

Ziemia została skażona w oczach Boga. Gdy Bóg widział, iż ziemia jest skażona, że wszyscy ludzie postępują na ziemi niegodziwie, rzekł: do Noego: «Postanowiłem położyć kres istnieniu wszystkich ludzi, bo ziemia jest pełna wykroczeń przeciw mnie; zatem zniszczę ich wraz z ziemią. Ty zaś zbuduj sobie arkę z drzewa żywicznego, uczyni w arce przegrody i powlecż ją smołą wewnątrz i zewnątrz. A oto, jak masz ją wykonać: długość arki – trzysta łokci, pięćdziesiąt łokci – jej szerokość i wysokość jej – trzydzieści łokci. Nakrycie arki, przepuszczające światło, sporządzisz na łokieć wysokie i zrobisz wejście do arki w jej bocznej ścianie; uczyni przegrody: dolną, drugą i trzecią. Ja zaś sprowadzę na ziemię potop, aby zniszczyć wszelką istotę pod niebem, w której jest tchnienie życia; wszystko, co istnieje na ziemi, wyginie...^Z

Uspokajam się. Lukas się nie odzywa, bo i nie trzeba. Oboje wiemy, jak „historia Noego” – opowieść z czasów przed Uzdrawieniem, ze Złotego Wieku – została wczytana jako opowieść o stworzeniu, prawdopodobnie uznana za boską przez Założycieli zaledwie dwieście pięćdziesiąt lat temu.

Lukas, jakby chciał sprawić mi przyjemność, mówi:

– Moi ziomkowie, kiedyś nazywani Inuitami, też znają legendy o potopie. Może znają je wszystkie ludy?

– Masz na myśli opowieść o Żeglarzu? – Niania Aga opowiadała mi historię Żeglarza, który przeżył powódź zalewającą całą ziemię oprócz wysokiej, pokrytej lodem góry, budując tratwę. Nigdy jednak nie łączyłam tej opowieści z Prawem.

– Gdzie ją usłyszałaś? – Lukas wygląda na zaniepokojonego.

– Od mojej Niani Agi. Zanim się zestarzała albo zbzikowała, jak nazywali to moi rodzice, tak, że musiała wrócić na ziemię Pogranicza.

– To ci powiedzieli rodzice o tej kobiecie?

– Tak.

Nie podoba mi się sposób, w jaki Lukas mówi o mojej Niani. Boję się dowiedzieć czegoś więcej: nie sądzę, żebym teraz zniosła wiadomości o tym, że przydarzyło jej się coś strasznego. Zamiast tego pytam:

– Skąd to wszystko wiesz, Lukasiu? Mówisz jak nauczyciel.

– Wszyscy tak będziemy ci mówili. Mamy bardzo odległe wspomnienia. Dobrze pamiętamy czasy sprzed Uzdrawienia.

– Ale jak się o tym dowiedział Eamon? Powiedziałaś mu?

– Nie. Ja niczego mu nie powiedziałam. Pamiętasz, jak spędzał cały czas w archiwach, studiując minione Próby?

– Oczywiście. Spieraliśmy się nawet o to.

– Trafił na dziennik dawnego Kandydata. Dziennik miał ponad sto pięćdziesiąt lat i zawierał odnośniki do Biblii i historii Noego. Wydaje mi się, że moi ziomkowie nie są jedynymi, którzy pamiętają.

– I opowiedział ci, co odkrył?

Chełpliwość Eamona staje się jaśniejsza. Ale dlaczego opowiedział o tym Lukasowi zamiast mnie? Chciał mnie chronić? A może nie ufał mi, bo byłam tylko Panną nieprzygotowaną na przyjęcie prawdy?

Lukas patrzy na mnie, a w jego oczach pojawia się zrozumienie.

– A ja opowiadałem mu to, co sam wiedziałem. I co wiedzieli moi ziomkowie.

Moje pomieszczenie rozpływa się w nicłość jak lód na słońcu. Teraz wiem, dlaczego był tak przestraszony i tak intensywnie trenował. Ale pozostaje jeszcze jedna, poważna sprawa.

– Nadal nie wiem, co to miało wspólnego ze śmiercią Eamona.

– Ewo, Eamon chciał zdobyć stanowisko Archona, by odkryć pełną prawdę o Nowej Północy. Ktoś jednak dowiedział się o jego zamiarach. Więc zanim Eamon został Archonem i wszystko zmienił, został zamordowany.

Kręcę głową. To niemożliwe. Eamon był tam sam.

– Kto?

– Nie wiemy. Możemy się tylko domyślać, że zrobił to ktoś z Gniazda, ktoś, kto mógł wiele stracić, jeżeli Eamon zostałby Archonem. Ale ten wniosek można dopasować do wielu ludzi. Albo którejś z licznych frakcji.

– Na przykład?

– No... oczywistym podejrzanym jest Triada albo jeden z jej sługusów. Ale oni chyba nie wiedzieli o pracy Eamona i zrobił to jeden z niższych funkcjonariuszy, który mógłby wiele stracić, gdyby twój brat istotnie zmienił zasady rządzące Gniazdem. No, albo mógłby to być któryś z Kandydatów.

Przez mój umysł przemknęły twarze i imiona. Triada? Nie ma możliwości, żeby mój ojciec został wplątany w takie działanie, niezależnie od konsekwencji.

Ale może jakiś członek wpadł na pomysł zrobienia ze mnie Archona, ponieważ uznał, że będę Panną podatną na sugestie? A co z Kandydatami? Aleksandrem, Nielsem i innymi? Morderstwo wydaje się nie pasować do ich małych duszyczek, ale w końcu jest możliwe. Jasper? Nie, to śmieszne.

A może był to ktoś taki jak Tropiciel Okpik, który wyglądał na

mieszkańca Pogranicza, ale wiele korzystał ze sposobu życia Gniazda?

Z pewnością tłumaczyłoby to jego zachowanie wobec mnie; chciał się upewnić, że gdybym wiedziała to, co wiedział Eamon, nie mam szansy na wygraną, i natychmiast przestał się mną interesować, gdy uwierzył, że nie mogę zwyciężyć.

Robi mi się niedobrze. Rzucają mną torsje i wybiegam przez frontowe drzwi. Lukas mnie dogania i przytrzymuje za włosy, gdy opróżniam mizerną zawartość mojego żołądka w pobliską zaspę.

Gdy mój oddech się wyrównuje, Lukas ponownie wprowadza mnie do chatki. Sadowi mnie na krześle i przechodzi do kuchenki. Wracając, przynosi parujący kubek. Zgaduję, że przygotowała go dla mnie *aanak*. Czy podsłuchiwała naszą rozmowę? Idę o zakład, że wiedziała wszystko, co mi Lukas powiedział, zanim wyrzekł to dziś głośno.

Siadając na drugim krześle, Lukas otwiera usta. Zaraz potem je zamyka i przez chwilę jeszcze milczy.

– My, mieszkańcy Pogranicza, zawsze podejrzewaliśmy to samo, czego dowiedział się Eamon, ale nigdy nie znaleźliśmy pełni prawdy o Uzdrawieniu ani o stanie naszej Ziemi. Wiedzieli to tylko niektórzy spośród nas – mający dostęp do informacji ukrywanej przez Triadę. Eamon chciał zostać taką osobą. Nie mówię o zostaniu Wielkim Archonem. Mówię o kimś, kto mógłby zjednoczyć prawdą wiele światów.

Teraz widzę, dokąd zmierza. I rozumiem, dlaczego mnie tu przyprowadził. Nie chodziło mu po prostu o pokazanie mi sekretów Elizabet Laine.

– On stałby się *angakkuq*. Byłby jednym z ludzi, na których czekali twoi ziomkowie. Tak chce twoja *aanak*?

– Myślę, że tak, Ewo – odpowiada.

– Więc to miał na myśli Eamon – mówię sama do siebie niemal szeptem.

– „Czy nadal będą mnie kochali, gdy zrobię to, co powinienem”?

Lukas patrzy na mnie twardo ponad krawędzią parującego kubka.

– Co mu powiedziałaś, kiedy zadał ci to pytanie?

Z jakiegoś powodu nie zamierzam mówić Lukasowi o wpisach do dziennika. Zamiast tego zmyślam. A niby czemu miałabym mówić prawdę?

– Po prostu powiedziałam, że będę go kochała niezależnie od wszystkiego. Ale teraz jestem Archonem. Dowiem się prawdy, tak jak zrobiłby to Eamon.

– Nie, Ewo, nie uważam, żeby to było twoją powinnością. To zbyt niebezpieczne, a po tym, co się stało z Eamonem, oni będą cię teraz

obserwowali.

Zdziwiło mnie to. Spodziewałam się, że Lukas wezwie swoją *aanak*, która mi powie, co mogłabym zrobić na miejscu Eamona.

Teraz Lukas mówi z większym zapalem w głosie:

– Dlaczego nie miałabyś tu zostać i zniknąć razem ze mną na ziemiach Pogranicza? Mamy swoje sposoby ukrywania ludzi. Jeżeli naprawdę czujesz potrzebę kontynuowania dzieła Eamona, dlaczego nie zabrać się do tego bardziej bezpiecznie, z tej strony Pierścienia? Mógłbym ci pomagać.

Wycofuję się.

– No to dlaczego namawiałeś mnie na wyprawę do ziem Pogranicza i wysłuchanie historii Elizabet? Chyba że chciałeś, żebym usłyszała prawdę. Chciałeś, żebym została *angakkuq*?

Lukas kręci głową.

– Może i po części chciałem, Ewo. Na początku. Ale teraz, gdy tu jesteś i patrzę w twoje oczy, nie chcę, żebyś stała się Archonem czy *angakkuq*. – Sięga ku mnie i chwyta za ramiona tak mocno, że sprawia mi ból. – Naprawdę chcesz skończyć jak twój brat? Nie rób mi tego, proszę.

– To nie ma z tobą nic wspólnego, Lukasiu.

– Niczego nie widzisz? Nie dostrzegasz tego, co do ciebie czuję?

Patrzę w jego ciemne oczy i istotnie dostrzegam kolejne prawdy. Może zawsze tam były. Może przeceniłam stoicyzm Lukasa.

Może tłumiałam uczucie i w sobie. Wpojona mi natura Panny – wyszkolonej w skromności – usiłuje mnie przekonać, bym opuściła wzrok i udała idiotkę. Ale przełamuję się i odpowiadam szczerze:

– Myślę, że tak, Lukasiu.

– Dzielisz moje uczucia? Wiem, że to zabronione przez wasze wspaniałe Prawo, ale gdyby choć ślad...

Przykładam palec do jego warg. Myślę, że dzielę – przynajmniej choć trochę – ale teraz nie wolno nam o tym myśleć. Poza tym potrzebuję się z tymi uczuciami oswoić. A nie mam czasu. Więc mówię:

– Jak mogę sobie teraz z tym poradzić?

Całuje mój palec i puszcza go.

– Więc na czym stoimy?

Mówię, choć wiem, że on już zna moją odpowiedź:

– Muszę dopełnić przeznaczenia Eamona.

Pozwalam sobie na jedną, ostatnią przyjemność. Gdy wespół z Lukaszem oddaliśmy się od ziem Pogranicza i zanurzamy się w mający setki lat tunel pod Pierścieniem, ujmuję go za rękę. I pozwalam sobie na snucie fantazji o życiu, jakim nigdy nie będę mogła się cieszyć. O prostym, uczciwym życiu z Lukaszem.

Zanim zacznę się przeciskać przez wąską część przejścia, zatrzymujemy się oboje na krótkie, niezręczne pożegnanie. Czy kiedykolwiek go zobaczę? On może zostać ponownie wyznaczony do Służby w Gnieździe, gdzie nasze drogi mogą się przeciąć jak drogi Panny i Sługi albo Sługi i Archona – zależnie od tego, kiedy i gdzie się spotkamy. Ale nie będzie to tak jak w tej chwili. Nigdy nie będziemy mieli już tej wolności, nie będziemy sami z naszymi prawdami.

Lukas odpowiada na moje niewypowiedziane pytanie.

– Ewo, ja nigdy cię tak naprawdę nie zostawię. Nawet gdy nie będziesz mnie widziała, ja będę cię obserwował.

– Tak jak podczas Próby?

Uśmiecha się.

– Prawie tak samo. Znajdę sposób, by mieć oko na to, co robisz. Moi ziomkowie są wszędzie i nigdzie. Teraz już to wiesz. A ja znajdę sposób, żeby cię chronić. Nawet w razie potrzeby wyciągnę cię z Gniazda, jeżeli nadal nalegasz na kontynuację misji Eamona.

– Byłoby miło, Lukasiu. Czułabym się mniej samotna.

– Nigdy nie będziesz samotna, Ewo. Obiecuję.

Nie chcę zakończyć tej chwili, ale zaczynam się bać. Wkrótce nadejdzie dzień, a z jego światłem możliwość odkrycia. Zanim mnie znajdą, muszę wrócić do Gniazda i mojego ciepłego, przytulnego łóżka. Albo nigdy nie zacznę pracy jako *angakkuq*, Archon czy następca Eamona. Puszczam dłoń Lukasa.

– Zadbaj o relikwety Elizabet, Lukasiu.

– Zadbam, Ewo. Pamiętaj o tym, co ci powiedziałem na temat miejsc, gdzie możesz szukać informacji. Szukaj Techu i starych opowieści; tam jest

prawda. Pamiętaj też o tym, co ci mówiłem: nie daj się złapać. I... zachowaj wiarę.

– Zachowam. Żegnaj, Lukasiu.

Po raz ostatni ściska moją dłoń.

– Co to Robert powiedział do Elizabet? „Aż do rana będę mówił dobranoc”. Dobranoc, Ewo.

Odbiegam od niego, zanim zacznę płakać.

Gdy lodowe ściany zwięzają się i zaciskają wokół mojej piersi, cieszę się to. Zmusza mnie do myślenia o czymś innym niż objawione mi w nocy rewelacje. Przeciskam się przez szczelinę i wydostaję na nocne powietrze, głęboko zaczerpując tchu. Cieszę się ze zmiany otoczenia. Ale gdy zaczynam się rozglądać, zamieram w bezruchu. Nie jestem tu sama.

Po drugiej stronie Pierścienia czeka na mnie Jasper.

– Co ty, w imię bogów, tu robisz? – wykrzykuje niemal, ale natychmiast gryzę się w wargę.

– Mógłbym ci zadać to samo pytanie. Przebywanie w tym miejscu jest dla ciebie niebezpieczne.

Jego głos jest osobliwie bezbarwny.

– Ani dla ciebie. Szedłeś za mną?

– Tak.

Mrużę powieki.

– Jak daleko?

– Tylko do tego miejsca.

– Dlaczego podjąłeś takie ryzyko?

– Powodowała mną troska o ciebie.

– Pomyślałeś więc, że ukryjesz się za domem mojej rodziny, a potem pójdziesz za mną, korzystając z nocnych ciemności? – Miałam poczucie, że mnie obraża takie wtrącanie się do moich spraw. Nie musiał tak nachalnie mnie szukać. – Czy ja ci kiedykolwiek zrobiłam coś, żebyś mi tak mało ufał?

Pochyliła głowę.

– Od czasu, gdy oboje wróciliśmy z Prób, byłaś tak chłodna i daleka. Mówiłaś do mnie albo się do mnie uśmiechałaś jedynie w miejscach publicznych. Każdy mógł pomyśleć, że byłabyś na mnie wściekła, gdybym zdobył Wawrzyny Archona.

– Jasperze, przecież wiesz, że tak nie było. Dlaczego nie odwiedziłaś mnie w domu, zamiast podchodzić mnie ukradkiem?

Podnosi głowę, a jego oczy błyszczą w blasku Jej Jasności Księżyc.

– Sądzisz, że nie szukałem cię w domu? Zawsze byłeś w Bazylice albo w swoim pokoju, modląc się do bogów z dyptyku.

Podsunęłam mu jedyną możliwą do przyjęcia wymówkę, w duchu błagając brata o przebaczenie za wykorzystanie jego imienia. Z trudem powstrzymałam desperację w moim głosie.

– Jasperze, od chwili, w której wróciłam z Prób, zwalczałam żal po Eamonie. Zanim wyruszyliśmy, musiałam się skupić na Próbach. Ale teraz nieustannie odczuwam ból po utracie brata.

Jego oczy rozbłysły.

– Przykro mi, Ewo. Zarozumiale myślałem, że ma to coś wspólnego ze mną. Byłem głupcem.

Mówi jak Kawaler, ale wiem, że jest szczery. Właściwie czuję się okropnie, ponieważ z taką łatwością uwierzył w moje kłamstwo. Ale ponieważ to przynosi pożądany skutek, brnę dalej:

– Dlatego dziś jestem tu, na zewnątrz.

– Co niby masz na myśli?

– To jest miejsce, w którym zginął mój brat. Obudziłam się w środku nocy i poczułam, że muszę tu przyjść i pożegnać się z nim. Pomyślałam, że to pomoże mu spocząć w pokoju.

Jasper sięga po moją dłoń. Ujmuję jego palce.

– Rozumiem, Ewo.

Z góry rozbłyskuje nagle błękitnawe światło. To Wartownicy Pierścienia robią swój obchód posterunków. Jak mogłam być tak głupia, by stanąć tu i ucinać sobie pogawędkę z Jasperem. Ani przez chwilę nie powinnam zapominać, że prawdziwe niebezpieczeństwo przychodzi z góry.

Instynktownie przykucamy, jakby mogło to nas ukryć. Trzymając się za ręce, puszczamy się biegiem ku miastu choć jesteśmy przecież na otwartej przestrzeni.

– Stać!

Nie przerywamy biegu. Słyszę w oddali Dzwon Ostrzegawczy – zgrzytliwy i okropnie irytujący – inny niż dzwony regulujące życie Gniazda. Biegną ku nam dwaj Wartownicy wywijający tymi samymi lampami, które emitują to niesamowite światło Techu.

Okazuje się, że nigdy nie byłam świadkiem tego, co się dzieje, gdy zabrzmie Dzwon Ostrzegawczy. Rozpoznaję czarne rurowate urządzenia. Wyglądają tak samo jak to, które znalazłam w różowej sakwie Elizabet. Zaciskam szczęki. Przywódcy Gniazda używają Techu do własnych celów. Pomiedzy nimi jest i mój ojciec. Wkrótce mi odpowie. To właśnie Lukas

miał na myśli, gdy mówił o potrzebie odkrycia prawdy przez kogoś z wewnątrz.

Mam tylko jedną szansę uratowania siebie – i Jaspera – z tego całego zamieszania. Zwalniam krok i prostuję się. I patrzę wprost na Wartowników. Obaj są mocno zbudowani, mogliby mnie złamać jak gałązkę na ognisko. Ten cięższy wysuwa się ku przodowi.

– Co wy, w imię bogów, wyprawiacie? – pytam władczo.

– Jak śmiesz tak do nas mówić? – szczeka w odpowiedzi.

Nie mrużę nawet powiek. Zamiast tego mówię:

– A wy? Nie poznajecie nowego Archona?

Wartownik powoli zaczyna się garbić. Ale jeszcze nie pozbył się podejrzeń. Widzę, jak mierzy wzrokiem mój uniform Kandydata. I moją twarz.

Za to niższy wykrzykuje:

– Na bogów! Ty jesteś Ewą!

– Tak. Jeżeli któryś z was stał trzy tygodnie temu na miejskim rynku, gdy skończyły się Próby, musiał widzieć, jak wieńczono mnie Wawrzynami Archona.

Pierwszy z Wartowników mierzy mnie wzrokiem. Brodę pokrywa mu warstewka lodu. Potem błyska wzrokiem w stronę Jaspera.

– To nie daje wam prawa przebywania w nocy poza domami.

Serce wali mi niczym młot, ale modlę się do bogów, żeby Wartownicy tego nie usłyszeli. Jedyne, co się teraz liczy, to nastawienie. To i moja znajomość Prawa.

– W rzeczy samej daje. Prawo wyraźnie mówi, że Archonowie wespół z Basilikonami i Strażnikami Prawa mają prawo chodzić, gdzie chcą, niezależnie od pory dnia i nocy.

Obaj Wartownicy milczą. Wiem, że zacytowany fragment Prawa przekracza ich ograniczoną wiedzę dotyczącą tego, co wolno i czego nie wolno. W końcu niższy stwierdza:

– Ona ma rację. Chodźmy stąd. Wyobraź sobie, jaki wrzask się podniesie, gdy spróbujemy aresztować bohaterkę i Archona Nowej Północy.

Pierwszy cofa się, a potem nagle przystaje.

– Mogę ją puścić. Ale co z nim? – Wskazuje na Jaspera. – Nie jest Archonem. Widziałem, jak stał obok niej na podwyższeniu. Przegrał w Próbach.

Prostuję się jeszcze bardziej.

– Nie obrażaj tego Kawalera.

– To nie obraza, to zwykłe stwierdzenie prawdy. On musi być posłuszny Prawu jak każdy z nas.

Uśmiecham się.

– Naprawdę? On ma prawo tu być, tak samo jak ja.

– Ach tak? A to dlaczego, Panno Archon?

Jest tylko jedna rzecz, którą mogę teraz powiedzieć, aby uratować Jaspiera. Ale skoro te słowa zostaną wypowiedziane, nie da się ich cofnąć. Naprawdę muszę przypieczętować swój los, żeby ratować Jaspiera od stryczka? A jeśli to zrobię, czy zdołam wypełnić moją powinność? Nie mam wyboru. Z trudem przetykam ślinę.

– On jest moim narzeczonym.

Preambuła

My, Ojcowie Założyciele Nowej Północy, łączymy się w zapisaniu tej Preambuły. Sami bogowie stworzyli słowa, które zapisujemy, w istocie zatem są to słowa bogów, nie ludzi.

Bogowie wiedzą, że skoro zebraliśmy się, by stworzyć społeczność Nowej Północy, potrzebne nam będą Ich przewodnictwo i błogosławieństwo. Słowa tej Preambuły i towarzyszącego mu Prawa są Ich mandatem dla nas – ludzi wybranych przez bogów i dla naszych podopiecznych, mieszkańców Pogranicza. Musimy ich pilnie przestrzegać, by zyskać pewność, że bogowie nigdy już nie ześlą nam Uzdrawienia.

Wiemy, że Uzdrawienie było konieczne. Rodzaj ludzki wielbił fałszywego boga Apple'a. Swoim syrenim śpiewem Apple skusił ludzkość do wielbienia swoich sługusów: Techów, medów, gotówki, korupcji siebie samych i świata. Ludzkość zapomniała o szacunku dla naszych prawdziwych bogów – Matki Słońca i Ojca Ziemi – a także życia wedle ich prostych, ale pełnych mocy dróg. W ich oczach ludzkość stała się zepsuta.

Bogowie nie mogli tego dłużej tolerować. Ześleli na świat huragany i podgrzali polarne czapy lodowe, zalewając rodzaj ludzki wodami Uzdrawienia. Za ludzkie grzechy Ziemia postanowił unicestwić wszelkie ślady istnienia ludzkości i podniósł oceany niemal nad wszystkie swoje lądy.

W ostatniej chwili wysłuchał prośby Słońca o litość; pozwolił, żeby Jej promienie utonęły w chmurach i obniżył temperaturę mórz, zachowując skrawek lądu. Pozwolił Jej poprowadzić nas – jedynych sprawiedliwych w Jego dziedzinach i Wybranych – do floty łodzi i barek. Potem zezwolił Jej na przeniesienie nas na Nową Północ.

A jednak litość bogów ma swoje granice. Musimy dokładnie przestrzegać Ich zasad zawartych w tej Preambule i w Prawie – albo ponownie ześlą Uzdrawienie. Czyniąc to, musimy odrzucić zwodniczy blask współczesnego Apple'owi Wieku Neonów i tropić wszelkie pozostałości jego sztucznego światła. Musimy stworzyć społeczność żyjącą w naturalnym świetle, jaki stworzyli bogowie, zanim górę wzięła przewrotność Apple'a. Bogowie żądają, byśmy żyli, jak to czynili ludzie w dawniejszych, idyllicznych czasach Złotego Wieku.

Musimy czynić wszystko tak, jak nakazują to bogowie w Prawie. Musimy

stworzyć idealną społeczność. Drugiej szansy nie będzie.

Bogowie ujawnili nam idealną strukturę naszej społeczności na Nowej Północy, dlatego ustanowiliśmy poszczególne role, które Oni wyznaczyli do wykonania każdemu z nas. W ten sposób każdy mężczyzna i każda kobieta Nowej Północy – czy to z Gniazda, czy z Pogranicza – pozna swe obowiązki i powinności, a ich wola nie będzie miała żadnego znaczenia podczas prób zmiany. Zostawimy Prawu pozostałe szczegóły idyllicznej społeczności Złotego Wieku, jaką bogowie rozkazali nam odtworzyć.

Triada: Bosczy Przywódcy Nowej Północy

Bogowie nakazali, żeby Prawo określało każdy aspekt ludzkiego istnienia, ale uznali też, że muszą mieć na Nowej Północy swoich reprezentantów, którzy będą propagowali ich wolę i zmuszali do posłuszeństwa. Polecili nam więc stworzenie Triady, która ma wyrażać moc przyznaną przez bogów.

Autorytet Triady pochodzi od mocy bogów, więc trzy jej ramiona muszą być traktowane jak boskie.

Pierwszym ramieniem Triady są Strażnicy Prawa. Będą służyli jako młot bogów; będą ich narzędziem wiążącym nas w jedność, głośnym i potężnym, gdy muszą uderzyć.

Każdego roku wybiera się najsilniejszych i najbardziej stanowczych osiemnastolatków, którzy są przygotowywani do roli Strażników Prawa w Kuźni. Strażnicy tacy są specjalnie szkoleni w Prawie i jego interpretacjach i będą asystowali Basilikonom i Archonom w wykonywaniu ich obowiązków.

Do kierowania Strażnikami Prawa na okres dziesięciu lat zostanie (po ocenie jego doświadczeń w Kuźni) wybrany Wielki Strażnik Prawa. Po tym terminie odda stanowisko i tytuł kolejnemu Wielkiemu, a sam wróci do roli zwykłego Strażnika Prawa.

Drugim ramieniem Triady są Basilikonowie. Służą nam niczym święta sfera, żywe przypomnienie niebiańskich bogów, Matki Słońca i Ojca Ziemi. Każdego roku podczas rywalizacji Postu najpobożniejsi i najwierniejsi osiemnastolatkowie z Gniazda są wybierani, by asystować w służbie w Bazylice.

Wielki Basilikon jest wybierany, by przewodzić innym Basilikonom, na podstawie jego ostatniego Postu i będzie służył na tym stanowisku przez dziesięć lat, po czym odda tytuł kolejnemu Wielkiemu i wróci do roli zwykłego Basilikona.

Trzecim ramieniem Triady są Archonowie. Ci służą nam za dłuto,

instrument niezbędny w wydobywaniu spod ziemi wspomnień naszej niegodnej przeszłości i żywego przypomnienia naszego przywiązania do Złotego Wieku.

Najbardziej nieustępliwi i odkrywcy osiemnastolatkowie Gniazda mogą dostąpić zaszczytu udziału w Próbach. Wielki Archon zostanie wybrany, by pracować nad innymi, po ocenie jego dokonań podczas Prób i będzie służył przez dziesięć lat, po czym zostanie uwolniony od tego tytułu i wróci do roli Archona.

Młot, sfera i dłuto. Zostanie członkiem Triady oznacza stanie się żyjącym wcieleniem bogów Nowej Północy. Te role są święte, tak jak święte są kompetencje jej członków. Muszą być: Triada i Prawo to wszystko, co dzieli lud Nowej Północy od kolejnego Uzdrawienia.

Ludzie Gniazda: Wybrani

My, mieszkańcy Gniazda, jesteśmy ludem wybranym przez bogów. Gdy Ziemia pozwolił Słońcu nas oszczędzić i zostawić ostatni skrawek lądu, gdzie moglibyśmy zamieszkać, zrobił to, ponieważ niezachwianie w Nich wierzyliśmy. Musimy dbać o to błogosławieństwo – i nasz status jako Założycieli tej krainy – wypełniając ważną funkcję, jaką nam powierzyli. Nawet jeżeli wszyscy nie możemy osiągnąć statusu członków Triady, rola każdego jest niezwykle ważna dla trwania Nowej Północy i musi być traktowana jak uświęcone zadanie.

Każdy członek rodziny Założycieli – i jego lub jej potomkowie – będzie żył w chronionym Gnieździe i wypełniał jedno z następujących miejsc naszej społeczności.

Podczas gdy miano Lorda lub Damy mogą nosić jedynie Strażnicy, każdy dorosły mieszkaniec Gniazda powinien być uważany za Pana, a kobieta za Panią, młody mężczyzna jest Kawalerem, a dziewczyna Panną – niezależnie od społecznej pozycji, jaką zajmuje.

Choć każdy w Gnieździe – mężczyzna, kobieta, chłopiec czy dziewczyna – będzie nosić te tytuły i wypełniać te powinności, nada im się też indywidualne imiona zwane Wodnymi Imionami.

Strażnicy – każdy zasób niezbędny do życia na Nowej Północy będzie traktowany jak Strażnica i głowa każdej z rodzin założycielskich będzie służyć jako Strażnik zasobu.

Na przykład wszelka endemiczna żywność będzie hodowana w specjalnie do tego przystosowanej Arce, a odpowiedzialny za nią członek rodziny założycieli zostanie Strażnikiem Arki.

Słudzy – każdy Strażnik będzie miał zespół Sług asystujących mu

w prowadzeniu jego Strażnicy.

Słudzy muszą pochodzić z rodzin Założycieli, a Strażnicy przydzielą im odpowiednie obowiązki.

Wartownicy – niepewny pokój naszej nowej ziemi musi być z wewnątrz i zewnątrz utrzymywany przez Wartowników. Do tej niebezpiecznej roli będą wybrani ludzie z rodzin założycielskich.

Podczas gdy Triada, Strażnicy, Słudzy i Wartownicy zadbają o to, żeby Nowa Północ zabezpieczyła mieszkańcom wszystko niezbędne do życia – i o to, by przestrzegano zasad ustalonych przez bogów – Damy i Panny z Gniazda będą miały bardzo szczególną, uświęconą rolę.

Będą odpowiedzialne za utrzymanie domu i ciepła domowego ogniska. Zapewnią stosowanie w tej dziedzinie boskich zasad.

Sposób, w jaki będą to czyniły, a także określenie ich małżeńskich związków i płodzenia dzieci zostanie dokładnie opisany przez Prawo, ponieważ to zbyt święte powinności dla naszej rasy, by zostawić je przypadkowi.

Mieszkańcy Pogranicza: nasi podopieczni

Gdy bogowie przenieśli nas na brzegi Nowej Północy, odkryliśmy, że nie jesteśmy sami. Arktyczną wyspę, która stała się Nową Północą, zamieszkiwali tubylcy żyjący tu na długo przed Uzdrowieniem.

Ludzi tych nazywamy mieszkańcami Pogranicza, ponieważ żyją na chronionej ziemi wokół granic Gniazda. Najlepsi z nich zostali wybrani, żeby służyć w domach Gniazda jako Służący, Towarzysze i Nianie. Pozostali wykonują nakazane przez Prawo funkcje na swojej ziemi.

Nie zostali wybrani przez bogów jak my sami. Zamiast tego bogowie przydzielili nam opiekę nad tymi nieszczęsnymi ludźmi. Musimy zapewnić im opiekę i bezpieczeństwo – podobnie jak bogowie uczynili to nam.

Jeśli zawiedziemy w tej świętej próbie, zawiedziemy w drugiej szansie, jaką dali nam bogowie. Musi więc nam się udać.

Bogowie przekazali nam tę Preambułę, żebyśmy mogli przestrzegać Ich praw i naszych ról oraz zrozumieć wagę naszych miejsc na Nowej Północy.

Historię powstania Nowej Północy i szczegóły postanowień bogów można znaleźć w załączonym Prawie. Powinno to posłużyć za przewodnik całej ludzkości – tak, by Uzdrowienie nigdy się już nie powtórzyło.

Rok 8 p. U.

¹ Nóż ulu – eskimoski nóż o charakterystycznym kształcie i ostrzu równoległym do linii knykci zaciśniętych wokół rękojeści palców (przyp. tłum.).

² Dosłownie „znak wiosny”. Stara nazwa Eskimosów z za kręgu polarnego nadana im, ponieważ pojawiali się bliżej południa wraz ze zbliżaniem się wiosny (przyp. red.).

³ *Bola* (lub *bolas*) – broń myśliwska miotana, złożona z dwóch lub więcej ciężarków połączonych rzemieniem lub sznurem (przyp. red.).

⁴ *Kultanen* (fiński) – kochanie (przyp. red.).

⁵ *Angakkuq* – (inuicki) szaman (przyp. red.).

⁶ W. Szekspir, *Romeo i Julia*, przekł. J. Paszkowski, akt II, sc. 2, Gebethner i Wolff, Kraków 1913.

⁷ Biblia Tysiąclecia, Rdz 6, 5–17.

Przekład: Andrzej Sawicki

Redakcja: Jerzy Wachowski

Korekta: Artur Kaniewski, Ilona Siwak

Zdjęcie wykorzystane na I stronie okładki: Copyright © Rekha Garton / Arcangel Images

Projekt okładki: Tomasz Majewski

Projekt logo imprintu: Julia Karwan-Jastrzębska

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

00-372 Warszawa, ul. Foksal 17

tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08

biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-1708-5

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://GrupaWydawniczaFoksalSp.zo.o)

i Marcin Kapusta / [Virtualo Sp. z o.o.](http://VirtualoSp.zo.o)

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow